16 stron druku

Cena 10 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 5 maja 1946 r. | Nr 18 (75)

JOACHIM LELEWEL

Konstytucja 3 Maja a Rewolucja Francuska

W ogólności wszystkie europejskie narody nader rozmaite przyczyny do wiekowej rewolucji usposabiały, chociaż niejednostajne ich położenie rewolucje te przyspieszały lub odwlekały. Podniesiona i upowszechniona oświata wdarła się we wszystkie towarzyskie stanowiska i żadna siła nie była już zdolna wstrzymać jej postęp. Cały nawał przestarzałych uprzedzeń i przesądów, z gruntu wzruszony, uchodził ohydą lub wstydem okryty. Nowe teorie, rozmaite pojęcia udzielały się wszystkim stanom, zachwycały umysły. Głos wolności i równości, powtarzany z uniesieniem i gorącym upragnieniem, niecił wstręt do wszystkich przedawnionych a zepsutych urządzeń, których występki z obrzydzeniem się obnażyły. Potworny machiawelizm i przewrotność polityczna gabinetów nie zdołały się osłonić tajemniczością, aby nie sprawić zgorszenia. Nadużycia merkantylne w handlowych i przemysłowych sprawach jątrzyły i oburzały pojęcia.

Rewolucje stawały się nieodzowne. Wstrzymywane lub popychane przez miejscowe okoliczności i szczególne położenie, zależały niemniej od przypadku, wybuch onych przyspieszać mogącego. Ameryka, Belgium, Holandia, na ostatek Francja wzruszone nią zostały. Olbrzymia i sroga dla ludzkości otworzyła się walka. Przy powszechnym zapale mnożyły się pisma ogniste. Żarliwe umysły bez ogródki na dawny porządek towarzyski nastawały, zawzięły się przeciw dawnością uświęconym przepisom, zużytym a utrzymywanym jeszcze przez nałóg, upór albo nierozumne uprzedzenia. Ich widzenie i głos, niewypowiedziane na tłumach do nowości usposobionych czynił wrażenie, wywoływał pożar.

We Francji zbieg okoliczności znaglił wybuch, który rozpalił pożar, przeszłości okrutne wzburzenie. Stronnictwo przemagające jakobinów, choć nieliczne, wywracając i depcąc ołtarz zabobonu i tron służebności, podnosiło trwogę wśród narodu; dokonywało przeobrażenia towarzyskiego i groziło innym mocarstwom takimże. Przestraszeni mocarze, których sumienie ujrzało nieochybny kielich goryczy, zgotowany im za przeszłość, zamierzyli wstrzymać rewolucyjny wylew, poczęli się zmawiać przeciw wzruszeniu ludu, a odtąd krwawa o zasady wojna, poniesioną i następnym pokoleniom przekazaną została.

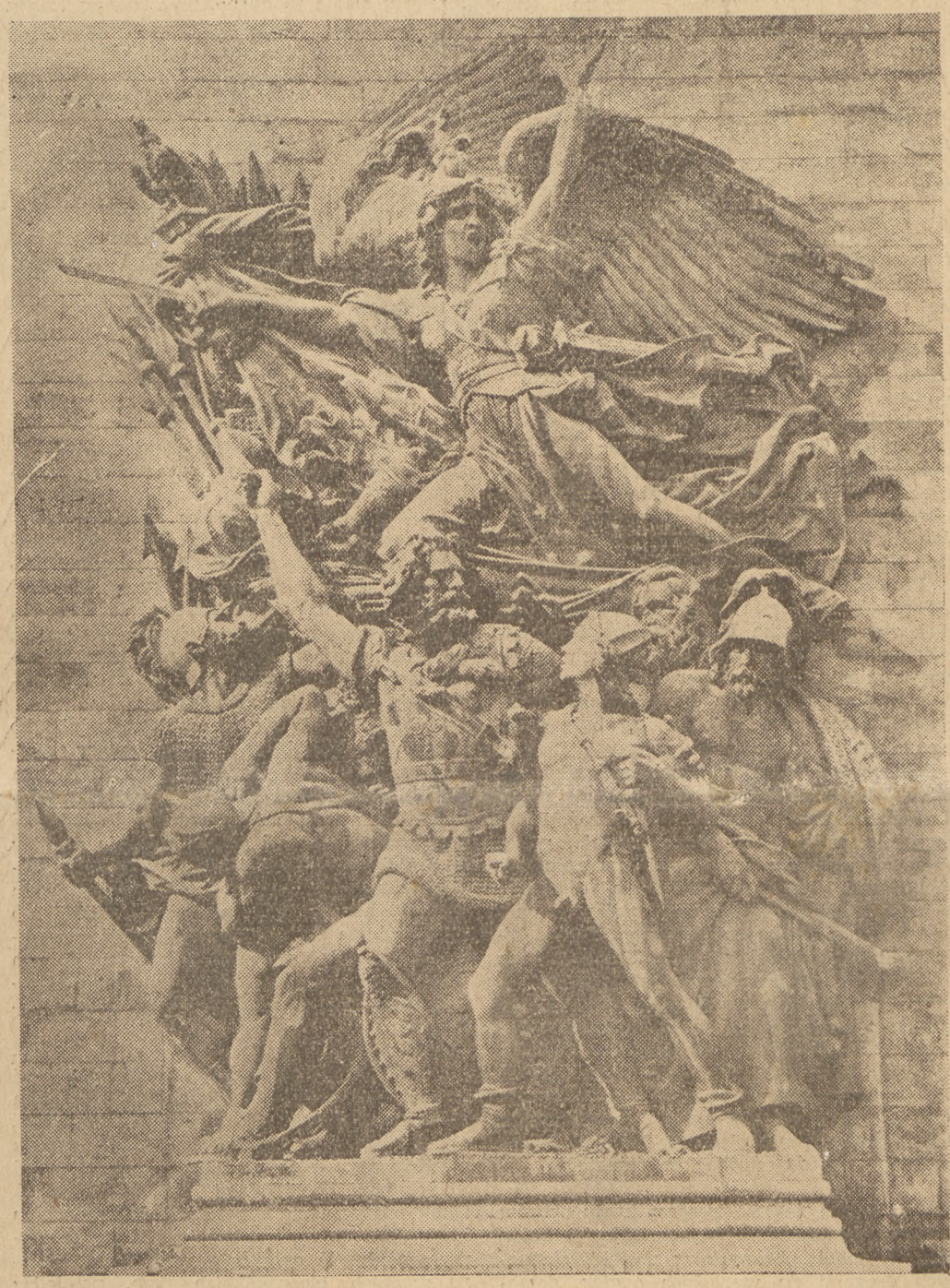

FRANÇOIS RUDE — Marsylianka

W Polszcze miejscowe okoliczności zrządziły też pewny rodzaj rewolucji, wcale różny, bez wstrząśnienia, w ciszy i pokoju, przyznany i wsparty od dworów monarchicznych, bratający się z polityką ich gabinetów. Z tym wszystkim ta ich polityka przez łakomstwo i najczarniejszą niewiarę wypiera się własnego poklasku i współdziałania, bo ma interes wyprzeć się czynu. I taż sama polityka, co Konstytucją polską admirowała, a nawet w niej na awantaż tronu ujmę wolności narodowej dostrzegała, taż sama wnet upatruje w niej takież jak we francuskiej rewolucji zarzewia i również jej jak tamtej zarzuty jakobinizmu czyni; tak, iż owa Konstytucja, przez targowiczan i carycę o monarchiczność oskarżana, zostaje potępiona za demogogiczną i jakobińską przez też samę carycę i tegoż samego Fryderyka Wilhelma II, który w owej Konstytucji upodobanie znajdywał. Rzadko w dziejach takiego zbiegu zmiennictwa, kłamstw, złej wiary publicznej, niewstydu, jak w tej chwili upadku Polski.

Fragment z dzieła „Panowanie Stanisława Augusta", opublikowany ostatnio w monografii Ignacego Chrzanowskiego pt. „Joachim Lelewel. Człowiek i pisarz" (Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik").

JÓZEF SIERADZKI

„Wróciła wiosna, maj się zieleni..."

Zaczęło się od sprawy polskiej. „W lipcu 1863 zorganizowano w Londynie mityng protestacyjny przeciwko zwierzęcej rozprawie caratu z rewolucjonistami polskimi" — pisze Rosjanin z naszej doby. Na zgromadzenie przybyli robotnicy z Francji. Przedstawiciel trade-unionów angielskich domagał się wojny przeciw Rosji. Marx już przedtem głosił potrzebę rewolucyjnej walki z caratem.

Na „polskim" wiecu angielscy robotnicy wystosowują do towarzyszy francuskich słynny adres:

„Aby położyć kres obecnemu nadużywaniu przemocy, wzywamy wszystkich do stworzenia braterstwa narodów. Zwołamy zjazd przedstawicieli Anglii, Francji, Niemiec, Włoch, Polski i wszystkich tych krajów, gdzie panuje wola wspólnej pracy dla ludzkości. Zwołamy kongresy nasze dla omówienia wszelkich zagadnień, od których zależy pokój narodów"

1864 (28. IX.) wielki międzynarodowy wiec w Londynie: „Brak solidarności między robotnikami stwarza przemysłowe niewolnictwo bardziej nieubłagane i groźne, aniżeli pańszczyzna". Zapadła uchwała o utworzeniu stałej międzynarodowej organizacji robotniczej. Wybrano komitet (Centralną Radę) z 50 osób dla opracowania statutu i orędzia do międzynarodowego proletariatu. W skład komitetu weszli Marx, trade-unioniści, proudhonowcy, Włosi, Polacy, Szwajcarzy.

Po „Związku Bratnich Demokratów" i „Związku Komunistów" powstawała I Międzynarodówka. W jej manifeście potępiano m. in. rozprawę caratu z Polską. (Niebawem pierwszy kongres w Genewie w 1866 roku, omawiając sprawę polską, wezwał robotników we wszystkich krajach do walki z reakcyjną polityką carskiej Rosji w kwestii polskiej i wypowiedział się za utworzeniem demokratycznej Polski). Manifest kończył się słynnym wezwaniem: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!"

1888 wrzesień: amerykański Związek Pracy na kongresie w St. Louis wyznacza na 1 maja 1890 roku międzynarodową manifestację.

1889, 14 lipca, w setną rocznicę zburzenia Bastylii, kongres w Paryżu uchwala:

„Będzie urządzona wielka międzynarodowa manifestacja w dniu oznaczonym w tym celu, ażeby we wszystkich krajach i miastach jednocześnie robotnicy wezwali władze publiczne do wprowadzenia prawa, ograniczającego liczbę godzin do 8 godzin pracy i do wykonania innych postanowień kongresu paryskiego.

Zważywszy, że podobna manifestacja jest już wyznaczona na 1 maja 1890 roku..., termin ten przyjmuje się również dla manifestacji międzynarodowej. Robotnicy wszystkich krajów mają urządzić tę manifestację w warunkach, jakie im narzuca położenie ich krajów".

Równocześnie odbyły się dwa kongresy; na jednym — posybilistów — delegatem polskim był Bolesław Limanowski. Na drugim — guesdystów — Stanisław Mendelson, Maria Jankowska, Feliks Daszyński i Leon Winiarski.

Odtąd rokrocznie w porze rozkwitu życia, z dawna święconej obrzędami, zabawą i weselem, świat widział robotnicze pochody, czerwone sztandary, goździki w butonierkach, słyszał twarde słowa i pieśni o krzywdzie. Słyszał też niejednokrotnie odgłosy salw. Strażnicy zagrożonego ładu witali nimi młodą klasę, która podejmowała walkę o swoje interesy, a prawem historycznej dialektyki była awangardą postępu i wyzwolenia ludzkości.

*

Pierwsze obchody majowe w Polsce odbyły się w roku 1890, za sprawą emisariuszy Stanisława Kasjusza i Stanisława Padlewskiego. Kasjusz organizował uroczystość we Lwowie, Padlewski w Warszawie, w której działał głównie „Proletariat". Odezwa „Komitetu Robotniczego" stolicy brzmiała:

„Bracia, robotnicy polscy! Na całym świecie 1-go maja ustanie warczenie maszyn, zgaśnie ogień pod kotłem parowym... Fabrykanci pochowają się w mysie dziury, a robotnicy pośpieszą na zebrania, gdzie będą się naradzać nad środkami do wywalczenia ostatecznego zwycięstwa — przejścia fabryk i ziemi na wspólną własność ludu pracującego!... I my nie możemy się przyglądać tylko z daleka walce naszych towarzyszy za granicą! I u nas nie przejdzie ten dzień na próżno... Wstyd tym, co będą się ociągali z podaniem dłoni do wspólnego braterskiego uścisku zjednoczonych robotników całego świata! Wystąpmy zgodnie! Śmiało, bracia, wszyscy razem!"

O przebiegu święta, podczas którego 8 tysięcy robotników powstrzymało się od pracy, pisał Padlewski w „Przedświcie": „Wiele większych zakładów było pustych, w innych ukazało się tak mało robotników, że żadnych robót rozpocząć nie można było. Ogromna ilość małych warsztatów była zupełnie pusta". (Cytowane u Feliksa Perla, „Dzieje ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim").

W rok później manifestowała Warszawa, Łódź i Żyrardów, który do święta dołącza czterodniowy strajk, stłumiony przez żandarmów. Propagandową broszurę „Proletariatu" o święcie robotniczym napisał Edward

Abramowski. W roku 1892 odezwa „Socjalistów polskich" oprócz żądań ekonomicznych wnosiła już mocne akcenty polityczne:

„Domagamy się swobody politycznej! Precz z okrutnym, samowładnym carem, zabijającym najlepszych i najszlachetniejszych naszych obrońców. Chcemy sami sobą rządzić! Chcemy swobody zebrań, na których moglibyśmy radzić o polepszeniu doli naszej, wolności słowa i druku... Żądamy, by nas nie zmuszano mówić i myśleć w obcym języku. Żądamy polskich szkół i polskich sądów"!

W Wilanowie, na Bielanach, na Woli, w Marysinku tańczono, bawiono się, dyskutowano. Była niedziela. Ale Łódź, ogarnięta strajkiem powszechnym, który przerzucił się także do Zgierza i Pabianic — spłynęła krwią. Instrukcja Hurki do piotrkowskiego gubernatora opiewała:

„Streiat', patronow nie żalet'!".

Było kilkudziesięciu zabitych i wielu rannych, do 900 aresztowanych.

Odtąd wiosna wracała co roku, przynosząc udałe akcje i straty. Przez wzloty i upadki, trudności we własnych szeregach i przeszkody w krystalizowaniu się świadomości, rozwijał się ruch i rósł program polskiego proletariatu. Jak wszędzie tak i w Polsce w procesie tym święto robotnicze odgrywało pobudzającą i twórczą rolę.

*

Maj jest w Polsce miesiącem ważnych rocznic: konstytucji roku 1791 i uniwersału połanieckiego. W ocenie Konstytucji 3 Maja nie podobna — oczywiście — podzielać zachwytów przywódcy „Hotelu Lambert", niekoronowanego a pragnącego korony ks. Adama Czartoryskiego, który w 70 rocznicę „Ustawy Rządowej" tak mówił na uroczystości w Paryżu:

„Naród nasz wzniósł się jednego dnia nagle na poziom ducha, do potęgi moralnej, jakiej dotąd żaden inny naród nie osiągnął, ani nawet do niej nie dążył. Jeszcze teraz, gdy sympatie są dla nas powszechne, wielu spogląda na nas z niepewnością i zdumieniem, a mało ludzi potrafi nas pojąć. W istocie takie orędzie polskiego życia wydaje się cudem! Jest zrozumiałe, gdy jeden człowiek, porwany wielką myślą wznosi się na chwilę na takie wyżyny; że jednak cały naród, jednogłośnie i jak jeden mąż zostaje nagle opromieniony potęgą i światłem doskonałości moralnej, więcej jeszcze, jest gotów z wytrwałością utrzymać się na jej wyżynach — stanowi tak nadzwyczajne zjawisko, że nie znajduje ono w niczym innym wyjaśnienia, jak tylko w bezpośrednim oddziaływaniu wyższej łaski Opatrzności, w opiekuńczym natchnieniu niebios" (wedle „Nadwiślanina", 1861).

Nic dziwnego, że „Tygodnik Katolicki" z 1861 roku nie miał słów zachwytu dla „naszego prawie stuletniego nestora, chorążego i wodza".

Drugi, przeciwny biegun osiągnęła krytyczna myśl o Konstytucji 3 Maja w ocenie dawniejszej socjalistycznej publicystyki:

„Konstytucja 3 Maja pozostanie w dziejach jako kartka papieru, napisana pod wpływem najszczerszych zapewne chęci, ale zbudowana niedołężnie, bo uświęcająca starą względem ludu niesprawiedliwość i po dawnemu tłumiąca siły narodowe..." („Pobudka"). A w broszurze „Sto lat temu" pisano, że „Konstytucja 3-go Maja tylko grobowy kamień nad ojczyzną postawiła". Radykalna wówczas młodzież uniwersytecka nie chciała wziąć udziału w manifestacji w stulecie konstytucji, a organizatorzy „musieli (studentów) zobowiązywać, żeby przynajmniej nie opuszczali Warszawy na czas manifestacji, bo istniała obawa masowego wyjazdu, co podziałałoby demoralizująco na ogół inteligencji" — zaświadcza niepodejrzany na pewno Stanisław Wojciechowski.

Jeszcze dziś dają się słyszeć nieprzejednane głosy:

„Konstytucja 3-go Maja 1791 r. na poprawę doli włościan nie wpłynęła zupełnie. Stała się później wygodną okazją do okłamywania chłopów na temat wielkoduszności szlachty, która zatraciwszy własne człowieczeństwo, pociągnęła za sobą i Ojczyznę w przepaść niewoli. A otumaniony „ludek" przez duchowych spadkobierców szlachetczyzny, będzie później długie lata wielbił uroczyście „wielkie dzieło ojców", którzy mu nigdy ani przez chwilę nawet braćmi nie byli".

Taką opinię wydają W. Kurkiewicz i M. Rękas w okolicznościowej broszurze kościuszkowskiej, wydanej w roku 1945 („Tadeusz Kościuszko. Uniwersał Połaniecki. Z historii sprawy chłopskiej. W 200 rocznicę urodzin wielkiego patrioty i demokraty").

Ani apoteoza, ani negacja, ani nawet neooptymizm Oswalda Balzera nie utrafiają w prawdę o „łagodnej rewolucji", która nie zdołała na dość poczesne miejsce wyprowadzić polskich jakobinów Dekerta i Kołłątaja. Realizm historyczny każe widzieć w reformie pozytywny akt, dokonany przez średnie ziemiaństwo we współdziałaniu z przemysłowo-handlową i finansową burżuazją. Mieszczaństwo, bardzo jeszcze słabe i opóźnione w rozwoju, wlokło się za szlachtą, zostawiając jej przodownictwo. Stąd utrzymanie feudalnych przywilejów szlacheckich i otwarcie do nich dostępu tylko najbogatszej sferze mieszczan. Stąd niewzruszona podstawa ustroju gospodarczo-społecznego: pańszczyzna i renta. To sprawiło, że chłopi ani nie drgnęli wobec reformy Sejmu Wielkiego. Dopiero manifest połaniecki Kościuszki z 7 maja 1794 roku korygował Konstytucję, zabezpieczając chłopa prawnie, lecz „w ciasnych granicach zależności" (Świętochowski).

Rewolucja była więc szlachecka, z poprawką w duchu kościuszkowskim; ale i ducha kościuszkowskiego skrępował blok ziemiaństwa i miejskiego patrycjatu, gdyż obie te warstwy utrzymały się u steru niemal bez przerwy podczas insurekcji 1794 roku. Zresztą i 3 i 7 maja pozostały aktami na papierze. Później tak się miało ułożyć, że chłopi długo jeszcze pozostali obiektem spraw publicznych, a czynnikiem rewolucyjnej myśli i emancypacji społecznej stał się nie tyle chłop, co robotnik. Nie mniej dobitnie niż u nas nastąpiło to w skali światowej.

*

Wielka kontrrewolucja trzeciego i czwartego dziesięciolecia XX wieku przyćmiła ruch robotniczy, niszcząc jego organizacje polityczne i zawodowe w Niemczech i we Włoszech i podrywając je w wielu innych krajach Europy. W latach drugiej wojny powszechnej wisiała nad światem groza niewolnictwa, gdyby zwyciężył faszyzm. Było ono już faktem dokonanym na obszarach zajętych przez państwa „osi". Rozbito stare ośrodki robotnicze, zniszczono związki, zrabowano ich kasy. Włamano się też do skarbca ideowego, kradnąc zeń m. in. święto pierwszomajowe.

Kontrrewolucja w Polsce była okrutna. Wstępem do niej był rodzimy bełkot Ozonu, samorodny twór faszystowski, który sięgał po związki zawodowe, tłumił działalność polityczną robotników i spędzał ich pochody z ulic i placów. Najkrwawszy akt rozegrał się w latach okupacji, porywając miliony ludzi i niszcząc miliardowy dobytek.

Równo 55 lat od dnia, w którym proletariat obchodził pierwszy raz swoje międzynarodowe święto, telegraficzna agencja proletariackiego państwa podawała wiadomość, że wojska Czerwonej Armii „tocząc nadal walki uliczne w Berlinie, opanowały przedmieście Moabit". Równocześnie Amerykanie wkraczali do Monachium, a wojska brytyjskie do Wenecji. Dokonywała się klęska, jakiej Niemcy nigdy dotąd nie zaznały.

„Prowadzimy ostatni szturm na legowisko hitlerowskie" — brzmiało w rozkazie pierwszomajowym marszałka Józefa Stalina. I — „należy podkreślić, że w walkach tych ramię przy ramieniu z Armią Czerwoną brały udział w pomyślnej ofensywie dywizje polskie, jugosłowiańskie, czechosłowackie, bułgarskie, rumuńskie".

Pod ogniem 22 tysięcy dział marszałka Żukowa 2 maja 1945 roku garnizon niemiecki Berlina zaprzestał oporu i złożył broń. Równocześnie wojska I Armii Polskiej, „pokonując silny opór nieprzyjaciela na północny zachód od Berlina, kontynuują ofensywę w głąb Niemiec". Wojska II Armii w rejonie Budziszyna przeszły do ofensywy. Rapsod ludowy, który wyrósł z tradycji Waryńskich i Okrzejów, „Proletariatczyków" i roku 1905, Fików, Lewińskich i Nowotków, przyćmił epopeę napoleońskich Legionów zarówno rozmiarami walk i masą walczących, jak po raz pierwszy w historii zbrojnej walki w Polsce — zwycięstwem. Takiego rozdziału jak ostatni, rozpoczęty pod Lenino, a zakończony pod Dreznem, nie zapisano w historii wojska polskiego w jego szlacheckim okresie.

*

A w Polsce, jeszcze wczoraj kraju obozów i kazamat, bunkrów i okopów, ruin i grobów, gromad ludzi ubranych w pasiaki, ciągnących drogami do wygasłych ognisk domowych, łagodna rewolucja pisała spiżowe zasady nowego porządku, który tyle wiosen głoszono z trybun w dniu święta.

Dawna, niezmożona siła wracała w słowach manifestu lipcowego z 1944 roku:

„Rodacy!

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przystępując do odbudowy państwowości polskiej deklaruje uroczyście przywrócenie wszystkich swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodowości, wolności organizacji politycznych, zawodowych, pracy, sumienia.

Rodacy!

Aby przyspieszyć odbudowę kraju i zaspokoić odwieczny pęd chłopstwa polskiego do ziemi, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przystąpi natychmiast do urzeczywistnienia na terenach wyzwolonych szerokiej reformy rolnej.

Rodacy!

Natychmiast rozpocznie się odbudowa i rozbudowa instytucyj ubezpieczeń społecznych.

Rodacy!

Jednym z najpilniejszych zadań Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego będzie na terenach oswobodzonych odbudowa szkolnictwa i zapewnienie bezpłatnego nauczania na wszystkich szczeblach".

Potem przyszedł dekret wrześniowy z 1944 roku o ustroju rolnym. Potem ustawa styczniowa z 1946 roku o przejęciu na własność państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej.

Rewolucja jest łagodna. W olbrzymiej mierze dzięki Październikowi w Rosji, jego zwycięstwu i późniejszym sukcesom.

*

Sto lat temu w Szwajcarii i w Polsce zaznaczył się ruch, który zapowiadał bliską burzę. Nadeszła ona w roku 1848 i nosi nazwę wiosny ludów, choć nią nie była.

Świat dzieliła od niej odległość stu lat. Trzy pokolenia, w których klasa robotnicza miała się uformować, zdobyć świadomość swych celów i zadań, poczucie międzynarodowej solidarności, sympatię i współdziałanie wszystkich upośledzonych, poparcie inteligencji, decyzję działania i broń. Dzieliły od niej okresy reakcji, organizowanej przez nieznający względów kapitalizm, klasę społecznego wyzysku i narodowego ucisku. Dzieliły wojny o rozmiarach światowych rzezi. Dwa ostatnie pokolenia walczących o prawdziwą wiosnę ludów krzepiły się z roku na rok świętem 1 Maja.

Dziś ludzkość ma wertepy poza sobą a przed sobą cel niedaleki. Bitymi drogami idą do niego masy i nie ma siły w świecie, która by opóźniła chwilę dojścia do mety.

Józef Sieradzki

KRZYSZTOF RADZIWIŁŁ

Przykład grecki

Londyn, w kwietniu 1946 r.

Powiedział mi kiedyś o sprawie greckiej jeden stary Grek, z typu wychowanych na francuskiej kulturze starych bałkańskich dyplomatów, którzy od dawna mącili w bałkańskim kotle Europy: „U nas w Grecji bardzo trudno zorientować się w polityce, gdyż mamy u siebie za dużo Alcybiadesów, każdy chce zdradzać, zanim go o to poproszą". To tłumaczy tylko częściowo fakt, dlaczego na południowo-wschodnim cyplu starej Europy dzieje się co innego, niż na całej przestrzeni od Szczecina po Triest. Tam, gdzie próbowano utworzyć wielkie państwa ponadnarodowe, jagiellońską Polsko-Litwę, habsburskie Austro-Węgry i Europejską Turcję, obecnie na gruzach przekreślonych przez historię koncepcji, poszczególne narody przebudowują się socjalnie i gospodarczo od wewnątrz, ażeby zamiast zaporą, stać się cywilizacyjnym pomostem pomiędzy Wschodem a Zachodem.

Jedynie w Grecji dzieje się coś zupełnie innego. Czyżby rację miał Churchill, gdy w jednej ze swoich ostatnich mów podkreślił „zachodniość" Grecji jako kraju wznawiającego wspaniałą tradycję Aten?

W poszarpanym geograficznie na półwyspy, skały i wysepki kraiku, w którym mieliśmy takie krańcowości jak Ateny i Sparta, dzisiejsza polityka angielska stara się stworzyć coś w rodzaju umiarkowanej demokracji na wzór angielski. Ostatnie wybory greckie, za których szybkim przeprowadzeniem obstawał Bevin wbrew przeważającej opinii swojej własnej partii, wykazują w pełni, do czego doprowadzić musi przenoszenie zasad zachodnio-europejskich demokracji na bagnetach brytyjskich żołnierzy.

Wybory odbyły się na ogół spokojnie, bo kilkudziesięciu zabitych i kilka tysięcy aresztowanych, to jak na bałkańskie stosunki, a zwłaszcza na powojenne stosunki w Europie — bardzo mało. Wprawdzie 40% ludności powstrzymało się od głosowania, ale Anglicy pocieszają świat, że to nie tylko przedstawiciele greckiej lewicy, która zbojkotowała wybory, ale również ludzie zniechęceni lub tacy, którym zły stan komunikacji zniszczonej przez wojnę uniemożliwił pójście do urn wyborczych. Znając rozpolitykowanie Greków dość trudno zgodzić się z takim argumentem.

Ostatnio w Londynie urządzono, nie bez celów politycznej propagandy dla proangielskiej Grecji, wspaniałą wystawę grecką. Były tam fragmenty klasycznej rzeźby Praksytelesa, ale zwiedzający zachwyceni byli przede wszystkim zupełnie innymi, o wiele mniej klasycznymi przejawami kultury greckiej. Obok mistycznych fetyszów staromykeńskich i zabytków na wpół azjatyckiej Krety, mieliśmy sposobność oglądania wspaniałego zbioru greckich bizantyńskich ikon, pomiędzy którymi nie raziły malowane zupełnie inną techniką, ale równie żarliwe obrazy Greca Theotocopuli, pochodzącego z Grecji największego malarza hiszpańskiego. Pewna paralelność na wpół azjatyckiego bizatynizmu i na wpół afrykańskiej Hiszpanii nie jest rzeczą przypadkową.

Umiarkowani pod każdym względem Anglicy nie potrafią zrozumieć, że zarówno w Grecji jak i w Hiszpanii może rządzić rewolucyjna lewica a nie wzorowany na angielskich tradycjach centrolew.

To jest właśnie beznadziejność polityki angielskiej, zresztą nie tylko w Grecji i Hiszpanii.

Anglia chciałaby utworzyć z Grecji najbardziej wschodni przyczółek nie istniejącego jeszcze bloku zachodniego, skierowanego przeciwko zwycięskiej fali wschodnio-europejskiej rewolucji. Aby polityka angielskiego Foreign Office osiągnęła ten cel, w Grecji musi być spokojna, przyzwoita i bynajmniej nie rewolucyjna demokracja. Demokracja taka może być z królem, albo nawet lepiej bez króla. Coś w rodzaju permanentnej regencji węgierskiej admirała Horthy'ego. Ale w każdym razie taka kierowana demokracja nie powinna tykać krzywd społecznych szczególnie drastycznych we wschodniej Europie, gdzie kapitalizm nie potrafił, jak na Zachodzie, podnieść stopy życiowej szerszych warstw, a stworzył tylko chaos sprzecznych interesów bardzo bogatych i bardzo biednych ludzi.

Z chwilą, kiedy wojska angielskie opuszczą Grecję, cały domek z kart musi runąć i prędzej czy później dojdzie do krwawej walki wewnętrznej, której dałoby się uniknąć, gdyby w Grecji, jak w reszcie Europy wschodniej, lewica społeczna mogła uzyskać współodpowiedzialność za rządy. Eksperyment grecki musi doprowadzić do tego, że — odmiennie niż w innych krajach Europy Wschodniej, gdzie rewolucja nie potrzebuje tracić sił na krwawienie się w wojnie z własnym społeczeństwem — krwawa walka pomiędzy komunistami EAM a faszystami z organizacji X będzie rzeczą konieczną.

Błąd myślowy polityki angielskiej polega na tym, że w Anglii rzeczywiście najbardziej nawet wsteczni konserwatyści uznają reguły demokratycznej gry parlamentarnej, a na kontynencie po wojnie nie ma dziś reakcjonistów innego typu niż faszyści. Dlatego wszelkie rządy centrum nie są w Europie możliwe i popieranie przez politykę angielską stronnictw politycznych mogących je wprowadzić w życie, jest sianiem burzy.

Czy to się komu podoba czy nie, wojna na kontynencie europejskim była ostateczną klęską faszyzmu, ostatniej kontrofensywy ustępującego z pola kapitalizmu. Bynajmniej jednak nie zapanowała jeszcze cisza po burzy. Resztki zwyciężonych armii faszystowskich nie znikły z powierzchni świata. Gotowe są wybierać mniejsze zło i dlatego nie ma w Europie powojennej ani jednego tzw. „umiarkowanego" stronnictwa, do którego by te pofaszystowskie elementy nie wniknęły. Ludzie, którzy widzą to nie poprzez mgłę kanału La Manche, nie łudzą się w tym względzie ani co do Grecji, ani co do Polski.

Jest wielkim szczęściem dla narodów wschodniej i centralnej Europy, że całą „mokrą" robotę rewolucji, która przez długie pokolenia pozostawia osad wewnętrznej nienawiści, zrobiła za nas wojna. Tej wielkiej szansy zmarnować nie wolno. Wszystkie siły młodej rewolucji powinny być wprzągnięte w dzieło odbudowy na nowych podstawach społecznej kultury i gospodarczego wytwarzania. Nie należy ożywiać wrogich sił ekonomicznych i socjalnych, które same są zbyt słabe, ażeby czynnie przeciwstawić się nowemu życiu. Takim organizowaniem armii minionych ludzi do kontrofensywy przeciwko europejskiej rewolucji jest polityka angielska w Grecji.

Ażeby zaoszczędzić Europie tej całkiem zbędnej rozgrywki, nie pozostaje Wielkiej Brytanii nic innego jak uzgodnienie swojego działania w Europie z budującymi się tam z pomocą Związku Sowieckiego nowymi socjalnymi ustrojami. Nie warto przy tym dyskutować, czy wschodnio-europejska czy też angielska forma rządzenia ma się nazywać demokracją. Czytałem na ten temat doskonały dowcip w jednym z angielskich periodyków. Wielka Brytania, wyrażająca swoją opinię o demokracjach wschodnio-europejskich, przypomina starą damę z epoki wiktoriańskiej, która po ostatnim akcie tragedii „Romeo i Julia" rzekła: „to jest coś zupełnie innego niż domowe życie naszej kochanej (panującej już 50 lat) królowej Wiktorii". Rzeczywiście, jest to coś zupełnie innego: namiętna żarliwość rewolucyjnej Europy i małomieszczańskie umiarkowanie spokojnego socjalizmu w Anglii.

Angielska szczepionka jest dla nas nie do przyjęcia. Jeżeli jednak tak jest i to nie tylko w Grecji i w Polsce, ale w całej wschodniej Europie, a także w Niemczech, w Hiszpanii i we Francji, to wszelka koncepcja kontynentalnego bloku zachodniego jest nie do urzeczywistnienia. Druga alternatywa polityki angielskiej — to znaczy podporządkowanie się Anglii dolarowemu imperializmowi Stanów Zjednoczonych, jak proponuje Churchill — oznaczałaby po prostu wojnę. Dlatego Anglii pozostaje jedyne logiczne, trzeźwe rozwiązanie: polityka współdziałania Anglii z Rosją w odbudowie europejskiego pobojowiska.

Wszelka interwencja w domowe sprawy europejskich narodów zmusza je do wewnętrznych rozgrywek. Przy czym na wschodzie Europy nie chodzi o rozstrzygnięcie czy rewolucja ma się odbywać według wzorów angielskich czy rosyjskich. We wschodniej Europie pytanie jak dawniej brzmi po prostu: „ludowa demokracja, czy — faszyzm?"

Tego uczy nas przykład grecki.

Wskutek angielskiej interwencji wygrali tam na razie ci sami, którzy w całej Europie przegrali wojnę. Oby tragiczny los Grecji, która z logiczną konsekwencją prędzej czy później musi się stoczyć do katastrofy jeszcze jednej wojny domowej, był znakiem ostrzegawczym dla niebacznej polityki angielskiego Foreign Office, która wskrzesza w Europie upiory.

Krzysztof Radziwiłł

ST. A. MAJEWSKI

Polityka gospodarcza ZSRR

Druga wojna światowa była tragicznym egzaminem państw i społeczeństw. Skondensowane niejako doświadczenie prawie sześciu lat wojennych oświetla przeszłość o wiele silniej i głębiej aniżeli perspektywa z odległości wielu dziesiątków lat pokojowych. Warto więc spojrzeć na politykę gospodarczą ZSRR w świetle tego tak drogo okupionego doświadczenia, zwłaszcza że i obecne powojenne plany gospodarcze tego mocarstwa świadomie nawiązują do polityki przedwojennej i są dalszym ciągiem tej samej „linii generalnej".

Z dystansu czasowego wobec wydarzeń odkryć można ich prawdziwy sens historyczny, tak jak na pewnej wysokości przestrzennej odsłaniają się nam dopiero wyraziste kontury krajobrazu. Bliskość mąci ów sens historyczny przesłaniając go mnóstwem nieistotnych, mniej ważnych zjawisk Spojrzenie bez uprzedzeń na rozwój gospodarczy ZSRR i jego krytyczna, ale rzeczowa ocena — ma u nas szczególnie ważne znaczenie. Polityka bowiem naszych rządów przedwojennych wobec ZSRR była w dużym stopniu dyktowana przez swoisty uraz historyczny, pod którego wpływem społeczeństwo otrzymywało wiadomości o naszym wschodnim sąsiedzie celowo zniekształcone.

Fakty i cyfry w niniejszych rozważaniach pochodzą z książki autora*), który stojąc na stanowisku ekonomicznego liberalizmu, nie ukrywa swego negatywnego stosunku wobec polityki gospodarczej ZSRR. Można więc polegać na faktach i cyfrach przez niego podanych, mierzy on je bowiem i ocenia miarą surową i odrzuca wszystko, co z daleka bodaj trąci propagandą.

Przedstawiając zarys polityki gospodarczej ZSRR, jednocześnie ocenimy krytycznie najważniejsze wobec niej zastrzeżenia, które pod wpływem wieloletniej sugestywnej propagandy stały się schematami myślowymi, przyjmowanymi przez pewne warstwy naszego społeczeństwa nawet dziś jeszcze zupełnie bezkrytycznie jako pewniki nie podlegające wątpliwości. Nie jest to bynajmniej rzecz błaha, wokół bowiem tych schematów myślowych grupują się utajone życzenia i dążenia wszystkich malkontentów, którzy mają urojone lub faktyczne powody do niezadowolenia z nowej rzeczywistości.

W dotychczasowej polityce gospodarczej ZSRR zarysowują się wyraźnie trzy okresy: polityka gospodarcza wojennego komunizmu (1917—1921), „nowa ekonomiczna polityka", czyli Nep (1921—1928) i planowa polityka gospodarcza (1929—1939).

P. KOTOW

Włodzimierz Lenin i Maksym Gorkij

GOSPODARKA WOJENNEGO KOMUNIZMU

Gospodarka ta została zapoczątkowana dekretem z 8 listopada 1917 r., który zarządził nacjonalizację banków, oddał lokalnym radom włościańskim wielką własność ziemską do podziału i przyznał załogom robotniczym kontrolę nad zakładami przemysłowymi. Z wyjątkiem banków dekret ten zasadniczo nie znosił praw własności prywatnej. Dekret z 4 maja 1918 roku wprowadza nacjonalizację handlu zagranicznego, a dekret z 21 października tegoż roku nacjonalizuje również handel wewnętrzny: odtąd jedynie władze państwowe mają zajmować się przydzielaniem produktów rolniczych i wyrobów przemysłowych ludności miast i wsi. Unarodowienie przemysłu następowało stopniowo i zostało zakończone z końcem 1919 roku. Wobec całkowitej dewaluacji rubla handel pieniężny znika niemal zupełnie, a jego miejsce zajmuje wymiana w naturze. Dla zaopatrzenia walczącej armii i pracującej ludności miejskiej władze posługują się systemem rekwizycji, które przeprowadzają robotnicze brygady szturmowe, kierowane w tym celu na wieś. Rekwizycje rosną: w roku 1917—18 przyniosły one 50 milionów pudów żywności, w roku 1918—19 — 100 milionów, w roku 1919—20 — 200 milionów, w roku 1920—21 — ponad 200 milionów. Rozumie się, że rekwizycje te na wsi popularne nie były i spowodowały one gwałtowny spadek produkcji zbóż: z 66 mil. ton w roku 1913 spadła ona do 28 milionów ton w r. 1920, na obszarach, które były we władaniu rządu bolszewickiego. Także stan liczebny pogłowia bardzo się obniżył. Ciągle jeszcze trwająca wojna domowa, interwencja aliantów, oraz zbyt szybko wprowadzone zmiany w systemie gospodarowania spowodowały również silny spadek produkcji przemysłowej, mianowicie do 1/5 w porównaniu z przedwojenną. Z powodu dezorganizacji transportu panował na dużych obszarach głód, który według urzędowych danych pociągnął za sobą nie mniej niż 5 milionów ofiar.

Lenin osądził gospodarkę komunizmu wojennego w sposób następujący: „Doświadczenie wykazuje, że próba bezpośredniego przejścia do form gospodarki czysto socjalistycznej przekracza nasze siły. Poszliśmy za daleko w nacjonalizacji handlu i przemysłu. Popełniliśmy widoczne błędy i byłoby zbrodnią nie chcieć zrozumieć, żeśmy przekroczyli miarę". Ponieważ poszło się za szybko, zaszło się za daleko i trzeba było znacznie się cofnąć.

„NOWA EKONOMICZNA POLITYKA"

Cofnięcie to zarządziły dekrety wydane w lipcu i sierpniu 1921 r. Zarządzenia tych dekretów ustanawiają z powrotem wolność handlu wewnętrznego, ograniczają wydatnie rekwizycje i udzielają chłopom dużych gwarancji w tej sprawie. Nienaruszony pozostaje państwowy monopol handlu zagranicznego i nacjonalizacja wielkiego przemysłu. Ustanowienie wolnego handlu wewnętrznego wymagało wprowadzenia nowego systemu monetarnego; w roku 1924 zostaje puszczony w obieg czerwoniec o stałej relacji w stosunku do walut zagranicznych.

Zwekslowanie gospodarki na tory półkapitalistyczne przyczyniło się do stopniowego wzrastania powierzchni zasiewów, do przyrostu pogłowia i podniesienia się produkcji przemysłowej; wzmógł się także handel z krajami zagranicznymi. W roku 1928 produkcja rolna i przemysłowa osiągnęła poziom przedwojenny, a w niektórych gałęziach nawet go przekroczyła. Oto kilka liczb ilustrujących porównawczo średnią produkcję w latach 1909—1913 i średnią produkcję w latach 1925—1928:

Produkcja	Ilość	w r. 1913	w r. 1928
energii elektr.	milion. kWh	1945	5007
węgla	milion. t	29,1	35,4
nafty	milion. t	9,2	11,6
surówki	milion. t	4,2	3,3
stali	milion. t	4,2	4,2
cementu	milion. t	1,4	1,9
lokomotyw	sztuk	664	479
wagonów	sztuk	14 832	10 612
traktorów	sztuk	—	1300
pszenicy	milion. q	206,0	215,2

Z cyfr tych widać, że w okresie Nepu produkcja nie wzrosła równomiernie. Największy był jej wzrost w dziedzinie źródeł energii: produkcja energii elektrycznej podniosła się o przeszło 264 %, węgla — o blisko 22 %, nafty — o przeszło 26 %. Wzrosła również produkcja cementu — o 26 %. Produkcja środków lokomocji, lokomotyw i wagonów wykazuje niedobór 14 % w porównaniu z rokiem 1913. Pojawiła się nowa, przed wojną nieznana gałąź produkcji — traktory; skromna liczba 1300 sztuk stanowi jakby symboliczny drogowskaz na przyszłość. Wytwarzanie surówki, która może służyć za wskaźnik ogólnego potencjału przemysłowego, wykazuje poważne niedociągnięcie o 27 %. Dysproporcja w rozwoju różnych gałęzi produkcji wytworzyła szereg zatorów i kłócących się ze sobą sprzeczności gospodarczych. Wzrosła energia, zwłaszcza elektryczna, ale nie można jej było użyć dla celów produkcji z braku dostatecznej ilości żelaza, podstawowego surowca nowoczesnej wytwórczości przemysłowej. Wzrosła produkcja cementu, ale nie można go było przekształcić w żelazobeton. Energii pędnej było więcej niż w r. 1913, ale było mniej środków lokomocji. Zwiększyła się produkcja pszenicy i zbóż w ogóle, ale braki w transporcie nie pozwalały na rozprowadzenie płodów rolnych i na równomierne zaopatrzenie w nie ludności; rozległość kraju sprawiła, że na jednych obszarach były one w nadmiarze, a na innych było ich brak.

Braki w transporcie najsilniej zaciążyły na gospodarce narodowej i miały decydujący wpływ na uformowanie się struktury społecznej, która charakteryzuje okres Nepu. Kwitł handel łańcuchowy, pasek, który niejako wypełniał luki istniejące w transporcie. Rozprowadzał on przy pomocy improwizowanych środków lokomocji produkty rolnicze z obszarów, w których był ich nadmiar, do obszarów, w których był ich niedobór, szczególnie do większych miast. Z tego handlu łańcuchowego wyrosła nowa swoista burżuazja w dwóch postaciach: na wolnym rynku po miastach nowowzbogacony nepman, a po wsiach zasobny chłop-kułak. Nazwą kułaka określano przed wojną lichwiarza wiejskiego, który udzielał pożyczek małorolnym na wysoki procent. W okresie Nepu mianem tym określano wzbogaconych chłopów, którzy z powodu wzrostu popytu na produkty rolne rozszerzali powierzchnię uprawianej roli, zatrudniając bezrolnych i małorolnych. Dekret z 8 listopada 1917 r. nie naruszył praw średniej własności wiejskiej. Przeprowadzona na jego podstawie parcelacja majątków obszarniczych była samorzutna i bezplanowa, gdyż nie kierował nią centralny ośrodek dyspozycji. Toteż wyniki jej nie były jednakowe na całym obszarze państwa i po jej przeprowadzeniu pozostali po wsiach liczni małorolni i bezrolni.

Ówczesna prasa radziecka narzeka również na inny niepomyślny objaw gospodarczy: na niedostateczną, a zwłaszcza niewłaściwą kapitalizację. Wzrastało bogactwo nepmanów i kułaków, ale nie zasilało ono kapitału inwestycyjnego i obrotowego wielkich przedsiębiorstw. Bogactwo to bowiem nie szło jako wkłady do banków, ale jako waluta zagraniczna i precjoza „do pończochy". Objaw ten wynikał z faktu równoczesnego istnienia obok siebie dwóch systemów gospodarczych: socjalistycznego — w dziedzinie bankowości i wielkiego przemysłu oraz liberalistycznego — w handlu wewnętrznym, w rzemiośle i produkcji rolnej. Nepmani i kułacy instynktownie wyczuwali, że ta dwutorowość w gospodarce nie może być trwała i liczyli się z tym, że nastąpi prędzej czy później dalszy etap socjalizacji: tezauryzacja miała ich zabezpieczyć przed tą ewentualnością.

Godne uwagi były również paradoksy społeczne tego okresu. Rewolucja październikowa znacjonalizowała banki i wielki przemysł, ale w miejsce dawnego, rodzimego kapitału pojawiły się ekspozytury kapitału jawnie obcego w postaci wielu koncesji. Zlikwidowano handel o starych tradycjach komercjalnych, ale na jego gruzach rozplenił się obskurny handel paskarski. Znikł dawny kupiec rosyjski, stateczny burżuj, a wypłynął na widownię brutalny nepman, hałaśliwy nowobogacki. Zdeklasowano feudalną arystokrację, ale na wsi rozpanoszył się kułak. Najpilniejszą sprawą było zmobilizowanie kapitału inwestycyjnego dla unarodowionych przedsiębiorstw, ale tezauryzacja nieproduktywna i antyspołeczna była powszechna. Zamknięto kontrolowane bądź co bądź giełdy publiczne, a tolerowano na pół legalne „czarne giełdy". Podnosiła się powoli stopa życiowa, ale niemal wyłącznie korzystali z tego jawni wrogowie nowego reżymu. Nowe państwo osiągnęło w produkcji poziom przedwojenny, ale nie po to przecież dokonano rewolucji, aby zrównawszy się pod względem gospodarczym z carską Rosją spocząć na laurach. Było w kraju tyle chleba, ile w najurodzajniejszych latach przedwojennych, ale nie tylko o chleb powszedni walczyły liczne generacje rewolucjonistów rosyjskich. W rewolucji październikowej i w wojnie domowej eksplodował i rozładował się ostry antagonizm klasowy, ale oto odżył on w nowym, gorszym jeszcze wydaniu. Nepman i kułak budzili nie tylko nienawiść, ale pogardę w rewolucyjnym proletariacie.

Zatory gospodarcze, sprzeczności społeczne i paradoksy ideowo-polityczne, które zrodziły się z „nowej ekonomicznej polityki", parły coraz natarczywiej do nowej rewolucyjnej rozprawy.

REWOLUCJA STALINOWSKA I PIERWSZE PIĘCIOLECIE

Drobne utarczki z „nepmaństwem" zdarzały się często przez cały okres Nepu, ale wówczas znaczyło to, że się zwalcza pewne szkodliwe deformacje i przerosty. Około r. 1927—28 następuje atak rządu na Nep jako system gospodarczy. Stopniowo ogranicza on i obciąża wysokimi opłatami a w końcu zupełnie kasuje wolny rynek wewnętrzny, handel paskarski i „czarną giełdę". W końcu r. 1928 Nep jest zlikwidowany. Ale drugim, niejako wyjściowym ogniwem w łańcuchu handlu paskarskiego był wiejski kułak. Toteż 27 grudnia 1929 r. Stalin złożył następujące oświadczenie: „Rząd postanowił porzucić politykę gospodarczą wiejską, która opiera się na kułakach i na systemie eksploatacji bezrolnych i małorolnych i inicjuje politykę, której celem będzie likwidacja kułaków jako klasy". Innymi słowy proklamowano kolektywizację produkcji wiejskiej.

Ale zamierzenia rządu były znacznie szersze. Reforma produkcji rolnej miała być fragmentem ogólnej przebudowy gospodarczej kraju według długofalowego planu, który był rezultatem wieloletnich rozmyślań teoretycznych i opierał się na doświadczeniach z okresu Nepu. Już w roku 1921 została ustanowiona komisja dla opracowania państwowego planu gospodarczego („Gosplan"). Do roku 1928 prace tej komisji były fragmentaryczne i odnosiły się tylko do najbliższego roku gospodarczego. Były to teoretyczne i doświadczalne prace przygotowawcze. Wynikiem ich było pierwsze sprawozdanie Gosplanu z r. 1926 pod tytułem: „Ogólne przesłanki planu odbudowy gospodarki narodowej" i sprawozdanie z roku 1927 pod tytułem: „Perspektywy rozwoju gospodarki narodowej ZSRR od 1926—27 do 1930—31". Wreszcie w roku 1929 ukazał się „Pięcioletni plan przebudowy gospodarki narodowej". Jak widać teoria i praktyka radzieckiej gospodarki planowej ma za sobą dłuższą przeszłość. Nie zrodziła się ona nagle w roku 1929. Myśl o planowej gospodarce nie jest zresztą nowa, leży ona bowiem u podstaw socjalizmu jako teorii gospodarczo-społecznej. Nowością było tylko to, że po raz pierwszy w dziejach można było myśl tę skonfrontować z twardą, nieubłaganą rzeczywistością i to w państwie, które posiada rozmiary kontynentu i rozporządza ogromnymi i różnorodnymi bogactwami naturalnymi. Okres nowej ekonomicznej polityki miał zatem dwa oblicza. Był osławionym Nepem, systemem gospodarczym i społecznym, który historia zdawało się zrodziła po to, aby grymasem ustrojowym zadrwić z marzeń ludzkich o sprawiedliwości społecznej i mądrości politycznej. Ale jednocześnie był okresem cichych rozważań i mało widocznych eksperymentów, z których wyrosła i dojrzała polityka gospodarki planowej.

Przesłanki planu pierwszego pięciolecia opierały się zarówno na tych eksperymentach, jak i na wynikach, do których doszła nowa ekonomiczna polityka. Szczególnie pouczające były zatory produkcji i sprzeczności gospodarcze, które ujawniły się w owym okresie. Uzdrowienie gospodarki narodowej wymagało przede wszystkim usunięcia jaskrawych braków w dziedzinie środków lokomocji i motoryzacji kraju. Trzeba było podnieść wytwórczość metalurgiczną, szczególnie w dziedzinie żelaza i stali. Wskazywało na to porównanie ZSRR ze Stanami Zjednoczonymi: w roku 1928 przeciętna roczna konsumcja wyrobów metalowych ZSRR wynosiła 14 kg. na mieszkańca, a w Stanach Zjednoczonych 468 kg. We współczesnej gospodarce wskaźnik konsumcji wyrobów metalowych jest do pewnego stopnia miernikiem potencjału przemysłowego. Słowem, należało za wszelką cenę rozbudować ciężki przemysł. Pamiętano w ZSRR słowa Lenina: „Nie można mówić o socjalizmie, jak długo nie będzie dobrze zorganizowanego ciężkiego przemysłu... Bez takiego przemysłu znikniemy z powierzchni ziemi nie tylko jako kraj socjalistyczny, ale jako kraj cywilizowany".

Równolegle z ciężkim przemysłem powinna była według Lenina rozwijać się elektryfikacja kraju. Uważał on to za główne zadanie najbliższych lat dziesięciu—dwunastu, które powinny stać pod hasłem: „komunizm — to władza radziecka plus elektryfikacja",

*) Louis Pommery, „Histoire économique contemporaine 1890—1939". Paryż 1945. Dane cyfrowe zaczerpnięte z tej książki uzupełniałem wykazami „Małego Rocznika Statystycznego", G. U. S., 1939.

Rozbudowa przemysłu powinna była dotrzymywać kroku wzrostowi źródeł energii. W ogóle należało usunąć dysproporcje między poszczególnymi gałęziami produkcji, jeśli idzie o tempo i natężenie ich rozwoju. Pierwszy plan pięcioletni przewidywał również wzrost produkcji artykułów użytku powszechnego i tym samym podniesienie stopy życiowej szerokich mas. Konsumcja roczna jednostki miała się podnieść w dziedzinie wyrobów bawełnianych z 15 do 21 metrów, wełnianych z ½ metra do 1,20 metra, obuwia z 0,4 do 0,75. Cyfry dojściowe nie są, oczywiście, imponujące w zestawieniu z poziomem konsumcji w Stanach Zjednoczonych lub w Europie zachodniej, ale nie wolno zapominać, że niski poziom, który wskazują cyfry wyjściowe, został przejęty w spadku po carskiej Rosji i że ZSRR był bezpośrednio nie tylko po pierwszej wojnie światowej, ale po rewolucji i wojnie domowej oraz interwencji aliantów połączonej z blokadą gospodarczą.

Przyjrzyjmy się osiągnięciom pierwszego pięciolecia:

Produkcja	ilość	w r. 1928	w r. 1932	wzrost lub ubytek o
energii elektr.	mil. kWh	5007	13 540	+ 174%
węgla	mil. t	35,4	64.3	+ 80%
nafty	mil. t	11,6	21.4	+ 74%
surówki	mil. t	3,3	6.1	+ 85%
stali	mil. t	4,2	5.9	+ 40%
cementu	mil. t	1,9	3.48	+ 85%
pszenicy	mil. q	215,2	202	— 6%
cukru	mil. t	12	8	— 25%

Cyfry te nie ujawniają całkowicie wzrostu produkcji. W przeciągu bowiem czterech lat rozpoczęto budowę wielu fabryk, które włączyły się dopiero później do procesu produkcji, podnosząc ją do poziomu jeszcze wyższego, aniżeli ten, który wskazują podane cyfry. Niektóre z tych fabryk są to istne giganty: zakłady metalurgiczne w Magnitogorsku, zajmujące drugie miejsce w świecie pod względem potencjału przemysłowego, uruchomienie zagłębia węglowego w Kuzniecku, sławna stacja hydroelektryczna na Dnieprze — największa w Europie, ogromna fabryka traktorów w Stalingradzie, zakłady aluminium w Dnieprozawodsku. Czy plan został całkowicie zrealizowany? W zasadzie — tak. Roczna stopa wzrostu produkcji miała wynosić według planu 21%, faktycznie osiągnęła ona przeciętnie nawet 21,6%, w tym jednakże przemysł ciężki produkujący sprzęt inwestycyjny (narzędzia produkcji) — 26,8%, a przemysł lekki, produkujący artykuły konsumcyjne — tylko 17%.

Zatem pierwsze pięciolecie położyło nacisk przede wszystkim na ciężki przemysł inwestycyjny. Osiągnięcia w produkcji artykułów użytku powszechnego nie zaspokoiły głodu w tej dziedzinie. Głód ten trwał nadal i po zrealizowaniu planu pierwszego pięciolecia. Prymat przemysłu ciężkiego i dotkliwy brak artykułów konsumcyjnych stanowią najsilniejsze argumenty krytyków radzieckiej polityki gospodarczej. Owa preferencja była bowiem rzeczywiście czymś zupełnie nowym w ekonomii: w historii kapitalizmu kolejność rozwoju była odwrotna, najpierw rozwijał się przemysł lekki, produkujący artykuły konsumcyjne, a dopiero w drugim rzucie rozrastał się przemysł ciężki, produkujący narzędzia wytwórcze. Tylko w sytuacjach wyjątkowych, jak np. podczas pierwszej wojny światowej, kapitalizm, mniej lub więcej etatyzowany, odwracał tę rzekomo naturalną kolejność pod wpływem doraźnych potrzeb militarnych. Z tego krytycy wysnuwają wniosek, że radziecki plan gospodarczy pierwszego pięciolecia był sztucznym płodem arbitralnej doktryny, i że plan ten został podyktowany przez zamaskowane cele militarne. Ale bliższe wniknięcie w historię polityki gospodarczej ZSRR ukazuje jak pierwsze pięciolecie wyrosło dialektycznie ze sprzeczności gospodarczo-społecznych Nepu. Widzieliśmy, jak niesłychanie ważne znaczenie miały niedostatki transportu w tym okresie gospodarki. Plan racjonalnej przebudowy gospodarczo-społecznej kraju, zajmującego ⅙ powierzchni ziemi, musiał się przede wszystkim zatroszczyć o rozbudowę przemysłu produkującego surowce i sprzęty konieczne do zmotoryzowania i zelektryfikowania kraju.

Mimo prymatu przemysłu ciężkiego osiągnięcia pierwszego pięciolecia były pod tym względem ciągle jeszcze niezadowalające. Kwestia bowiem transportu nie przestała być palącą i po roku 1932. Na XVII Zjeździe partii komunistycznej w roku 1934 powiedział Stalin: „Transport jest tym słabym odcinkiem, na którym może się potknąć, a bodaj już się zaczyna potykać cała nasza ekonomika i przede wszystkim nasz obrót towarowy... Dlatego zadanie rozwoju obrotu towarowego i decydującego udoskonalenia transportu stanowi kolejne najaktualniejsze zadanie: bez jego rozwiązania nie możemy posuwać się naprzód". Niewątpliwie, obok czysto gospodarczych argumentów i logiki struktury społecznej kraju, za prymatem przemysłu ciężkiego przemawiała również międzynarodowa sytuacja polityczna i komplikacje mogące z niej wyniknąć. Prawdą jest także, że preferencja udzielona przez plan pierwszego pięciolecia ciężkiemu przemysłowi uratowała narody ZSRR od zagłady, jaką im gotował międzynarodowy faszyzm i polityka antykominternu. Ale w teorii i praktyce pięcioletniego planu względy militarne odgrywały rolę drugorzędną. Jego spiritus movens był socjalizm, a nie militaryzm.

Cyfry odnoszące się do produkcji rolniczej wykazują spadek produkcji pszenicy o 6%, a cukru nawet o 25%. Prawie katastrofalne było obniżenie się liczby pogłowia: z 276 milionów w roku 1922 spadło ono do 124 milionów w roku 1932, podczas gdy plan pierwszego pięciolecia przewidywał w wyniku kolektywizacji wsi przyrost bydła o 60 milionów. Przyczyny tego spadku dopatrywała się współczesna prasa radziecka w zbyt szybkim tempie kolektywizacji. Faktycznie, w roku 1932 kołchozy obejmowały już 68% obszarów siewnych, a w eksploatacji indywidualnej pozostawało jeszcze 22% w porównaniu z 97% — w roku 1928 (pozostałe 10% przypadały na domeny państwowe, czyli sowchozy). Na skutek zbyt szybkiego tempa kolektywizacji nie udało się zabezpieczyć należycie przejmowanego inwentarza żywego, który, pozostawiony bez opieki w stajniach i oborach, ginął masowo z głodu. Z tego samego powodu nie można było również skutecznie przeciwdziałać sabotażowi ze strony wywłaszczanych kułaków, którzy stosowali masowy potajemny ubój. Zarówno ów spadek produkcji rolniczej, jak i dramatyczna rozprawa z kułakami stanowią drugi walny argument krytyków radzieckiej polityki gospodarczej. Ale ci krytycy upraszczają sprawę, ujmując ją w oderwaniu od ogólnego podłoża socjalnego i struktury gospodarczej Nepu i zapominają o głównych celach planu pierwszego pięciolecia. Nep musiał być zlikwidowany, jeżeli rewolucja październikowa nie miała się stać tragiczną pomyłką historyczną, a widzieliśmy, że kułactwo stanowiło główny jego filar. Zły stan transportu zagrażał krajowi klęską głodową w latach słabszych urodzajów. Podniesienie poziomu życia szerokich mas i — last but not least — bezpieczeństwo kraju wymagało szybkiego uprzemysłowienia. Ale ani do motoryzacji, ani do uprzemysłowienia kraju nie można było dojść, zachowując dawny system produkcji indywidualnej w rolnictwie. Planowa gospodarka nie mogła w swych dalekosiężnych zamierzeniach pominąć ani bazy żywnościowej kraju, ani tym mniej gałęzi rolnictwa, produkujących rośliny przemysłowe. Rozległe plany motoryzacyjne obejmowały również wieś, ale gospodarka indywidualistyczna na drobnej i średniej własności nie pozwalała na wprowadzenie do produkcji rolnej traktorów i nowoczesnych narzędzi pracy. Niezależnie więc od motywów ideowo-społecznych sama logika gospodarki planowej narzucała konieczność zastąpienia indywidualistycznej produkcji wiejskiej przez kolektywną.

Współczesnym obserwatorom, nawet niekoniecznie wrogo wobec ZSRR usposobionym, zdawało się, że „bolszewickie tempo" przebudowy było niezdrowym objawem masowej psychozy. Ale z dystansu historycznego nawet przeciwnicy ZSRR muszą to ocenić inaczej. Jak bowiem teraz widać, rok 1929, w którym zaczęło się pierwsze pięciolecie, był rokiem przesileniowym w sytuacji międzynarodowej, zarówno pod względem gospodarczym jak politycznym. W roku tym załamała się struktura kapitalizmu w Stanach Zjednoczonych i w Niemczech, w których to krajach doszedł on do najwyższego rozwoju. Załamanie się kapitalizmu niemieckiego było szczególnie brzemienne w skutki — niebezpieczne nie tylko dla ustroju społecznego, ale i dla samej egzystencji narodów ZSRR.

Aparat produkcyjny przemysłu niemieckiego osiągnął po pięcioletniej modernizacji (1925—1929) swój punkt szczytowy, ale jednocześnie załamała się katastrofalnie, wskutek kryzysu światowego, produkcja. Tradycyjny Drang nach Osten podtrzymywany tym razem przez specyficzne interesy i obawy międzynarodowego kapitału przyoblekał powoli nowy kształt, zwany ruchem narodowo-socjalistycznym, który szukał dla Niemiec „Lebensraumu" na ziemiach słowiańskich. W tych samych latach, w których ZSRR wprowadzał w życie pierwszy plan pięciolecia, narodowy socjalizm zmobilizował wszystkie siły wsteczne i zdobył władzę w Niemczech. Synchronizm tych wypadków ma w świetle doświadczeń drugiej wojny światowej wymowę tak potężną, że urasta niemal do symbolu historycznego. Lata 1929—1932 dawały ostatnią szansę państwu radzieckiemu. Na wahanie się nie było już czasu, a na względy nie pozwalały już warunki. Periculum in mora! Z perspektywy historycznej widać również głęboki sens owej rzekomej masowej psychozy, z której zrodziło się nieludzkie wprost tempo pracy ludności radzieckiej w okresie pierwszego pięciolecia. Był to wyścig, którego metą była egzystencja w sensie kulturalnym a nawet biologicznym. Pospiech był aż nadto usprawiedliwiony. Wykonanie pięcioletniego planu w ciągu lat czterech zadecydowało w dużym stopniu o przebiegu i wyniku epokowych wydarzeń w latach 1939—1945. Tempo to niemało kosztowało, ale każda walka wymaga wielkich i ciężkich ofiar.

DRUGIE PIĘCIOLECIE

Tak jak wprowadzenie Nepu wynikało logicznie z sytuacji gospodarczej kraju powstałej na skutek komunizmu wojennego, i jak pierwszy pięcioletni plan był niejako **dialektyczną** odpowiedzią na stan kraju wytworzony przez „nową ekonomiczną politykę", tak i plan drugiego pięciolecia nie miał nic wspólnego z apriorycznym doktrynerstwem. Jego teoretyczne opracowanie i praktyczna realizacja brały pod uwagę wyłącznie nowe potrzeby gospodarcze, które zaistniały w wyniku ogromnych osiągnięć z lat poprzednich. Plan ten bez żenady korygował błędy i niedociągnięcia nieuniknione w przedsięwzięciu, które co do swej istoty i swego zasięgu nie posiadało precedensu w historii.

W enuncjacjach Stalina zapowiadających wytyczne planu drugiego pięciolecia nie ma śladu demagogicznego tuszowania braków, jest natomiast ostra, naśladowania godna samokrytyka. W styczniu 1933 roku Stalin oświadczył: „W okresie pierwszej pięciolatki potrafiliśmy zorganizować entuzjazm, patos nowego budownictwa i osiągnęliśmy decydujące sukcesy. To bardzo dobrze. Ale teraz tego nie dość, teraz musimy to uzupełnić entuzjazmem opanowania nowych fabryk i nowej techniki, poważnym zwiększeniem wydajności pracy, poważnym zmniejszeniem kosztów produkcji, to teraz rzecz najważniejsza". W roku 1934 sprecyzował najbliższe zadania. „Ulepszyć jakość produkowanych towarów, położyć kres wydawaniu niekompletnej produkcji... osiągnąć systematyczny wzrost wydajności pracy, obniżenie kosztów produkcji i wprowadzenie zasady opłacalności gospodarczej. Usunąć ostatecznie brak odpowiedzialności osobistej w pracy i system jednakowych płac zarobkowych. Zlikwidować kancelaryjno-biurokratyczną metodę kierowania..." W roku 1935 Stalin postawił kropkę nad i: „Przedtem mówiliśmy, że „technika decyduje o wszystkim"... Technika bez ludzi, którzy opanowali technikę, jest martwa. ...Oto dlaczego dawne hasło — „technika decyduje o wszystkim", które jest odbiciem przebytego już okresu, gdy panował u nas głód w dziedzinie techniki — winno być obecnie zastąpione nowym hasłem, hasłem: „kadry decydują o wszystkim". To jest obecnie najważniejsze".

Innymi słowy: naczelne zasady planu drugiego pięciolecia obejmują racjonalizację, komercjalizację i że tak powiemy, humanizację metod produkcji.

Należy szczególnie dobitnie podkreślić te intencje radzieckiej polityki gospodarczej w kierunku **humanizacji** produkcji. Zasada ta ma różnoraki sens. Oznacza ona przede wszystkim, że wytwórczość nie jest celem sama w sobie, ale że ma służyć potrzebom człowieka, jednostki i zbiorowości. Zasada ta nakazuje dalej liczyć się z indywidualnymi uzdolnieniami jednostki w procesie wytwórczości. Nakazuje ona zwalczanie w życiu gospodarczym sztywnego i bezdusznego biurokratyzmu, który niwelując wszystko według szablonu zabija przedsiębiorczość jednostek i grup społecznych i ich zainteresowania procesami gospodarczymi. Co najważniejsze, zasada ta wymaga bezpośredniego udziału czynnika społecznego we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego. Słowem, humanizacja życia gospodarczego oznacza wprowadzenie w życie postulatów demokracji gospodarczej. Tymczasem wroga propaganda stale rozpowszechniała pogląd, że polityka gospodarcza ZSRR przecenia maszynę i szablon biurokratyczny, a nie docenia człowieka i jego właściwości **indywidualnych.** Propaganda ta imputuje radzieckiej polityce gospodarczej tendencje technokratyczne. Z cytowanych enuncjacji Stalina widać, jak dalcka jest gospodarka radziecka od tego rodzaju tendencji. Natomiast prawdą jest, że istnieją duże dysproporcje pod tym względem między zamierzeniami a osiągnięciami. Szczególnie rażąca była ta dysproporcja w wynikach osiągniętych przez pierwsze pięciolecie. Ale jest to łatwo zrozumiałe, albowiem zrealizowanie programu demokracji gospodarczej jest rzeczą znacznie trudniejszą i wymaga o wiele dłuższego czasu, aniżeli wybudowanie nawet takich gigantów przemysłowych, na jakie zdobył się ZSRR. Istotną rzeczą jest fakt, że radziecka polityka gospodarcza zdaje sobie sprawę z niedociągnięć w tej dziedzinie.

Zgodnie z nowymi zasadami planu drugiego pięciolecia rozbudowa ilościowa przemysłu schodzi na drugi plan w hierarchii ważności. Gdy w pierwszym pięcioleciu roczny wzrost produkcji wynosił blisko 22% — drugie pięciolecie powinno było podnieść wytwórczość rocznie tylko o 13 do 14%. Zarówno zwrócenie się frontem do człowieka jako też położenie nacisku na jakość wytworów nakazywało zwolnienie tempa i czasowe odprężenie. Dlatego liczby podające osiągnięcia drugiego pięciolecia są mniej imponujące, aniżeli cyfry pierwszego. Ale też nie są one zupełnym obrazem zdobyczy gospodarczych. Osiągnięcia bowiem w dziedzinie np. jakości wytworów z natury rzeczy trudno ująć liczbowo.

Racjonalizacja produkcji wymagała dużej koncentracji warsztatów pracy. Koncentrację tę przeprowadzono w dwóch kierunkach: „poziomym" i „pionowym". Koncentracja „pozioma" wytwarza trust. Koncentracja „pionowa" daje kombinat. Trust jednoczy pod wspólnym kierownictwem liczne warsztaty pracy, które produkują ten sam półfabrykat lub fabrykat (np. trust żelaza i stali, trust odzieżowy itp.). Kombinat łączy we wspólnym środku dyspozycyjnym zakłady, które produkują wprawdzie różnorodne wytwory, ale z tych samych podstawowych surowców. Gdy trust jest przede wszystkim albo nawet wyłącznie zjednoczeniem gospodarczym, kombinat jest zorganizowany na podstawie nie tylko gospodarczej, ale również technologicznej. Kombinat ma więc zasięg znacznie szerszy, aniżeli trust, może bowiem jednoczyć liczne trusty. W ogóle kombinat ma nieograniczone możliwości rozwoju, tak że znany geograf radziecki Mikołaj Michajłow pisał w roku 1935 *), że w wyniku planowej gospodarki — Związek Radziecki przekształca się stopniowo w kombinat kombinatów. Typowym przykładem kombinatu było (zniszczone przez Niemców) zjednoczenie „pionowe" warsztatów pracy, które rozbudowały się dookoła Dnieprostroju, jako źródła energii hydroelektrycznej. Kombinat ten obejmował fabryki aluminium, fabrykę elektrod, zakład dla elektrolizy, fabrykę metalurgiczną z sekcją stali elektrycznej, hutę produkującą żelazo tungstenowane, koksownię i pewną ilość fabryk materiałów budowlanych. Sławny jest kombinat w Kuzniecku, który rozrósł się dookoła tamtejszego zagłębia węglowego, jako źródła energii. Kombinat ten zwany Kuzbas obejmuje fabryki metalurgiczne, produkcję maszyn, zakłady chemiczne, stacje elektryczne i inne. Celem kombinatów jest najbardziej celowe zużytkowanie surowców podstawowych i pochodnych, oszczędności w dziedzinie transportu i racjonalne zharmonizowanie różnych gałęzi produkcji dla uniknięcia zatorów. Trust natomiast ma przede wszystkim na celu uzgodnienie produkcji z konsumcją.

Zasada **komercjalizacji** produkcji domagała się obniżenia kosztów własnych wytworów przez podniesienie wydajności pracy. Wyższą wydajność można osiągnąć głównie przez udoskonalony podział pracy pomiędzy poszczególnych członków załogi zakładowej. Udoskonalony podział pracy stosowany jest również w krajach kapitalistycznych. Osiągnął on duże wyniki szczególnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie go określają jako tayloryzm. Tayloryzm narodził się w laboratoriach psychotechnicznych. Psychotechnika amerykańska, jak zresztą cała prawie psychologia tamtejsza (tzw. behavioryzm), nie uznaje świadomości i ogranicza swoje badania wyłącznie do objawów pierwotnie mechanicznych lub wtórnie zmechanizowanych w człowieku. Tayloryzm rozkłada pracę na proste ruchy, które bada i ustala w laboratoriach, a potem z góry narzuca je robotnikom. Traktuje on człowieka jak kółko w mechanizmie i wymaga od niego tylko ruchów automatycznych, bez świadomości celu, do którego te ruchy ostatecznie zmierzają. Tayloryzm jest wykwitem systemu gospodarczego, który każde dobro a więc i pracę ludzką traktuje jako towar. Płaci się za precyzyjność i szybkość ruchów, płaci się dobrze, jeśli inaczej nie można. Ale imponderabilia takie jak uświadomienie robotnika i motywy jego postępowania nie mają żadnego znaczenia w systemie gospodarki towarowej.

Zupełnie inny charakter posiada udoskonalony podział pracy drugiego pięciolecia. W pierwszych dniach 1935 roku prasa radziecka podała do wiadomości, że Stachanow, młody górnik w Zagłębiu Donieckim, osiągnął dzienną normę wydobycia 102 ton węgla, gdy przeciętna norma wynosiła 6,5 tony. Tę wysoką normę osiągnął on przez pomysłowe zorganizowanie podziału pracy między członków zespołu i przez udoskonalone użycie narzędzi pracy. Już sama geneza tego udoskonalonego podziału pracy jest niezmiernie charakterystyczna: narodził się on z samorzutnych prób i doświadczeń prostego robotnika. Zjawisko to wyrosło ze specjalnych warunków w ZSRR, w którym wieloletnie budownictwo planowe i popularyzacja zagadnień ekonomicznych wytworzyły swoisty ruch umysłowy ogarniający najszersze masy społeczeństwa. Warunki te zadecydowały o losach tego wyczynu; nie pozostał on odosobniony, ale prędko przekształcił się w szeroki ruch społeczny. Już w październiku 1935 roku odbyła się pierwsza konferencja stachanowców w przemyśle i transporcie. Na konferencji tej powiedział Stalin: „Ruch stachanowski to taki ruch robotników i robotnic, który wejdzie do historii naszego budownictwa socjalistycznego jako jedna z jej najchlubniejszych kart... Ruch stachanowski to taki ruch robotników i robotnic, który stawia sobie za cel przekroczenie obecnych norm technicznych, przekroczenie zaprojektowanych potencjałów wytwórczych, przekroczenie istniejących planów i bilansów wytwórczości. Przekroczenie — dlatego, że te właśnie normy stały się przestarzałe dla naszych czasów, dla naszych nowych ludzi... Mówiono tu już, że ruch stachanowski, jako wyraz nowych, wyższych norm technicznych, stanowi wzór wysokiej wydajności pracy, jaką dać może jedynie socjalizm i jakiej nie może dać kapitalizm. Jest to zupełnie słuszne". Krytycy radzieckiej polityki gospodarczej wysuwają argument, że tayloryzm może się wykazać równie wysokimi osiągnięciami wydajności pracy, ale argument ten pomija istotę rzeczy. Ani z punktu widzenia humanitarnego, ani z punktu widzenia gospodarczego nie można uważać za rzecz obojętną, czy człowiek wydajność swej pracy sprzedaje na rynku jak każdy inny towar, czy też świadomie ją daje społeczeństwu.

*) „Nouvelle Géographie de l'USRR". 1935/6. Paryż, 1936 (tłumaczenie francuskie).

MALARSTWO FRANCUSKIE

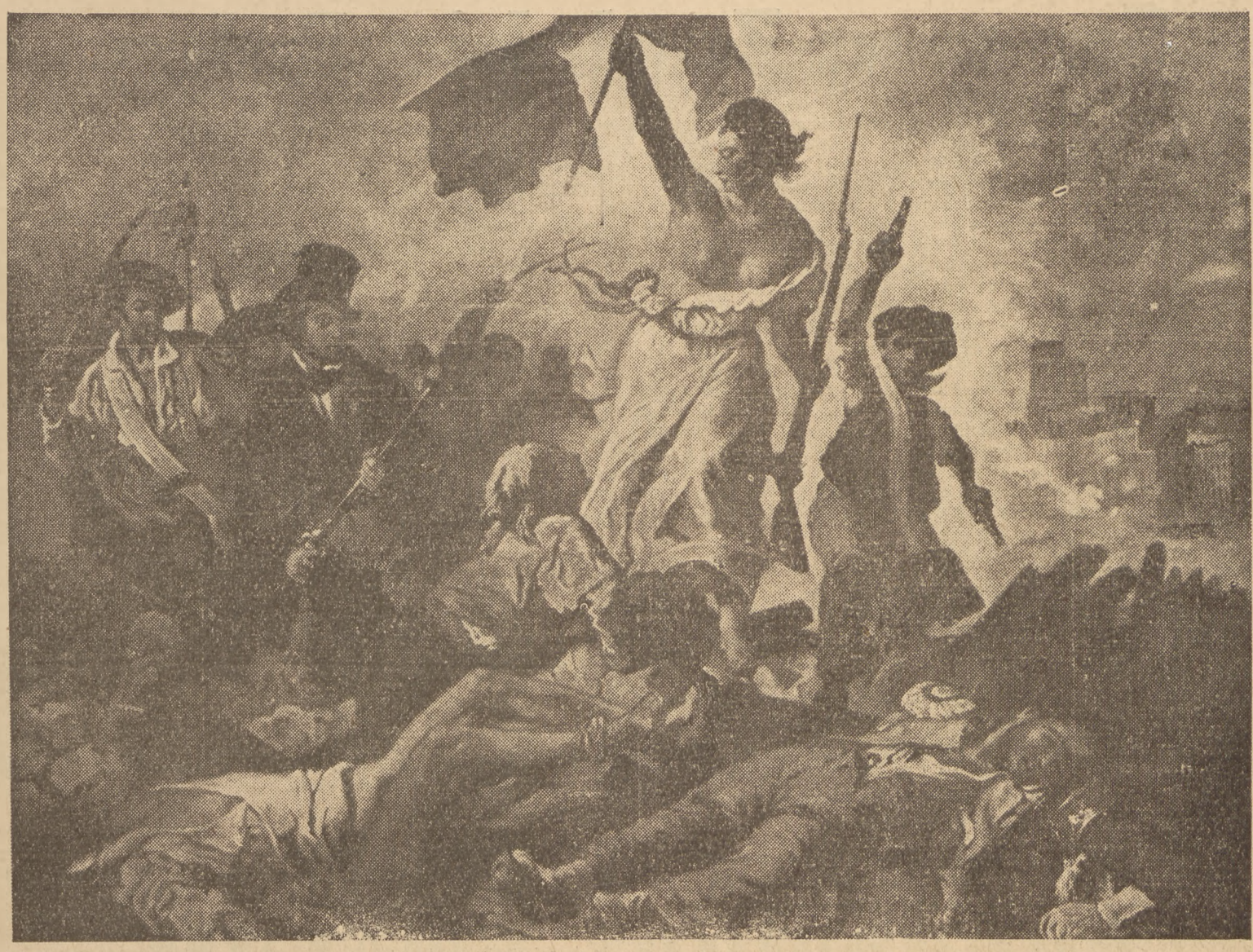

EUGENE DELACROIX **Wolność prowadzi lud (1831)**

Zróżnicowanie warunków płacy miało również przyczynić się do podniesienia wydajności pracy i jednocześnie spowodować polepszenie jakości wyrabianych fabrykatów oraz usunąć przerosty biurokratycznego szablonu. W kwestii płac wojenny komunizm głosił hasło: **„każdemu według jego potrzeb"**. Szczupłość dochodu narodowego i ogromne wydatki inwestycyjne spowodowały, że w pierwszym pięcioleciu hasło to w praktyce przybrało formę „urawniłowki" tj. prymitywnej równości płac na bardzo niskim poziomie. Toteż drugie pięciolecie rzuca nowe hasło, jeśli chodzi o płace: **„każdemu wedle jego pracy"**. Realizowanie tego hasła doprowadziło do wielkiego zróżnicowania płac, które krytycy radzieckiej polityki gospodarczej piętnują jako objaw niedemokratyczny. I w tym wypadku jednakże krytyka ta pomija bardzo istotne zagadnienia. Krytycy zapominają o nieznanej w ZSRR ogromnej dysproporcji między dochodami właścicieli wielkich fortun w krajach kapitalistycznych, a przeciętnymi warunkami egzystencji szerokich mas. Nie uwzględniają tego, że różnorodne formy opieki państwowej i społecznej zapobiegają ewentualnym objawom niedemokratycznym, których czasowo uniknąć nie można. Nie wspominają o tym, że w ZSRR jednocześnie uznaje się i realizuje hasło: **„każdemu minimum egzystencji"**. Wśród swych argumentów nie wymieniają skomplikowanego systemu instytucji państwowych, które przy pomocy stypendiów i innych ułatwień mają zabezpieczyć równe warunki startu życiowego dla pracowników zatrudnionych w dziedzinach gospodarki narodowej gorzej opłacanych.

O wynikach obu pięcioleci informują poniższe cyfry:

Produkcja	ilość	w r. 1913*	w r. 1937	przyrost o
energii elektr.	milion. kWh	1945	45 000	2210%
węgla	milion. t	27,8	122,5	351%
nafty	„ „	9,2	27,8	200%
surówki	„ „	4,2	14,5	245%
stali	„ „	4,8	17,7	269%
aluminium	tysięcy t	—	45	—
cementu	milion. t	1,9	5,6	190%
automobilów	sztuk	—	215 000	—
pszenicy	milion. q	206	468	127%
żyta	„ „	189	294	56%
ziemniaków	„ „	202	656	202%
cukru	„ t	1,3	2,5	92%
lnu	tysięcy q	3398	5700	67%
wełny	„ t	91	117	28%
bawełny	„ q	1962	8546	336%

* średnio w latach 1909—1913.

Z liczb tych widać, że w wyniku obu pięcioleci najsilniejszy wzrost wykazała produkcja źródeł energii i przemysłu ciężkiego. Wprawdzie w drugim pięcioleciu inwestycje przemysłu ciężkiego pochłonęły 52 miliardy rubli, a przemysł lekki tylko 16 miliardów, ale porównanie obu pięcioleci wykazuje znaczne przesunięcie na korzyść przemysłu lekkiego w drugim pięcioleciu. Podczas, gdy inwestycje przemysłu lekkiego w drugim pięcioleciu były 4,5 razy większe, aniżeli w pierwszym — to inwestycje przemysłu ciężkiego były tylko dwa razy większe. Cyfry odnoszące się do rolnictwa wskazują, że katastrofa grożąca aprowizacji wskutek zbyt szybkiej kolektywizacji wsi w pierwszym pięcioleciu została w drugim całkowicie zażegnana. Wzrost produkcji zbóż jest imponujący. Ilość pogłowia nie osiągnęła wprawdzie poziomu z 1928 r., ale i tutaj sytuacja znacznie się poprawiła.

Tempa kolektywizacji wsi nie zwolniono, i w r. 1935 gospodarka indywidualna w dawniejszej formie przestała istnieć. Ale jednocześnie doświadczenie wykazało konieczność pogodzenia potrzeb społeczeństwa w kierunku kolektywizacji wytwórczości rolnej z tradycyjnym przywiązaniem chłopa do własności prywatnej i gospodarki indywidualnej. Nowy statut kołchozów pozostawia przeciętnie 1/2 hektara ziemi w indywidualnym władaniu kołchoźnika, który jest również uprawniony do hodowania pewnej ilości bydła domowego. Rozprowadzaniem produktów do konsumentów zajmują się sklepy państwowe i spółdzielnie; zaznacza się przy tym tendencja do zwiększenia państwowych punktów sprzedaży na niekorzyść spółdzielni.

Biuletyn ekonomiczny Ligi Narodów w roku 1936 stwierdzał: „Zwrócono większą uwagę na aprowizację w dziedzinie artykułów pierwszej potrzeby i na rozwój przemysłu lekkiego. System kartkowy został skasowany i zaopatrywanie ludności artykułami tekstylnymi i w ogóle artykułami bieżącej konsumcji poczyniło duże postępy". Mimo dużej niewątpliwie poprawy jakość pozostawiała jeszcze dużo do życzenia, a ceny fabrykatów były ciągle za wysokie w stosunku do przeciętnych wynagrodzeń za pracę. Ale nawet przeciwnicy polityki gospodarczej ZSRR stwierdzali, że poziom życia podnosi się wprawdzie powoli, ale bez przerwy.

Pierwsze i drugie pięciolecie zmieniły ZSRR z kraju rolniczego w przemysłowy, który w roku 1937 zajmował trzecie miejsce w świecie, po Stanach Zjednoczonych i Niemczech. Trzecie pięciolecie zostało zapoczątkowane w roku 1938 i już w roku 1939 można było stwierdzić dalszy wzrost produkcji stali i węgla. Wzrastała również produkcja artykułów konsumcyjnych i podnosił się dość szybko poziom życia najszerszych mas. Wybuch wojny światowej przerwał ten tak dobrze zapowiadający się rozwój. Sytuacja międzynarodowa i przewidywany napad Trzeciej Rzeszy zmusiły ZSRR do zejścia z „linii generalnej" i do czasowego przestawienia gospodarki narodowej na cele wojenne. Na analizę tej wojennej polityki ZSRR jest jeszcze za wcześnie, bo zbyt mało o niej wiemy. Jedno wszakże można powiedzieć: wojna, w którą Związek Radziecki został uwikłany była experimentum crucis, decydującą próbą realności i celowości jego polityki gospodarczej zarówno pokojowej jak wojennej. Rezultatem bowiem jej była zwartość moralna narodów radzieckich, która była największą niespodzianka dla wrogów ZSRR. Plany strategiczne Trzeciej Rzeszy opierały się na rachubie rychłego moralnego i społecznego załamania się ZSRR po pierwszych większych porażkach na polu bitwy. Porażki te rzeczywiście nastąpiły, bo polityka gospodarcza była przede wszystkim skierowana na przebudowę społeczną kraju, a przestawienie jej na cele militarne wymagało dość długiego czasu. Jednakże mimo klęsk w początkowej fazie wojny, mimo to, że niemieckie czołówki dotarły do przedmieść Moskwy i Leningradu, wdarłszy się głęboko w centrum kraju, mimo utraty znacznej części swego potencjału ludzkiego i gospodarczego, społeczeństwo radzieckie nie załamało się moralnie. Przeciwnie, zdobyło się na wysiłki, które w całej pełni ocenić dopiero będzie mogła historia. Te imponderabilia były nadbudową radzieckiej bazy gospodarczej, której osiągnięcia ujęliśmy w milionach kilowatów i kwintali.

Powojenna polityka gospodarcza ZSRR nawiązuje ponownie do owej „linii generalnej", której wykres, że tak powiemy, dialektyczny, staraliśmy się nakreślić. Rozważania nasze były krytyczne, a nie apologetyczne. Istnieją jednakże różne rodzaje krytyki. Owe ciągłe jeszcze u nas i gdzie indziej krytyczne wypowiedzi o gospodarce radzieckiej, o których wyżej była mowa, pochodzą przeważnie z mętnego źródła wyrafinowanej propagandy uprawianej przez sfery, których stan posiadania jest bezpośrednio lub pośrednio zagrożony przez sukcesy tej gospodarki. Pod maską tej krytyki występuje w gruncie rzeczy walka klasowa. Bywa jednakże krytyka, wprawdzie rzetelna i o intencjach czysto intelektualnych, dla której jednak sens rozwoju gospodarczo-społecznego ZSRR jest nieuchwytny. Jest to krytyka, której obce jest myślenie dialektyczne. Przykładem takiej krytyki była głośna przed wojną książka A. Gide'a pod tytułem „Retour de l'U. R. S. S.". Przytoczymy z niej jeden najbardziej charakterystyczny sąd: „Boję się, że różnice społeczne zaostrzają się. Obawiam się, że powstanie niebawem nowy rodzaj burżuazji, robotniczej wprawdzie, ale uprzywilejowanej i aż nadto podobnej do naszego drobnomieszczaństwa. Dostrzegam wszędzie zapowiadające to symptomy... Widać jak się kształtują warstwy społeczne, jeżeli już nie klasy — pewien rodzaj arystokracji. Nie mówię tu o arystokracji zasługi i wartości osobistej, lecz właśnie o tej prawomyślnej, konformistycznej, która w następnej generacji przekształca się w arystokrację pieniądza".

Obawy Gide'a, które w swoim czasie tyle wrzawy narobiły zarówno wśród przeciwników jak i zwolenników radzieckiej polityki gospodarczo-społecznej, wynikły z niezrozumienia dialektycznej mentalności cechującej kulturę radziecką. Gide odkrył dysproporcje między planem a jego wykonaniem i... przeraził się. Myśl radziecka szuka niedociągnięć, aby je zlikwidować. Widzieliśmy, że w ZSRR niedomagań się nie tuszuje, a błędów się nie ukrywa. Plan pierwszego pięciolecia zmierzał w istocie swej do likwidacji sprzeczności gospodarczych i społecznych Nepu; drugie pięciolecie usuwało niedociągnięcia pierwszego. Odkrywanie sprzeczności w teorii i likwidowanie ich podłoża w rzeczywistości stanowi właśnie istotę myślenia i działania dialektycznego*). Gide mierzył stosunki radzieckie miarą francuską, miarą kraju, który przestał się rozwijać zarówno pod względem ludnościowym jak i gospodarczym. Tymczasem Związkowi Radzieckiemu rocznie przybywa przeszło trzy miliony obywateli, a dynamizm wyzwolony przez rewolucję październikową bynajmniej nie stracił na sile i po drugim pięcioleciu.

Zgoła inaczej wypadł sąd ogólny B. Shawa o polityce gospodarczej ZSRR. Ten największy kpiarz współczesny zdobywa się czasami na wypowiedzi, które chcą być brane na serio. W książce pt. „Soviétisme et Fascisme" (Paryż, 1938, tłumaczenie francuskie) można czytać: „Socjalizm nie jest jeszcze zupełnie zrealizowany w ZSRR, ale jest on na drodze do urzeczywistnienia i każdy rok stanowi postęp w tym kierunku. Stanie się on zupełną rzeczywistością wówczas, gdy produkcja będzie dostatecznie wielka, aby zaspokoić wszystkie potrzeby społeczeństwa". Ten osąd Shawa jest prawie... dialektyczny. Dlatego też jest on znacznie bliższy prawdy aniżeli obawy Gide'a.

St. A. Majewski

* Bliższe rozwinięcie tych myśli znaleźć można w pracach St. A. Majewskiego pt. „Niektóre posiadanie dialektyki" (w „Lewym Torze", grudzień 1945) i „Marksizm — filozofia czynu" (w „Lewym Torze", styczeń—luty 1946).

W poprzednim podwójnym (73—74) numerze „Odrodzenia" z dnia 21 kwietnia: **Józef Sieradzki:** Rozmyślania o pokoju. — **Jan Alfred Szczepański:** Od Teodora do Franklina Roosevelta. — **Julian Przyboś:** Wiersz-płacz. — **Konrad Rudnicki** (rysował **Adam Marczyński**)**:** W okrążeniu pod Kotfinem. — **Stefan Otwinowski:** Wielkanoc. — **Teodor Goździkiewicz** (rys. **Maciej Makarewicz**)**:** Kradzież. — Malarstwo polskie **(Piotr Michałowski).** — **Tadeusz Sokół:** Prośba. — **Jadwiga Kozłowska:** W Wańkowej. — **Leopold Staff:** Kręgi. — **Kazimiera Kosińska:** Przyjaźń. Cel. — **Mieczysław Pruszyński:** Kłopoty błyskawicznej wojny. — Malarstwo francuskie **(Pierre Bonnard).** — **Tadeusz Różewicz:** Wyrok. — **Jan Tański:** Mickiewiczowska satyra na mieszczan. — **Helena Blumówna:** Malarstwo Czesława Rzepińskiego. — **Ludwik Sawicki:** Organizacja nauki w Związku Radzieckim. — **Anton Priszelec** (przełożył **K. A. Jaworski**)**:** Matka. — **Giergij Suworow** (przełożył **K. A. Jaworski**)**:** *** — **Stanisław Kowalewski** (rysował **Eugeniusz Waniek**)**:** Bocznica. — **Krzysztof Gruszczyński:** Greczynka. — **Ignacy Szaniawski:** Oblicze społeczne Bronisława Trentowskiego na tle wydarzeń 1846 r. — **Krystyna Grzybowska:** Czy teatr upowszechniony? — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia". **(Stanisław Bąkowski, Bronisława Bobrowska, Witold Biernawski, Michał Maksymilian Borwicz, Stanisław Brzeziński, Antonina Brzozowska, Maria Dąbrowska, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Kornel Filipowicz, Helena Hellerówna, Paweł Hertz, Mieczysław Jastrun, Kazimierz Andrzej Jaworski, Mieczysław Kafel, Zygmunt Kałużyński, Stanisław Nędza-Kubiniec, Helena Łysakowska, Wilhelm Mach, Janusz Minkiewicz, Hanna Mortkowicz-Olczakowa, Zdzisław Nardelli, Jan Papuga, Leon Pasternak, Jerzy Pogonowski, Witold Powell, Janina Rościszewska, Nina Rydzewska, Władysław Rymkiewicz, Włodzimierz Słobodnik, Maria Szczepańska, Jan Alfred Szczepański, Kazimierz Truchanowski, Maria Wicherkiewicz, Mieczysław Zielenkiewicz, Eugeniusz Zieliński)** — **Bronisława Ostrowska:** Najpiękniejszy film na świecie. — **Henryk Vogler:** Dwaj poeci chłopscy. — **Stanisław Witold Balicki:** Odwiedziny teatralne. „Wieczór Trzech Króli" w Katowicach — **Marian Promiński:** Petarda pod mieszczańską rodzinę. Premiera „Pasażera bez bagażu" w Starym Teatrze. — Korespondencja **(Leonard Podhorski-Okołów, J. A. Szczepański, Mieczysław Kafel).** — Nagroda literacka Łodzi. — **sja:** Nadkoniunkturalizm. — **zb:** Przegląd prasy. — **Charlie:** Uroczysta akademia w roku kościuszkowskim (rys.). — **jaszcz:** Purpura, fiolet i barwa brunatna. — 15 ilustracyj. — 24 strony.

TADEUSZ BREZA

Sprawa Zagłębia Ruhry

Na zaproszenie Towarzystwa Przyjaźni Polsko Francuskiej w Krakowie, prof. Walery Goetel. rektor Akademii Górniczej, wygłosił odczyt pt. „Sprawa Zagłębia Ruhry". Zagadnienie to. które pasjonuje całą dzisiejszą Francję przede wszystkim dlatego, że po tamtej wojnie rozwiązano je w sposób błędny, pozostawiając ostatecznie w rękach Niemiec tę kuźnię ich broni, znalazło w prof. Goetlu, polskim rzeczoznawcy na konferencji poczdamskiej, doskonałego specjalistę. Jego relacja fachowa, poparta setką cyfr rozsianych po wykazach, statystykach i diagramach, rozciągających się przez całą długość jednej ze ścian sali wykładowej, uprzytomniała słuchaczom, posługując się coraz to innym zestawieniem porównawczym, czym jest Zagłębie Ruhry. O tym, jaką ono jest potęgą, jakim kolosem i o tym. jaką ma szczególną zdolność do błyskawicznych regeneracji, czytamy teraz w naszych pismach. Coraz to ktoś przypomina nam, że jeden z największych zespołów wytwórczych Ruhry to zakłady Kruppa. Po tamtej wojnie na mocy rozeznania i zarządzeń różnych komitetów alianckich zniszczono Kruppowi blisko połowę maszyn ze względu na ich charakter broniotwórczy. Potrzeba było zaledwie 10 lat, żeby zakłady całkowicie wydobrzały po takiej katastrofie. Są one niezniszczalne. tak jak całe Zagłębie. Zawdzięczają to głównie ziemi. Bo to ona w łonie swoim. na niewielkim obszarze, zawiera cudowny komplet najważniejszych surowców. potrzebnych do produkcji o typie ciężkoprzemysłowym. Całą czwórkę gatunków węgla. i ten chudy, i ten tłusty, i ten gazowy. i ten płomienny. Spoczywają one w pokładach akurat takiej miąższości jak trzeba. Tuż obok zapasy różnorakiej rudy. Teren tych surowców znakomicie unerwiają drogi wodne. Istny to raj dla przemysłowca. Mlekiem i miodem płynąca ziemia; mlekiem tym jest żelazo, a miodem węgiel.

Lecz dopiero porównawcze diagramy i statystyki ujawniają w całej pełni, czym jest Ruhra. Nazwę tego Zagłębia spotykamy we wszystkich czołówkach kolumn z cyframi. Ruhra jest jak gdyby samodzielnym państwem, które siłą swoich zapasów, wydobyciem i produkcją mierzyć się może z globalną produkcją czy to całej Ameryki, czy to ZSRR, czy Anglii. Nasze szczęście, że zmierzywszy się nie wytrzymuje miary. Ale nie zapominajmy, że trzeba było łącznie aż trzech największych produkcji świata na jedną Ruhrę, aby jej dać radę. Francja o tym pamięta wciąż i dzwoni na alarm. Tym energiczniej, że od wschodu jedno ramię potęgi Niemiec zdołano już uciąć — to Śląsk. Francja nie może pojąć, czemu pod zarządem Niemiec, nie dzisiejszych, ale tych przyszłych, choćby najbardziej demokratycznych, ma pozostawać ramię drugie.

Ale od tych rozważań gospodarczych przejdźmy do politycznych. Podczas niedawnej, oficjalnej wizyty delegacji pisarzy polskich w Paryżu (por. „Odrodzenie", nr 72), francuskie ministerstwo spraw zagranicznych zorganizowało specjalną konferencję prasową poświęconą najważniejszym współczesnym zagadnieniom politycznym swego kraju. A więc przede wszystkim sprawie umiędzynarodowienia Zagłębia Ruhry. Umiędzynarodowienie takie jest w skali globowej mniej więcej tym samym, czym w skali jednego państwa może być upaństwowienie. Na całe dzieje Ruhry, zbrojowni Niemiec, z której naród niemiecki trzy razy już czerpał broń napastniczą przeciw ludzkości, można patrzeć jak gdyby na dzieje jakiejś prywatnej firmy, która swoją aspołeczną polityką działa na szkodę ludności. Taką firmę należy umiędzynarodowić.

Na tej konferencji prasowej zapytywaliśmy rzecznika francuskiego, w jaki sposób byłoby międzypaństwowo zawiadywane Zagłębie Ruhry. Ale Francja na terenie międzynarodowym nikogo w tej chwili nie wciąga w rozważania na temat „jak", dopóki nie przesądzona sprawa „czy". Czy w ogóle! Oczywiście plany francuskie dotyczące wspólnej międzynarodowej administracji Ruhry istnieją. Zostały przez wiele międzyministerialnych komisji opracowane, ale Francja nie ujawnia ich, gdyż właśnie broni się przed przeniesieniem dyskusji na szczegóły wówczas, kiedy jeszcze nie jest przesądzona zasada.

A sama zasada? Francja na terenie międzynarodowym. na konferencjach i w swojej prasie posługuje się absolutnie tymi samymi faktami historycznymi i cyframi gospodarczymi, które podaje prasa polska. Tyle, że intensywniej podkreśla, w czym tkwiły istotne przyczyny niemieckiego pędu ku Alzacji i Lotaryngii Opiera się on wcale nie na kulcie historycznym tych prowincji, ale na kulcie rudy, w którą prowincje te są bogate. W sensie przemysłowo-geologicznym Ruhra. Saara i Lotaryngia to pewna całość. Lotaryngia ma wspaniałe pokłady rudy, których w zespole bogactw westfalsko-reńskich po części brak. Stąd Ruhra musi pomykać ku Lotaryngii Koncepcję Niemiec dotyczącą sposobu w jaki należy zaspokoić przemysłowe tęsknoty, które żywią ku sobie ruda i Ruhra — znamy. Realizacja tej koncepcji to łańcuch wojen. Najpierw o Lotaryngię, potem dzięki lotaryńskiej rudzie o panowanie nad światem. Skoro więc świat zostaje doprowadzony do rozpaczy, ilekroć Ruhra bierze w swoje ręce inicjatywę, aby się zespolić w jeden organizm przemysłowo-gospodarczy z lotaryńską rudą, spróbujmy zobaczyć, co nastąpi, jeżeli teraz z kolei ruda lotaryńska zacznie szukać takiego związku. To byłby gospodarczy aspekt francuskich dążeń w sprawie Ruhry.

Prócz historycznych i gospodarczych argumentów Francuzi wysuwają jeszcze argument atomowy. Argument ewentualnej, przyszłej bomby atomowej niemieckiej. Bomba ta bowiem ma to do siebie, że rodzić się może tylko z przemysłowych gigantów. Przyrządzanie jej przebiega przez wiele faz. Do każdej fazy potrzebna jest z reguły kolosalna fabryka. Całe łańcuchy gigantycznych zakładów. Ruhra jest jednym z nielicznych zespołów gospodarczo-przemysłowych świata, który może łańcuch takich zakładów z siebie wyłonić. Ustalać w tych warunkach przyszłość Ruhry w ten sposób, że, choćby nawet na najdalszym kawałku tej przyszłości, Ruhra mogłaby przejść w swobodne i niczym niekontrolowane władanie Niemiec, jest jawnym szaleństwem. Cóż z tego, kiedy na świecie spośród tych, którzy nie mają głosu w tej sprawie, rozumiemy to tylko my. A spośród tych, którzy taki głos mają, jedynie Francuzi i może Rosjanie.

Powiadam może, ponieważ rosyjski punkt widzenia w tej sprawie jest trudny do uchwycenia. Od strony francuskiej patrząc, wygląda on dwojście. Wedle ustaleń berlińskich niemiecki potencjał przemysłowy ma zostać wyraźnie osłabiony. Takie osłabienie przeprowadzone by zostało za jednym zamachem, gdyby od Niemiec dało się odłączyć Ruhrę. Gdyby jednak przyjąć ten plan, czy nie pociągnęłoby to za sobą zachwiania się poprzedniego planu, berlińskiego, który między innymi przyznawał właśnie ZSRR na drodze odprzemysławiania Niemiec tysiące różnych niemieckich zakładów? Bo po takim cesarskim cięciu z Ruhrą alianci poczuliby się zupełnie pewni, że nic już im nigdy nie będzie mogło zagrażać ze strony Niemiec. Berlińskim ustaleniom odjęłoby to wszelką aktualność. ZSRR zaś chodzi nie tylko o aktualność i o zagrożenie, ale również o fabryki. Z wielu względów pewniej by się czuł, mając tę część zakładów z Zagłębia Ruhry, które by mu mogły przypaść, już przeniesioną na jego teren, o innych wiedząc, że raz na zawsze zostały zagwożdżone. Mimo to Rosja przysłuchując się francuskiemu projektowi umiędzynarodowienia Ruhry z zainteresowaniem, może uważając go za niezły projekt zapasowy, nie wypowiada gotowości poparcia go, zwłaszcza z tego względu, że nie wie, ku czemu gospodarczo i wytwórczo dążyć będzie to ciało administrujące w imieniu międzynarodowym Ruhrą. Umiędzynarodowienie bowiem jest słowem ślicznym, ale nie dokładnym. Czy w tym wypadku na przykład „umiędzynarodowienie" nie będzie to po prostu „ualiantczenie" Ruhry? Bo cóż z tego, że ZSRR wejdzie do władz podobnego międzynarodowego nadzoru, mając tylko jeden głos. Przeciw kilku innym. Przeciw czyim? Przeciw jakim? Ruhra była arsenałem Niemiec! Umiędzynarodowiona Ruhra może stać się arsenałem bloku zachodniego. Z punktu widzenia sowieckiego nie byłoby to rozwiązanie zagadnienia nienaganne.

A Anglicy? Jak się zapatrują na projekt francuski? Opinię angielską, dobrze nam znaną we wszystkich jej podobnych, pełnych skrupulatności reakcjach, obraża myśl, żeby teren iście niemiecki odrywać od Niemiec. Poza tym myśl, aby wojsko angielskie wiązać raz na zawsze z jakimś terenem europejskim, jest jej niemiła. Na argument francuski, że mocno wziąwszy w garść, ale tak na mur i na wieczność, Ruhrę. Wielka Brytania mogłaby już od dziś zacząć folgować Niemcom i ściągać z terenów okupacyjnych wojsko. Anglicy odpowiadają, że w Europie wolą stać olbrzymią załogą, byle czasowo, niżeli drobną, ale na zawsze. Koła polityczne angielskie wyrażają natomiast jeszcze inną obawę, a mianowicie tę, że po umiędzynarodowieniu Ruhry Niemcy staną się krajem wielkiej biedy. Ich stopa życiowa musi opaść, obniżyć się do poziomu stopy wschodniej, co w końcu politycznie i światopoglądowo zwiąże tereny niemieckie ze wschodem. Tak więc myśl francuska na temat umiędzynarodowienia Ruhry zarówno w oczach rosyjskich, jak i angielskich czy amerykańskich nie wydaje się sama przez się zrozumiała i prosta.

We wszystkie wątpliwości swoich międzynarodowych partnerów doskonale wnika dzisiejszy minister spraw zagranicznych Francji Georges Bidault. Niedawno, na konferencji w Londynie przyznał on z ironią, że „rzeczywiście istnieje tylko jeden prosty i z punktu widzenia czysto gospodarczego sensowny sposób rozwiązania zagadnienia Ruhry. Po zrekonstytuowaniu Reichu, oddać Ruhrę Niemcom! Ale ponieważ z punktu widzenia politycznego byłoby to błędem, z punktu widzenia historycznego zaślepieniem, a z punktu widzenia ogólnoludzkiego zbrodnią, trzeba znaleźć jakiś inny sposób, mimo że pod względem gospodarczym może się on okazać sztuczny, a pod względem struktury zawiły".

My w Polsce powinniśmy z najwyższą uwagą śledzić koleje francuskich wysiłków w sprawie Ruhry Nasze środki nacisku są zupełnie nikłe. Na razie więc wypracujmy sobie w tej sprawie pełną świadomość. Przede wszystkim poznając argumenty francuskie, które już zaczynają trafiać nawet do uszu bardzo opornych. Dowodzą tego głosy niektórych angielskich polityków i różnych angielskich pism. Niedawno o francuskim projekcie ciepło mówił minister Bevin i bardzo przychylnie wyraził się słynny „New Statesman and Nation". Inny angielski dziennikarz napisał: „Oddanie westfalsko-reńskich skarbów pod międzynarodową administrację przede wszystkim wyjdzie na korzyść samym Niemcom. Z największych swoich zakładów przemysłowych zaczną nareszcie otrzymywać różne rzeczy użyteczne, zamiast broni, której produkowanie było czystym marnotrawstwem".

Zdanie to zacytował mi pewien francuski polityk, dodając taki ironiczny komentarz: „Ze wszystkich angielskich opinii, ta naszym pragnieniom najlepiej wróży. Jeśli bowiem myśl angielska w takim rozwiązaniu sprawy, które jest z gruntu sprzeczne z interesami jakiegoś narodu, zaczyna upatrywać przede wszystkim jego pożytek, to znaczy, że projekt traktuje serio"

Tadeusz Breza

MIECZYSŁAW JASTRUN

PRZEBUDZENIE

Słysząc czyjeś zmieszane pod stropem rozmowy
Szamotałem się długo w ciemnych skrzydłach chmury,
Wydarłszy się z jej sideł, na nocne ostrowy
Jak ptak zleciałem do stóp napowietrznej góry,
Której po szczyt nie ogarnę.

Gwałtownie w środku nocy wytrącony ze snu
Powieki mokre mając i gardło wyschnięte
Rozstrzygnąć znów musiałem tę sprawę bolesną
Co niosła szczęście jak woń w fałdach sukni zmiętej
I łzy, co poszły na marne.

Minąłem dawne brzegi i odpowiedziałem
Rozpaczy swojej, która nie znała nadziei
I posłusznym obrotom ciał niebieskich ciałem
Broniłem się bijącej blaskami zawiei
Z kwitnących drzew i marzenia.

Nie do zniesienia pamięć — dźwięk nagranej płyty,
Nie do zniesienia, że twarz jeszcze wczoraj młoda
Świeżość poranka zmienia na kamień poryty,
Nie do zniesienia wieczna morderców uroda,
A jednak jest do zniesienia!

Nie do zniesienia śmierć najbliższych i utrata
Nie do zniesienia zgoda na ból i zagładę,
Nie do zniesienia niebo spalonego lata,
Gdy od ust moich usta odłączyłaś blade.
I to znieść można i trzeba.

Nie do zniesienia, że pod tą maską kamienną
Widzę twoją młodzieńczą twarz o, pełna światła!
Nie do zniesienia — wracać pod nocą wiosenną
Okolicą, co dawno jest w oczach twych martwa.
I to do zniesienia, przebacz!

Widzę jeszcze jak twoja już gasnąca głowa
Pije ze źródła mego i otwiera oczy
Na chwilę tylko, blednie, płaska jak widmowa
Ikona, której złoto cień drapieżny mroczy,
I wnet ją ptaki rozniosą.

Nie otworzę już nigdy tej księgi rozpaczy,
Która ma od milczenia skamieniałe karty,
Twarz odwracam od nocy samotności naszej,
Aby odnaleźć pełny głos w dźwiękach rozdartych,
Ja, który nie miałem głosu.

LUBRANKA

W okna burza blaskami uderza,
Drzwiami chmura deszczowa szarpie,
Ściętą głowę unosi w noc wieża,
W mgły owita, bandaże i szarpie,
I gdy kurcząc się z chrzęstem pancerza
Cisza, jakby grzbiet tarła na szkarpie,
Most miniony opuszcza, daleki
Obraz wstaje pod strażą powieki.

Książę w czarnym rozpacza pokoju,
Błyskawica w posadzce otwiera
Okno renesansowe, w powoju
Kwiat zapalił się i znów umiera.
Straże śpią. We Wiśle dzwony poją
Stare wieże. Przysiadła chimera
Nad kamienną kaplicy akacją.
Powiedz, która godzina, Horacjo!

Cień złamany surowej Lubranki.
Patrz! na progu głowa odrąbana.
Miecz świecący wchodzi na krużganki.
Gdy w kominku jarzą się polana,
Gdy pijący uderzają w szklanki
Życząc dobrej nocy aż do rana,
Płynie Wisła ciemna podwawelska
Zaplątana w szuwary i zielska.

Nagan w ręku, lepszy od krócicy!
A od śmiechu zanosi się gamrat.
Skrytobójcy, gachy, szabrownicy,
Pośród czołgów wyrośli i armat,
Tuczą ich dolary zza granicy.
Dzisiaj życia, jutro śmierci kamrat:
Twarz bez rysów, czoło bez nazwiska,
Spójrz mu w oczy i przeraź się z bliska.

Kiedy wystrzał rozświeci powietrze
Z błyskawicą sprzeczając się mokrą,
Kiedy kamień z ciemnością się zetrze
I wyłoni się kasztan i okno,
Słuchaj głosów ich, milkną na wietrze.
Tropem wilków, ścieżką niepowrotną
Idą w las, gdzie sosny-rówieśnice
Rosną, aż urosną w szubienice.

W okna burza blaskami uderza,
Drzwiami chmura deszczowa szarpie,
Ściętą głowę unosi w noc wieża,
W mgły owita, bandaże i szarpie,
I gdy kurcząc się z chrzęstem pancerza
Cisza, jakby grzbiet tarła na szkarpie,
Most miniony opuszcza, daleki
Obraz wstaje pod strażą powieki.

9 MAJ

Wraca maj nie słowików, nie kwiatów,
Wraca maj pękających granatów.

Czerep bomby o ziemię bił twardą.
Serce zryte jak ziemia pogardą.

Wiatr pomierzwił nad Wisłą ogrody.
W Renie czołgi napiły się wody —

W błyskawicach posępnych magnezji
W krzyku mężobójczyni poezji —

Lorelei wśród pocisków armatnich
Wciąga w topiel kochanków ostatnich.

Bijcie łbami o ziemię katedry!
Wierzby polskie zmieniajcie się w cedry,

Słowa szorstkie wzbijajcie się w psalmy
Pod tęczami fontann tryumfalnych!

Maju! maju! w twej nowej zieleni
Z ziemi sterczą czerepy granatów.

Siądą twoi lotnicy spieszeni,
Zejdą z aut twoje straże pancerne,

Straże wiosny do końca jej wierne.
Rozbrojeni już bracia pocisków.

Każdy z skrzydłem historii w nazwisku
Temu Cherbourg, tamtemu na imię

Don i Kaukaz, a czwarty był w Rzymie.
Rozbrojeni synowie zwycięstwa,

Rozbrojeni są z broni, nie z męstwa.
Ale płaczą z radości, że mogą

Broń pożegnać i sławę złowrogą,
I powrócić w dębowej zieleni

Do swych rąk ocalałych i źrenic.
Wśród majowych słowików i kwiatów.

MALARSTWO FRANCUSKIE

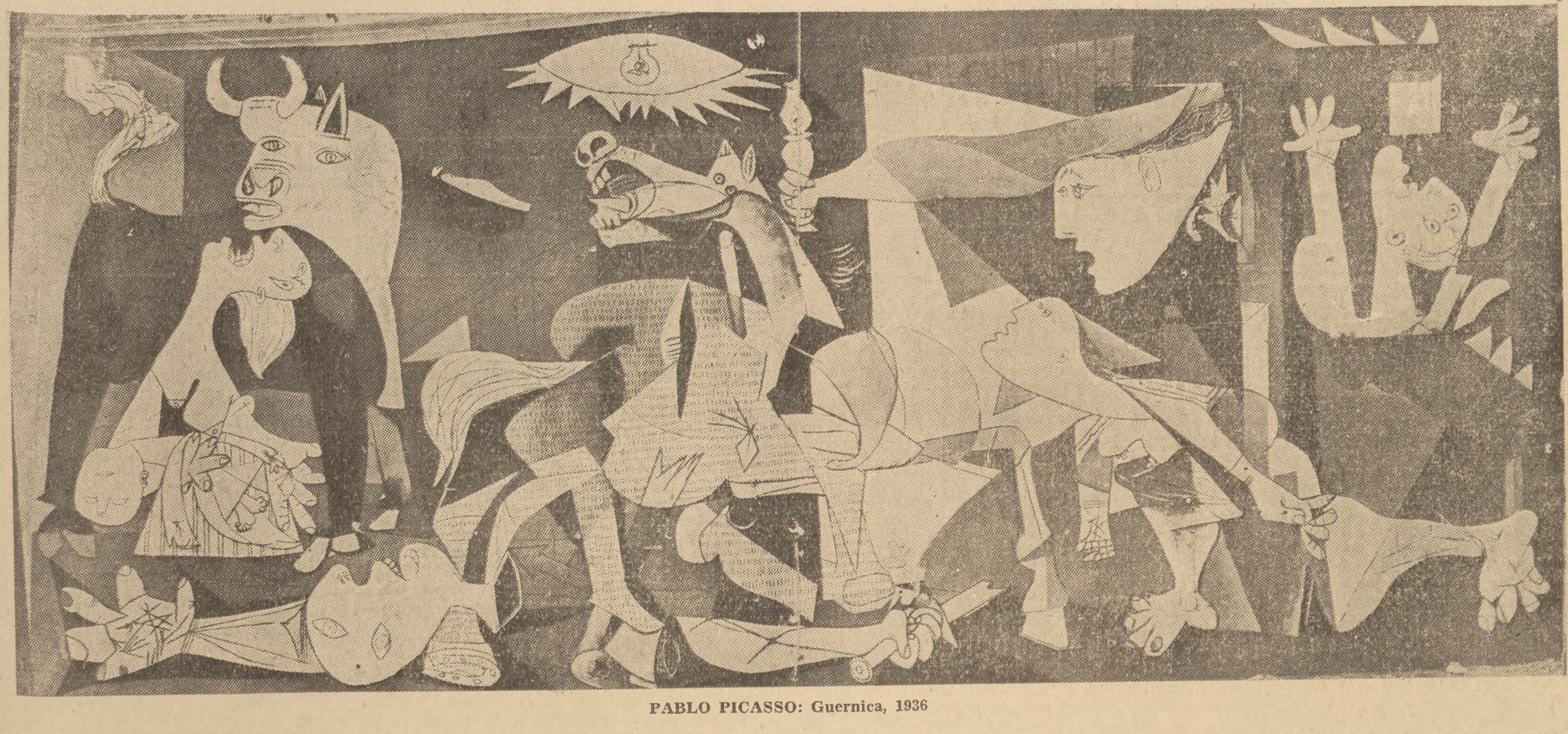

PABLO PICASSO: Guernica, 1936

MARIA JAROCHOWSKA

Historia zaniedbana

— Państwo myślą, że to jest łatwo tak to szkło wydymać, że każdy by tak potrafił — mówi zaczepnie, z odcieniem wyniosłości w głosie sekretarz Rady Zakładowej.

— Wcale nie. Myślę, że to jest bardzo trudne. Trudniejsze nawet, niż, niż... pisać — zaprzecza ktoś pośpiesznie a gorliwie, w nienaturalności nagłego zażenowania.

— No, zależy co pisać — waha się ostrożnie, z namysłem sekretarz i pociera dłonią jasną szczeć zarostu na brodzie.

Z boku ogromnej, wydłużonej i szarej od pyłu hali wznosi się okrągła estrada zatłoczona ludźmi. Każdy ma inne nakrycie głowy. Zmięta cyklistówka z materiału, któremu minione lata odebrały wszelką barwę i wzór, filcowa mycka, kaszkiet ze złamanym daszkiem, zrudziała narciarka, piuska szydełkowana z kolorowych resztek włóczki, albo kłapciaty kapelusz o szerokim rondzie, jaki noszą chłopi przy wiosennych siewach. Niewidzialny głośnik radiowy ryczy charkotliwie z wysokości melodie przeraźliwie skoczne i donośne. Na okrągłym wzniesieniu w takt chrapliwych tonów szaleje kilkudziesięciu mężczyzn. W pozornym chaosie poruszają się z błyskawiczną ruchliwością po estradzie. Wznoszą i opuszczają ramiona. Przebierają nogami. Nad głowami wirują im czerwone kule. Co się tu dzieje? Karuzela? Cyrk, czy co? Nie, to huta szkła.

Kto chce się zorientować, musi spojrzeniem wyłuskać z drgającej masy ciał postać jednego robotnika i zająć się nią indywidualnie. Ze wzrokiem przylepionym do ruchliwej sylwetki, nie spuszczając jej ani na chwilę z oczu, śledzić z namiętnością amatorskiego detektywa każdy jej gest. Dopiero po pewnym czasie skupionej obserwacji sprawa zaczyna się wyjaśniać. Ciasny krąg robotniczych postaci otacza ogromny piec hutniczy, którego walcowaty kształt podziurawiony jest szeregiem biegnących naokoło drzwiczek-otworów. Widoczna przez gardziele otworów, drży we wnętrzu pieca przeźroczysta od żaru, płynna masa szkła — mieszanka piasku, sody, wapna, kamienia mielonego i soli glauberskiej. Z pięciu robotników zgrupowanych przy poszczególnych drzwiczkach, czterech nabiera na stalowe, wydrążone w środku pręty odrobinę masy, ze zręcznością zawodowych żonglerów obraca je w palcach i idąc wydmuchuje ponad głową rozżarzone bańki szkła. Następnie każdy hutnik manewrując bezustannie kijem w wysoko podniesionych rękach, zbliża się do brzegu estrady i wkłada na parę sekund wydmuchaną na jego końcu bańkę do żelaznej formy poniżej wzniesienia, która w oka mgnieniu nadaje rozżarzonej, jajowatej gruszcie kształt butelki. Piąty robotnik usadowiony przy drzwiczkach pieca odbiera kije z ukształtowanymi już butelkami i tuż przy otworze formuje ich szyjki.

Ten robotniczy pięciobój, brygada pięciu ciał i dwudziestu kończyn, to zespół którego każdy gest ukształtowały długie lata twardo zdobytego doświadczenia. Mechanizm ruchów hutnika musi mieć niezawodną precyzję, najściślej przez niego obliczoną. Wędrując bezustannie w ciągu ośmiu godzin od otworu pieca do brzegu estrady, każdy z nich ma swój króciutki, udeptany tysiącem dni szlak, po którym posuwa się nieomylnie zwinnym krokiem cyrkowca, balansując niby egzotyczny tancerz czerwoną kulą szkła, zawieszoną przedziwnie na końcu pręta. Każdy nieuważny skręt ciała, każdy zbyteczny gest grozi oderwaniem się rozżarzonej bańki, grozi poparzeniem siebie lub towarzysza, który tuż obok, z równie obojętną twarzą i ruchliwym korpusem rutynowanego akrobaty, żongluje swoimi butelkami, podobny kuglarzowi na jarmarku.

Kilkunastoletni chłopcy, którzy tam, gdzie wyrabia się większe butelki, przyklepują dłonią czerwone bańki na końcach prętów — to terminatorzy huty. To kandydaci do trudnego zawodu hutnika. Bo kto w młodym wieku nie nada swemu ciału potrzebnej gibkości, nie wpoi swoim mięśniom matematyki ruchów — nigdy nie będzie hutnikiem.

Poniżej estrady na małych stołeczkach, wyprostowane i ogromnie poważne siedzą kręgiem naprzeciwko form niewielkie dziewczynki w chusteczkach na głowie. Każda zanurza pęk szmatek przymocowanych do wiklinowego kijaszka w torbie z mąką i przesypuje nią wnętrza żelaznych form, aby nie rozgrzewały się za bardzo od kontaktu z roztopionym szkłem. Ich piskliwe głosiki górują śmiesznie nad basem robotniczego chóru — gdy radio przerwie swój wrzaskliwy bełkot, a ruchliwe ciała zespoli jeszcze mocniej ze sobą taneczny rytm śpiewanej wspólnie piosenki. Jeśli dzieje się to nocną porą, w ciszy mocniej dudni śpiew, postacie o zatartych mrokiem konturach poruszają się podobne do cieni, bucha żarem piec, a czerwone gruszki szkła żeglują migotliwie przez powietrze niby smugi spadających gwiazd na sierpniowym niebie.

— Zależy co pisać — powiedział tamten robotnik. Rzeczywiście trudno jest pisać o fabrykach. Nasze tzw. ogólne wykształcenie traktuje niestety po macoszemu wiedzę o wytwórczości. Przeciętny inteligent o wykształceniu humanistycznym, który od biedy potrafi bitwę pod Płowcami umieścić w wieku XIV, a Montaigne'a nie pomyli z Monteskiuszem, nie ma pojęcia, jak wyrabia się tutki, których przecież wypala niezliczoną ilość, lub jak skomplikowaną ewolucję musi przejść zwykły gwóźdź, nim on będzie mógł na nim zawiesić ulubiony obrazek. Pisarzowi, który dusi się w kraju marząc o zapachach dalekich stolic, o szmerze złowrogich oceanów, prawie nigdy nie przyjdzie na myśl zobaczyć, jak ludzkie płuca wydymają nieskończone szeregi butelek, jak kobiece ręce zręcznie otwierają rozpalone, ciężkie formy pras hydraulicznych wyciskających gumowe obcasy, na których deptać będzie być może niedługo wymarzone trotuary. A jednak warkot wrzecion bardziej potrafi czasem rozsunąć granice świata niż tysiące przejechanych kilometrów i widok semaforowych piór lakierowanych już na czerwono w ostatnim stadium produkcji — więcej pobudza do myślenia niż egzotyczne krajobrazy przesuwające się sennie za oknami rozpędzonych ekspresów.

Przeciętny inteligent nie zwykł już kojarzyć imbryka na herbatę z emaliernią, a gąbki z fabryką gumy. O ile bardziej przedsiębiorczy profesor fizyki nie zaprowadził go w latach szkolnych do elektrowni lub wodociągów miejskich, woda pozostanie dla niego na zawsze prostą sprawą kurka odkręconego w łazience, a światło — comiesięcznym rachunkiem płaconym niechętnie w sklepie w śródmieściu po chwili sarkania na zbyt długie czekanie w ogonku. Fabrykę widzi tylko z zewnątrz jako nieciekawy zespół ceglanych graniastosłupów z walcowatym pionem komina w środku, a robotnik w jego oczach — to zamorusany, sympatyczny i obcy „człowiek", koło którego czasem wieczorem stoi się na pomoście przepełnionego tramwaju.

O Krakowie, z nieznośnie przylepionym przydomkiem „polskich Aten", każde dziecko wie, że Wawel, że kościół Mariacki, że Barbakan. Który natomiast z lokalnych patriotów — o oczach nabiegłych krwią na każdą najłagodniejszą próbę krytyki ukochanego miasta — zdaje sobie sprawę, że największa w Polsce fabryka kabli mieści się właśnie w krakowskim Płaszowie, albo że gdyby robotnicy Elektrowni nie znaleźli w porę półtora tony ekrazytu, przygotowanego zapobiegliwie przez Niemców do jej wysadzenia — mieszkańcy stolicy kultury i sztuki po dziś dzień spędzaliby smętne wieczory przy mizernym płomyku zakopconej lampki lub ogarka świecy kapiącej gorącą stearyną.

Któryż z szykownych waluciarzy w dwurzędowych marynarkach, szepczących sobie na ucho, niby słowa najczulszych pieszczot, tajemnice dolarowych uniesień i upadków — lub która z prześlicznych pań, wprowadzających posuwistym krokiem na salę kawiarnianego jarmarku próżności swego scotch-terriera o kwadratowych liniach i własny dwupiętrowy kapelusz — zainteresowały się faktem, że prawie naprzeciwko kawiarni Grand Hotelu, w domu wciśniętym skromnie między mury mieszczańskich kamienic, rozrasta się w głąb i wzwyż fabryka mundurów, której robotnice od 10 miesięcy wykonują 120—170% planu Ministerstwa Przemysłu, a młody dyrektor po skończonej pracy obkuwa do egzaminu, bo obiecał ojcu zamęczonemu przez gestapo, że skończy studia prawnicze.

Zresztą dużo jest ośrodków fabrycznych w Krakowie. Więc Wytwórnia Sygnałów i Fabryka Wandera wznoszą się na Dąbiu, tam, gdzie miasto jakby przypadkowo spotyka się z wsią i gdzię — obok potężnego bloku nowoczesnych mieszkań — w parterowej kuźni pod papą zapadniętego dachu kowal przybija podkowy do kopyt koni o zrezygnowanych oczach, a na wyleniałej trawie rowów pasą się łaciate kozy przywiązane sznurkami do wbitych w rozmiękłą ziemię palików.

A na Krowodrzy komin fabryki Piaseckiego rozsnuwa szeroko smakowitą woń suszu owocowego i słodkiego karmelu pomiędzy niewielkimi willami wśród zielonych ogrodów, które porażają serce dojmującym wspomnieniem warszawskiego Mokotowa.

Albo „Semperit", „Suchard", czy inne na Grzegórzkach, gdzie za wiaduktem, po którym dudnią, gwiżdżąc tęsknie, przejeżdżające lokomotywy, otwiera się niespodziewanie szeroka przestrzeń. W dzień klekocą tu pospiesznie ciężarówki, o zmroku uganiają z krzykiem dzieci.

Ale dopiero Podgórze, to centrum fabryczne Krakowa. Ruch zaczyna się już od ulicy Miodowej, gdzie rozdzwoniony tramwaj mija jeden z przylądków tandety, zapchanej postaciami, na których fantazyjnie zawieszone materiały sprzedażne przypominają maskaradowe burnusy.

Od mostu podgórskiego wszyscy zaczynają się już naprawdę spieszyć. Rzadko zatrzyma się ktoś przy wróżbicie w meloniku: „Każda osoba sobie wróży i przepowiada z własnej lewej ręki i papieru elektromagnetycznego. Może się dowiedzieć przyszłości, przeszłości, teraźniejszości, o swoich wrogach i własnych nałogach, w sprawach miłosnych sądowych i rodzinnych oraz wszelkich zawikłanych kwestiach życiowych. Za moją zdolność, za moją umiejętność reklamy pobieram tylko 10 zł. Za koszta papieru i przepowiedni jedne 10 zł" — wykrzykuje jednym tchem czarodziej, a na odległość czuć straszliwy smród cuchnącego gazu, za którego pomocą biała kartka papieru pokrywa się w butelce niewyraźnymi słowami przepowiedni uspokajającej cię, że „chorować nie będziesz, będziesz za to miał częste zatargi nieprzyjemne z krewnymi".

— Pani wiesz, kto to był Szyller-Szkolnik?

— A to ten, co w gazecie przepowiadał.

— To ja jestem właśnie brat! — i dalej swoje: „każda osoba sobie wróży i przepowiada"... Roześmiani robotnicy przejeżdżający na olbrzymich platformach ciągnionych przez grubokościste, spocone perszerony pokazują mu z daleka lewe ręce. Żeby wywróżył. Brat Szyllera-Szkolnika grozi im mściwie pięścią.

Zaraz na lewo za mostem, wzdłuż błotnistych wyboi zaczynają się przeróżne składy, magazyny, budynki fabryczne. Huty szkła, fabryki wyrobów cynkowych i dachówek, wyrobów emaliowanych, mydła, rękawic gumowych, garbarnie. Dwa inne ośrodki fabryczne to górzyste Łagiewniki i Borek Fałęcki. Są tu cegielnie, gwoździarnia, fabryka armatur, narzędzi rolniczych „Młot", „Solvay" i inne. Zresztą na całym obszarze Podgórza, wśród ciasnego skupiska starych domów, raz po raz wyrastają pomniejsze fabryczki. Każda posiada swoją odrębną historię, wygląd, rytm pracy, atmosferę, problemy i osiągnięcia, które wyznaczone są logicznie przez rodzaj produkcji i ludzi w niej zatrudnionych.

Przestronne, oszklone jasne hale wytwórni sygnałów, wypełnione warkotem tokarek i niewielkie mrocznawe pokoiki na piętrze fabryki bielizny, gdzie kobiety wszywają zręcznie rękawy do śnieżnobiałych, płóciennych koszul. Trujący zaduch fabryki gumy

i miodowa woń pierników i cukierkowej masy w fabryce Pischingera. Twarze umorusane smarami i czarne od oliwy ręce robotników „Kabla“ i apteczna czystość białofartusznych pracownic Piaseckiego. Ogłuszający chrzęst gwoździ polerowanych we wnętrzu wirujących pudeł ze stali i cichy szelest podobny westchnieniu, gdy nóż maszyny zwanej gilotyną zagłębia się bez pośpiechu w pokłady starannie ułożonych arkuszy bibuły w fabryce tutek. Pastylkarka w wytwórni środków farmaceutycznych w ciągu minuty wyciskająca z proszku 180 tabletek tanalbiny i płuca robotnika, wydmuchujące dziennie 500 ćwierćlitrowych butelek w hucie szkła. Obszerne, dobrze ogrzane biura fabryki Wandera, gdzie eleganckie panienki wystukują na mnogich Underwoodach niezliczone sprawozdania i wyziębła izdebka, w której urzęduje dyrektor małej cegielni za stolikiem obitym zielonym papierem, na prostej nieheblowanej podłodze, z tanią litografią Kościuszki na ścianie i papierowym wałkiem między oknami dla ochrony przed zimnem, przewiązanym czerwonymi wstążkami niby na wiejskiej plebanii.

— Panie dyrektorze, jak przyjdzie ta unra, to proszę mężowi nie dawać wszystkiego, tylko dla mnie chociaż połówkę przetrzymać.

— Jak ja to mogę zrobić? Przecież mężowi jako pracownikowi należy się cały przydział. A co wy ze sobą tak źle żyjecie?

— Nerwowy jest, panie dyrektorze. Wódkę pije, przeklina, bije mnie, słowa dobrego nie powie. Taki los. Może gdyby pan dyrektor zwrócił mu uwagę, to by się opamiętał. Albo wcale mu tej unry nie dawać. Niech nie ma.

Różni są dyrektorowie i różne sprawy muszą rozsądzać. W przeciwieństwie do lat drugiej niepodległości, kiedy między dyrekcją a robotnikami tlił się wieczny, podsycany goryczą żar nieprzerwanych zatargów i pretensji, obecnie współpraca prawie wszędzie układa się pomyślnie. Po wyzwoleniu robotnicy usunęli natychmiast tych kierowników, których zachowaniu w czasie okupacji mieli coś do zarzucenia. Pozostały po nich niekiedy tylko pamiątkowe, rysowane przez pracowników obrazki na ścianach świetlic. Na przykład w wytwórni sygnałów były dyrektor Ludwik Pawlak, skarykaturowany na obrazku, podnosi służbiście rękę w hitlerowskim pozdrowieniu przed portretem führera.

Dyrektorami zostali obrani prawie wszędzie długoletni pracownicy fabryki, dotychczasowi kierownicy działów produkcji. Nic dziwnego więc, że połączone wspólną troską o warsztat pracy i walką z jednakowymi trudnościami dyrekcje i Rady Zakładowe idą ręka w rękę.

— Jakeśmy te maszyny na wagony ładowali, a ludzi brakowało, to dyrektor tak dźwigał jak każdy z nas, nawet sobie ubranie potargał.

— Ano, cóż wielkiego, mało się w życiu nadźwigał, to siły miał — reflektuje się jakiś sceptyk — ale ludzki jest, nie można powiedzieć.

Kto wniknął trochę głębiej w dni codzienne fabryk wie, że nie jest wiecowym frazesem twierdzenie, iż dystans, który oddzielał dyrektora od robotnika, należy już dziś do przeszłości.

„Jednako nas wszystkich żywi fabryka
tak dyrektora, jak robotnika,
więc obowiązuje punktualna pora
tak robotnika, jak dyrektora“

— stwierdza ułożony przez robotników napis pod kolorowym rysunkiem w świetlicy fabryki tutek.

W rezultacie przełomu, który dokonał się w strukturze społecznej, doświadczony zecer może awansować na korektora, a robotnik stać się dyrektorem. W roku 1945 Rady Zakładowe delegowały na kierownicze stanowiska 3602 robotników. Najwięcej w przemyśle węglowym: 1734 (w tym 15 dyrektorów i 4 kierowników fabryk i przedsiębiorstw), następnie we włókienniczym: 652 (125 dyrektorów i 164 kierowników fabryk), w hutniczym: 473 (7 dyrektorów i 6 kierowników fabryk), w chemicznym 265. Robotnicy na kierowniczych stanowiskach dają sobie nadspodziewanie dobrze radę, wykazują sumienność, poczucie odpowiedzialności, wyrobienie fachowe i ogromną dbałość o dobro przedsiębiorstwa i zatrudnionych.

Siła przywiązania robotników do warsztatu pracy jest potęgą, której dynamizmu nie potrafiły ocenić rządy przedwrześniowe. Większość robotników zatrudnionych w przedsiębiorstwach krakowskich to pracownicy długoletni, nierzadko jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej. Nie jest wyjątkiem majster ślusarski Walenty Madej, zatrudniony w krakowskiej Zbrojowni od 31 lat, albo po 30 lat pracujący w fabryce Zieleniewskiego monter Tadeusz Grochal, ślusarz Józef Ryszonek, 60-letni tokarz Koliszewski, 70-letni heblarz Ślusarz lub monter Józef Nowak. Są to ludzie, którzy nie potrafią oddzielić swego życia od rytmu fabrycznej pracy, bo sprawy ich splotły się ciasno, nierozłącznie i na zawsze z interesami przedsiębiorstwa. Wspaniały egzamin tej nigdy nieprzysięganej wierności zdali robotnicy w lipcu 1944 roku, kiedy rozpoczął się tragiczny i jedyny w swoim rodzaju, bez precedensu w historii fabryk krakowskich okres wywozu maszyn przez okupanta.

W latach niemieckiej przemocy warunki pracy robotników były fatalne, płaca tygodniowa wynosiła od 25—120 zł., przy 12-tu godzinach pracy, bez dodatkowych przydziałów. Poza tym system policyjny, uzbrojeni strażnicy niemieccy na halach i dyrektorzy Niemcy lub volksdeutsche rozdzielający szczodrze przekleństwa i uderzenia i skwapliwie kierujący buntowników „nach Auschwitz“. Teren niektórych fabryk upodobnił się do obozów, zwłaszcza tam, gdzie na robotę przyprowadzano Żydów z Płaszowa. Prócz poprzedniej produkcji fabryki obsługiwały również przemysł wojenny, wyrabiając zapalniki do min morskich, wojskowe łodzie gumowe, bolce do czołgów, tarcze ochronne do karabinów maszynowych, silniki do samolotów i inne tysiączne części, za których pomocą oręż niemiecki miał podbić świat i na zawsze utrzymać go w poniżeniu. Niektóre zakłady przerobione na warsztaty reparacyjne w ogóle nie produkowały.

— Oni nam dokuczali, ale my im też niezgorzej — wspominają te czasy robotnicy. Wydajność pracy była niezwykle niska, ale wyszkoliły się znakomicie kadry sabotażystów, czujne a przemyślne. Na niektórych fabrykach prawie 25% pracowników co dzień nie przychodziło do pracy. Na innych, jak na przykład Zieleniewski i Gazownia zorganizowane były konspiracyjne komitety fabryczne, komórki PPR i PPS. W ścisłej tajemnicy z niemieckiego surowca wyrabiano dla polskich organizacyj podziemnych broń, trójszpice do dziurawienia opon aut i kopyt koni, oraz wykolejnice do zrzucania pociągów. W wiadomym cenniku niemieckiego terroru pozycją: „życie“ płaciło się za tego rodzaju działalność. Z samej fabryki Zieleniewskiego zginęło 30 robotników i pracowników umysłowych, zamordowanych przez gestapo.

Te z nielicznych fabryk, które nie podlegały zarządowi niemieckiemu, stanowiły centrum pomocy dla więźniów i jeńców, oraz ratowały dziesiątki robotników przed wywozem na przymusowe roboty. Sama tylko fabryka „Morwitan“ wysłała do obozów koncentracyjnych paczek za 78 tysięcy złotych, o wadze, dzięki zmowie z urzędnikami na poczcie, wielokrotnie przewyższającej przepisaną normę. Do obozów jeńców wysłano stamtąd w okresie 1940—44 r. 777 paczek żywnościowych i ubraniowych łącznej wartości 311 tys. zł. Koszta pokrywali sami robotnicy z pomocą dyrekcji. Auto fabryczne dobrze było znane więźniom, których czujne spojrzenie wypatrywało zza krat Montelupich, czy drutów Płaszowa znaku nadziei, zemsty lub litości. Także pierwszy zorganizowany transport pomocy dla pruszkowskiego obozu przybył właśnie z Krakowa, z fabryki „Morwitan“.

Lato 44 — to dramatyczna pora w niepisanych, a pamiętnych dziejach fabryk polskich, kiedy okupant z pruską pedanterią i systematycznością organizuje zakrojoną na olbrzymią skalę akcję dewastacji fabryk i wywozu maszyn. Robotnicy własnymi rękami muszą rozkładać maszyny na tysiączne części, opakowywać je i ładować na wagony, które uwiozą ich warsztaty pracy w niewiadomym kierunku.

— Jakby nam serca wyszarpali, to by gorzej nie było — wzdychają jeszcze dziś. Nie chcieli sobie dać wyrwać serca. Rozpętała się cicha, zażarta, nieubłagana walka. Wynosili do domu i chowali po mieszkaniach części maszyn, zakopywali je w ziemi, ukrywali na terenie fabryk po piwnicach, strychach, między kupami śmieci i odpadków. Z narażeniem życia kopiowali listy przewozowe wagonów, aby wiedzieć, gdzie powędruje transport. W porozumieniu z polskimi kolejarzami organizowali tysiączne szachrajstwa, żeby opóźnić podstawienie wagonów. Byle nie dać, byle utrudnić, byle odwlec. Jest coś wstrząsającego w tych bezsilnych zmaganiach się bezimiennych bohaterów z potężnym aparatem niemieckiej maszyny administracyjnej, w czasie, gdy płonęła Warszawa, gdy nacierały już pułki polskie i radzieckie na wschodnim froncie, który zbliżał się siedmiomilowymi susami, gdy we wszystkich miastach polskich bataliony niemieckiej policji urządzały na ulicach polowania na „tubylczą“ zwierzynę, a w obozach SS-mani przygotowywali się do wyzwolenia więźniów z ciężaru życia.

Dziś na każdej prawie fabrycznej hali czarne dziury na podłodze, ślad po wywiezionych maszynach, wyglądają niby niezagojone jeszcze blizny. Każdy robotnik jednym tchem jak pacierz gotów jest powtórzyć nie kończącą się listę zrabowanych tokarek, fryzerek, obrabiarek czy automatów. Niekiedy Niemcy wywozili wraz z maszynami robotników, niby żywy inwentarz. Tak było w krakowskiej Zbrojowni, gdzie spędzono pracowników do stołówki, rzekomo, aby pułkownik niemiecki wygłosił do nich mowę dziękczynną za pracę dla Rzeszy — i natychmiast wywieziono do obozu na Prądnik.

Przeciętny malkontent dzisiejszych czasów, łakomy konsument bujd o polskim węglu wywożonym za darmo do ZSRR, płaczliwie narzekający na powojenne braki produkcyjne, nie zdaje sobie w ogóle sprawy, jak straszliwie okaleczony został polski przemysł przez hitlerowskich grabieżców. Z samej fabryki „Kabel“ wywieziono 60 wagonów maszyn i 360 surowca. Z wytwórni sygnałów kolejowych — prócz 20 wagonów najnowocześniejszych maszyn olbrzymi zapas surowca, pozostałość jeszcze sprzed wojny. Nawet z Elektrowni wywieziono większe ilości kabli i transformatorów oraz części zapasowe do turbiny „Stal“ (o mocy 10.000 KW). Z niektórych fabryk w panicznym a uzasadnionym popłochu obok urządzeń zabierano maszyny do pisania, nawet miotły i pogrzebacze. Przeciętnie każdą fabrykę ogołocili Niemcy w 60 i więcej procentach z urządzeń, zostawiając tylko antyczne mamuty maszyn, przeważnie nieczynne już ze starości. Z przeklętą pamiętliwością nie zapomnieli Niemcy o najmniejszych fabryczkach. Z większych uratowały się tylko: „Morwitan“, bo polska dyrekcja jeździła aż do Wiednia, aby argumentem krakowskich kiełbas i wybornych wódek izdebnickich uzyskać odroczenie ewakuacji. (Kiedy w końcu po wielu zwlekaniach Niemcy podstawili wagony pod wywóz maszyn, polscy kolejarze wypełnili je pośpiesznie tłuczonym kamieniem i wysłali w świat). Dzięki podobnym „trudnościom transportowym“ pozostała na miejscu fabryka Wandera, choć wywieziono z niej kilkadziesiąt wagonów bezcennych surowców farmaceutycznych. Na wywiezienie Piaseckiego zabrakło Niemcom czasu, bo w halach czynne były do ostatniej chwili warsztaty reparacyjne. W cegielni na Łagiewnikach robotnicy zakopali w ziemię motory i precyzyjne części maszyn, w hutach szkła formy ręczne ukryli w śmietnikach.

Dramatyczna walka nie skończyła się z chwilą wycofania się niemieckich barbarzyńców. Ich nieodrodni spadkobiercy, polskie męty społeczne, po ogołoceniu znienawidzonych wnętrz „nur für Deutsche“, rzucają się na polskie przedsiębiorstwa. Lepiej zorganizowane załogi fabryk lub po prostu robotnicy mieszkający w pobliżu zakładu tworzą straż przemysłową, która nie dopuszcza rozszalałej szarańczy szabrowników do swego warsztatu pracy. Tam, gdzie się to nie udało, rozpoczął się pogrom urządzeń, którego nie powstydziliby się nawet Niemcy, ci niedoścignieni mistrzowie rabunku. Nie mówiąc już o kradzieży narzędzi i rozmontowaniu resztek maszyn, bandy upojone możliwością, która nie zdarzy się być może drugi raz w życiu, wykręcają sprawnie klamki u drzwi, kroją szyby, demolują urządzenia.

W Zbrojowni krakowskiej tłum szaleje kilka godzin na fabrycznych halach, nieświadomy mnogości min, którymi Niemcy wyinkrustowali dokładnie wnętrze. I pozostanie na zawsze tajemnicą — w jaki sposób nie wybuchła ani jedna z min, których unieszkodliwienie zajęło później oddziałom wojska 2 miesiące pracy.

Oszałamiający czas pierwszych dni po wyzwoleniu przeznaczyła historia na przyzwyczajanie się do wolności. Polskie afisze sylabizowało się jak pierwszy w życiu elementarz. Po jednokartkowe listki gazet cisnęli się ludzie, niby po mannę na puszczy. Uszy zaczęły się już oswajać z tonami mazurka, który pięć lat temu wraz z ludźmi zeszedł do podziemi, a teraz szumiał z powrotem w tubach wszystkich megafonów. Wolno cofała się przeszłość razem z hukiem oddalającego się coraz bardziej frontu. Rzeczywistość zielonych mundurów, teraz rozpłaszczonych nieruchomo na płytach chodników, przeobrażała się już we wspomnienia. Dni wypełniała pogoń za żywnością, smętne dyskusje nad 500-złotowym kapitałem i cały ten żmudny trud organizacji własnej przyszłości. Po zabłoconym śniegu ulic ciągnęły sznury saneczek, na których zapobiegliwsi przewozili dobytek do zasobnych poniemieckich mieszkań. I wtedy właśnie okazało się, że robotnicy byli chyba najlepiej do wolności przystosowani, na wolność gotowi. Nie starczyło im czasu na przeszłość, ani nawet na prywatną przyszłość, o którą tak dbała inteligencja. Rzeczywistość teraźniejszości przysłoniła wszystko. Droga robotników była „na prosto“, jak głoszą obecne bilety tramwajowe. W ciągu pierwszych dziesięciu dni po wyzwoleniu, nim jeszcze zorganizowały się związki zawodowe, a partie polityczne zaczęły nawoływać do rozpoczęcia pracy — nim jeszcze umożliwiona została komunikacja i porozumienie między fabrykami, prawie równocześnie we wszystkich zakładach pracy zaczyna się dziać coś zdumiewającego. Wszędzie ta sama sceneria: zwały gruzu na dziedzińcu, wyziębłe, zdemolowane hale, brak drzwi i okien, maszyn i narzędzi. Wszędzie ci sami aktorzy — dobrowolne zgromadzenie zziębniętych i podnieconych ludzi w czapkach i lichych płaszczach. I kilka tysięcy robotników, nie znających się często na wzajem, w kilkudziesięciu zakładach pracy oddzielonych od siebie kilometrami ulic, jednaką podejmuje decyzję o prawie jednej godzinie. A w każdej fabryce postanowienie to jest samodzielne, najpierwsze i jedyne: Uruchomić zakład pracy!

Niektóre fabryki są tak zrujnowane, że według decyzji władz nie opłaca się ich uruchamiać. Np. Bank Hipoteczny nie zamierza odbudowywać swej cegielni, a uruchomienie Gwoździarni na Rydlówce wymagałoby zbyt wielkiego wkładu. Robotnicy z milczącym uporem — wbrew właścicielom, bez subwencji, bez dyrekcji — zaczynają robić swoje. W trzy tygodnie pod ich rękami odrasta połowa zburzonego komina na Gwoździarni, w dwa miesiące rozpoczyna wytwórczość Cegielnia, aby w przeciągu 10 miesięcy wyprodukować półtora miliona sztuk cegieł i 400 ton gipsu.

Trudno pomyśleć bez wzruszenia o surowym a niezamierzonym patosie tych pierwszych miesięcy po wyzwoleniu. Robotnicy pracują zupełnie za darmo (tylko niektóre fabryki zdobywają się na luksus stołówki z wodnistymi zupkami). Przynoszą własne narzędzia z domu, wobec braku komunikacji dźwigając je często kilometrami do miejsca pracy. Dniami i nocami porządkują wnętrza, montują maszyny, przemyślnie zdobywają węgiel, zażarcie walczą o surowiec.

Do maja 45 roku zostają uruchomione wszystkie fabryki. Parciane pasy, miał węglowy zamiast węgla wysokokalorycznego, w kotłach do produkcji czekolady — krwawa maź marmoladziana, ale — **zaczęło się,** aby toczyć się dalej nieprzerwanym już biegiem. Pierwszy kłąb dymu z komina, pierwszy wstrząs ruszających maszyn — oto zwycięskie sygnały, które zamykają najtrudniejszy okres w życiu fabryk krakowskich.

Okres, który można by nazwać bohaterskim, choć epopeję jego należałoby mozolnie zestawiać z lakonicznych wzmianek prasy codziennej, gdzie heroizm kryje się w najzwyklejszych cyfrach wyprodukowanych kilogramów, a poezją jest śpiew naprawianych po nocach transformatorów. Mimo, że czas bohaterski fabryk przeobraził się już w okres osiągnięć i problemów — jakże mało wiemy o nim. Maszyny rotacyjne wyrzucają ze swych tajemniczych wnętrz coraz nowe tomy opisów męki i bohaterstwa wielojęzycznej ludzkości w czyśćcu obozów koncentracyjnych, piosenki partyzantów to dziś już przeboje uliczne, uroczyście święcone rocznice tną przestrzeń roku na wspomnienia o zwycięskich bitwach, lecz pojęcie „bohater pracy“ to ciągle jeszcze słowo obojętne, nieefektowne, termin uważany bezmyślnie za frazes propagandowy, nazwa pozbawiona skojarzeń.

Zapomniana mija tej wiosny rocznica pierwszej wyprodukowanej puszki lakieru, którym teraz pokrywa się poręcze mostów w dalekim Szczecinie czy Kłodzku. Nikt nie obchodził rocznicy pierwszego upragnionego płomyka gazu, który rok temu zakwitł na naszych kuchenkach. I dopiero kiedy w świadomości naszej słowa „Kabel“, czy Gazownia Miejska tak obrosną w prawdę robotniczych zwycięstw, że będzie je można wymawiać równie bez komentarzy jak Monte Cassino czy Lenino — wtedy dzieje fabryk i produkcji przestaną być historią zaniedbaną.

Maria Jarochowska

LEOPOLD STAFF

RZĘSA

Janowi Parandowskiemu

W starym zapuszczonym parku
Stałem nad stawem
Pokrytym grubym kożuchem rzęsy.
Myśląc,
Że woda była tu niegdyś przejrzysta
I dziś by być taka powinna,
Podjąłem z ziemi suchą gałęzią
Zacząłem zgarniać zieloną patynę
I odprowadzać do odpływu.

Zastał mnie przy tym zajęciu
Mędrzec spokojny
O czole myślą rozciętym
I rzekł z łagodnym uśmiechem
Pobłażliwego wyrzutu:
„Nie żal ci czasu?
Każda chwila jest kroplą wieczności,
Życie mgnieniem jej oka.
Tyle jest spraw arcyważnych“.

Odszedłem zawstydzony
I przez dzień cały myślałem
O życiu i o śmierci,
O Sokratesie
I nieśmiertelności duszy,
O piramidach i pszenicy egipskiej,
O rzymskim Forum i księżycu,
O mamucie i wieży Eiffla...
Ale nic z tego nie wyszło.

Wróciwszy nazajutrz
Na to samo miejsce,
Ujrzałem nad stawem
Pokrytym grubym zielonym kożuchem,
Mędrca z czołem wygładzonym,
Który spokojnie,
Porzuconą przeze mnie gałęzią,
Zgarniał z powierzchni wody rzęsę
I odprowadzał do odpływu.

Wkoło szumiały cicho drzewa,
W gałęziach śpiewały ptaki.

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

Gen. Anders na Karmelu

Siedziałem na tarasie sanatorium doktora Bodenheimera na górze Karmel, podziwiając po raz już nie wiem który widok na białą Hajfę w zielonej dolinie pod nami i granatową taflę Morza Śródziemnego, ów przepiękny widok, którym wedle tradycji biblijnej szatan miał kusić Chrystusa. Gdzieś pod dalekim Stalingradem i znacznie bliższym i dobrze znanym El Alamein grzmiały działa przełamując losy wojny, w tym jednak zakątku Palestyny, owej jesieni 1942 roku, w cieniu sabry (tak Żydzi nazywają dzikie kaktusy) i jakichś nieznanych mi z nazwy azjatyckich czerwonych kwiatów, było tak cicho jak i za proroka Eliasza, który na tej górze ponoć ongiś rezydował. Naraz ciszę przerwał odgłos kroków. Nie był to jednak duch proroka, ale profesor Kot, do niedawna ambasador R. P. w Rosji, który urzędował od paru tygodni na Karmelu, a teraz zażywał południowego, zaleconego przez lekarza spaceru. Profesor miał dla mnie wiadomość:

— Dostałem depeszę zawiadamiającą, że przyjedzie tu generał Anders. Będzie miał pan więc sposobność przedstawienia mu projektu swej broszury o porozumieniu polsko-rosyjskim.

Postać generała Andersa była wtedy wśród Polaków na Bliskim Wschodzie nieco legendarna. Dowódca jednego z najlepszych pułków ułańskich z 1920 roku, kilkakrotnie ranny dowódca brygady kawalerii we wrześniu 1939, wyszedłszy dwa lata potem z więzienia w Moskwie, o kuli jeszcze, odbudował w Rosji z wygnańców dość znaczną armię polską. My, żołnierze Brygady Karpackiej, byliśmy dotychczas na Bliskim Wschodzie kroplą w morzu dywizji alianckich. Teraz poczuliśmy się dumni: będzie nas tu więcej żołnierzy polskich aniżeli Nowozelandczyków, Australijczyków czy Południowych Afrykanów.

Jednak w miarę geograficznego zbliżania się do terenu działalności generała Andersa, sympatia moja do niego malała. Gdy tylko pierwsze jego oddziały przybyły do Palestyny, doszło w Tel-Awiwie do ekscesów antysemickich. Okazało się, że już przedtem, w czasie pobytu armii Andersa w Rosji, panował w niej antysemityzm i korespondenci prasy amerykańskiej badali specjalnie tę sprawę. Potem dowiedziałem się, że sztab tej armii zamiast łagodzić — zadrażniał stosunki z nowym sprzymierzeńcem, Związkiem Radzieckim.

Przybywszy do Teheranu wziąłem do ręki numery wydawanych tam pism polskich i odrzuciłem z niesmakiem. Główną ich bowiem treścią były fotografie przedstawiające generała Andersa i artykuły ku jego czci. Przebywając od paru lat między Anglosasami odwykłem od tego rodzaju generałosławia. Czytane przez żołnierzy brytyjskich tygodniki zawierały nie fotografie wyorderowanych generałów, ale rozebranych div filmowych i bokserów. Tygodniki i jednodniówki polskie w Teheranie pokazywały generała Andersa jak wstaje, jak siada, jak otwiera usta, jak je zamyka, w kołpaku witoldowym i bez kołpaka. Było jasne, że historia Śmigłego-Rydza się powtarza: że wokoło osoby generała Andersa skupia się klika wojskowych, która go wygrywa dla prywatnych i politycznych celów; że jak ongiś Piłsudskiemu i Śmigłemu, tak teraz jemu tłumaczy, że nie może stać z dala od polityki, bo ojczyzna wymaga jego w niej udziału, że ojczyzna wymaga, by się przeciwstawił Sikorskiemu, bo ten zaprzedaje Polskę Rosji.

* * *

Już wtedy, w Teheranie, zwierzyłem się ambasadorowi Kotowi z niepokoju, jakim mnie napełnia działalność polityczna rozwijana dokoła osoby generała Andersa. Profesor go bronił. Byłem zdziwiony, że polityk tak doświadczony nie dostrzega niebezpieczeństw zagrażających rządowi Sikorskiego ze strony tego dowódcy armii, oddalonego od Londynu o parę tysięcy kilometrów, a więc faktycznie niezależnego, generała o inteligencji przeciętnego oficera kawalerii, o ograniczonych horyzontach politycznych, a za to nieograniczonych ambicjach. Później miałem się przekonać, że profesor podzielał mój niepokój, ale wobec mnie nie chciał się wtedy z niego zwierzyć. Był członkiem rządu i jego pełnomocnikiem na Wschód, był zatem zwierzchnikiem generała Andersa i uważał, że wrodzona lojalność nakazywała mu go bronić. Miał wtedy jeszcze profesor Kot nadzieję, że uda się pozyskać generała Andersa dla lojalnej współpracy z rządem Sikorskiego.

Koncepcja polityczna premiera Sikorskiego — porozumienia z Rosją na podstawie paktu londyńskiego z lipca 1941 i protokołu podpisanego w czasie wizyty Sikorskiego na Kremlu w grudniu tegoż roku — traciła wtedy coraz bardziej popularność nie tylko śród emigracji polskiej w Londynie, ale i śród setek tysięcy Polaków na Bliskim Wschodzie. Wpływały na to zarówno klęski Rosji na froncie niemieckim jak i propaganda licznych dygnitarzy sanacyjnych, którzy drogą przez Rumunię schronili się w Palestynie. Pakt polsko-radziecki okrzyczano tu wzorem londyńczyków jako klęskę polską, katastrofę narodową, Targowicę, zdradę. Tymczasem z rozmów z mym bratem, profesorem Kotem i z dokumentów, jakie mi ten udostępnił, wynikało jasno, że zarówno pakt jak i jego realizacja na przestrzeni pierwszego roku zapewniły stronie polskiej poważne korzyści, z których opinia polska nie zdawała sobie sprawy. Pakt ten przecież umożliwił nam dotychczas: stworzenie stosunkowo silnej armii lądowej i uzupełnienie nadwyrężonych już wojną marynarki i lotnictwa; uwolnienie z więzień i obozów dziesiątek tysięcy obywateli polskich; udzielenie pomocy materialnej i moralnej setkom tysięcy ludności polskiej w Rosji; wyjazd tysięcy dzieci polskich z Rosji do krajów niezagrożonych wojną, gdzie znalazły one opiekę i możność kształcenia; uzyskanie stu milionów rubli kredytu; a przede wszystkim pakt ten zapoczątkował współpracę polsko-radziecką, która w wypadku zwycięstwa Rosji w tej wojnie musiałaby być niezbędną dla odbudowy państwa polskiego. Należy wydać broszurę, dowodziłem profesorowi, która by wykazała opinii polskiej, że pakt z 1941 roku jest dla nas korzystny i że na jego podstawie należy rozwijać współpracę naszą z Rosją, bo inaczej — wobec intensywnej propagandy antyrosyjskiej sanacji — będzie mogło dojść do zerwania stosunków polsko-rosyjskich.

Profesor powiedział: „Słusznie, taka broszura jest potrzebna, panu pierwszemu przyszedł na myśl jej projekt, najlepiej będzie zatem, jeśli pan ją napisze". Miałem parę miesięcy czasu, bo przeszedłem z armii lądowej do lotnictwa i czekałem na transport do Wielkiej Brytanii; profesor udostępnił mi swą wielką walizę, w której znajdowały się tajne raporty, depesze, protokoły rozmów Sikorskiego ze Stalinem i Wyszyńskiego z Kotem; spokój Karmelu nadawał się idealnie do pracy.

Broszura właśnie była gotowa. Profesor chciał, by generał Anders zapoznał się z jej wnioskami i zgodził się na jej wydanie drukiem. Życzenie to było zrozumiałe, ponieważ jej autor był oficerem, podkomendnym jeszcze generała Andersa, a czytelnikami jej mieli być również żołnierze jego armii, bo z nich przecież składała się głównie ówczesna emigracja polska na Bliskim Wschodzie.

* * *

Profesor Kot z wrodzoną gościnnością polecił przygotować dla generała jeden z najlepszych pokoi w sanatorium, gdzieśmy wszyscy mieszkali. Również na życzenie profesora oznaczonego dnia czekaliśmy na generała z kolacją. Mijała jednak godzina za godziną — a generał nie nadjeżdżał. Wreszcie, zawiedzeni w oczekiwaniach, sami spożyliśmy kolację, poczem profesor zasiadł do bridge'a, ja zaś z sekretarką wyszliśmy na szosę, by skierować samochód generała na prowadzącą do sanatorium boczną drogę, którą w nocy łatwo było przeoczyć. Wreszcie długo oczekiwany samochód nadjechał, zameldowałem się generałowi, który powitał mnie cierpko, był w złym humorze, bowiem samochód jego już od godziny błądził w ciemnościach Hajfy i Karmelu. W westibulu sanatorium, zwykle pustym o tej porze, ujrzałem kilkanaście osób: to pacjenci żydowscy z profesorem Bodenheimerem zgromadzili się, by choć w przejściu ujrzeć na własne oczy głośnego już polskiego generała.

Nie zawiedli się zapewne w swych oczekiwaniach: generał Anders, wysoki, postawny, o młodzieńczych, sprężystych ruchach kawalerzysty, piersi pokrytej orderami, surowym wyrazie przystojnej, bardzo męskiej twarzy, otoczony już nimbem dowódcy, wywrzeć musiał i na nich wrażenie. Zaprowadziłem generała do saloniku na piętrze, w którym profesor grał w bridge'a. Przywitanie z obu stron było chłodne. Stosunki przedstawiciela rządu z dowódcą armii były jeszcze w Rosji naprężone z winy generała i jego sztabu, którzy zgodnie z pomajowymi tradycjami nie mogli uznać prymatu władzy cywilnej nad wojskową.

Miałem wrażenie, że owego wieczora profesor miał generałowi za złe, że kazał na siebie tak długo czekać; to, że zjawił się on o tak późnej godzinie, nie było dowodem respektu dla przedstawiciela rządu. Profesor powiedział: „Jest już noc, jestem zmęczony, doktor zakazał mi późno chodzić spać, pokonferujemy jutro rano". Generał odpalił: „Jutro rano o godzinie dziewiątej najpóźniej będę musiał odlecieć do Bagdadu, dokąd wezwał mnie dowódca dziewiątej armii brytyjskiej, wobec tego nie będziemy mogli konferować wcale". Profesor Kot, zawsze ustępliwy, poszedł na kompromis: „Pokonferujemy zatem trochę dziś wieczorem, trochę jutro rano, generał zamieszka u mnie, czeka na pana wygodny pokój". Generał nie chciał zostać na noc, ponieważ zostawił swą walizkę z rzeczami w hotelu w Hajfie. Wtrąciłem się więc do rozmowy proponując, że samochodem generała zaraz pojadę do Hajfy i przywiozę walizkę.

Tak nowy konflikt władzy wojskowej z cywilną na Bliskim Wschodzie został na razie zażegnany, profesor zamknął się z generałem w swym gabinecie, ja zaś pojechałem do Hajfy. Kierowca generalskiego samochodu był w nastroju bliskim samobójstwa. Został bowiem specjalnie wyróżniony przydziałem do osoby dowódcy armii na czas pobytu jego w Palestynie. Zaszczyt na całe życie, o którym będzie się opowiadało wnukom. A tymczasem błądził z generałem i pułkownikiem, dowódcą wojsk polskich w Palestynie przez godzinę, nie mogąc odszukać drogi z Hajfy na górę Karmel. „Że też ci Żydzi tak się boją wszystkiego i tak zaciemniają ulice, że człowiek w nocy jest zupełnie zgubiony!" „A zresztą to była wina pana pułkownika", — tłumaczył kierowca — „bo pan pułkownik podjął się pokazywać mi drogę, tylko potem, jak sam się zgubił, to zwalił całą winę na mnie. Tak zawsze jest w wojsku" — dodał filozoficznie: „Wstyd, teraz, taki wstyd". Starałem się jak mogłem podnieść biednego kierowcę na duchu, niestety był niepocieszony.

Profesor z generałem konferowali do godziny pierwszej w nocy. Potem zaprowadziłem generała do przeznaczonego dlań pokoju. Generał, uprzedzony przez profesora, powiedział mi uprzejmie: „Poruczniku, służę panu mym czasem do rana". Bardzo mi wtedy generał zaimponował tą gotowością poświęcenia godzin nocnego odpoczynku służbie publicznej, wracał bowiem z konferencyj wojskowych w Kairze, czekały go nowe nazajutrz w Bagdadzie i ostatecznie mógł się śmiało wymówić od wysłuchiwania mych projektów.

Rozpocząłem czytać na głos generałowi końcowy rozdział mej broszury, zawierający streszczenie jej stwierdzeń i wniosków. Gdy doszedłem do postulatów w sprawach wojskowych, a mianowicie do wysłania na front rosyjski polskiej brygady pancernej oraz polskiego dywizjonu lotniczego, generał przerwał mi obcesowym pytaniem: „Kto te głupstwa pisał?" Nie zdziwiło mnie to zbytnio, jako że większość polskich generałów nie odznaczała się uprzejmością. Odpowiedziałem, że ja jestem autorem tego projektu i argumentowałem go dalej mniej więcej następująco:

Nie tylko emigracja polska uważa pakt z Rosją z 1941 roku za niekorzystny. Również i nasz kontrahent rosyjski uważa go za niekorzystny dla siebie. Weźmy sprawę przyszłej granicy polsko-radzieckiej: pakt nie rozstrzyga jej pozytywnie, nie przyznaje kresów wschodnich Polsce, i dlatego polscy krytycy paktu z Sosnkowskim, Matuszewskim i Mackiewiczem na czele uważają to za klęskę dyplomacji Sikorskiego. Ale zdajmy sobie sprawę, że strona radziecka mająca pretensje do ziem leżących na wschód od linii Curzona również uważa nieprzyznanie ich paktem za dyplomatyczną klęskę. Dalej pamiętajmy, że strona rosyjska spodziewała się osiągnięcia szeregu korzyści w wyniku paktu z rządem polskim a mianowicie: 1) że powstanie w Rosji armia polska przyjaźnie usposobiona do Związku Radzieckiego, która będzie zawiązkiem przyszłej współpracy polsko-radzieckiej; 2) że rząd polski oprze wyzwolenie i odbudowę nowej Polski przede wszystkim na naturalnym geograficznie sojuszu z Rosją a nie na egzotycznym geograficznie sojuszu z Anglią, i że zewnętrznym dowodem tego będzie przeniesienie emigracyjnej siedziby rządu polskiego z Londynu do Moskwy; 3) że jedna z dywizji polskich stworzonych w Rosji pójdzie na front*); 4) że polska armia krajowa walcząca za frontem rosyjsko-niemieckim zostanie podporządkowana naczelnemu dowództwu rosyjskiemu, a nie jak to było dotychczas — angielskiemu. Otóż — przedstawiałem generałowi — nie zgodziliśmy się na zadośćuczynienie żadnemu z tych życzeń radzieckich. Armia polska wyszła z Rosji i zamiast propagować porozumienie polsko-radzieckie stała się ogniskiem propagandy antyrosyjskiej. Rząd polski pozostał w Londynie, nie zgodził się na podporządkowanie armii krajowej naczelnemu dowództwu rosyjskiemu, choć merytorycznie trudno było żądaniu radzieckiemu odmówić słuszności. Słowem, musimy sobie zdać sprawę, że partnera radzieckiego spotkał kompletny zawód. Pakt z 1941 roku z rządem Sikorskiego przyniósł mu więcej strat niż korzyści. W tych warunkach rząd radziecki będzie dążył prawdopodobnie do zerwania go — dowodziłem. To byłoby nieszczęśliwe dla nas, bo obecnie potrzebujemy współpracy z Rosją, a nie jest wykluczone, że w przyszłości możemy potrzebować jej jeszcze więcej. Aby zatem stosunki polsko-rosyjskie wyszły z impasu, w jakim obecnie ugrzęzły, strona polska musi więc — wywodziłem dalej — pójść na jakieś ustępstwo wobec rosyjskiego partnera. Możemy dać obecnie Rosji albo dowództwo nad armią krajową, albo wysłać jedną dywizję na front. Osobiście nie skłaniałem się do pierwszego ustępstwa. Bowiem już od 1939 roku byłem przeciwnikiem tworzenia armii krajowej, uważałem, że wobec niezmiernie krwawych represji niemieckich istnienie armii krajowej było błędem, narażało bowiem naród polski na straty nieproporcjonalnie wielkie do strat zadawanych Niemcom. W tych warunkach obawiałem się, że podporządkowanie armii krajowej naczelnemu dowództwu sowieckiemu uintensywni działalność armii krajowej na tyłach niemieckich a zatem wzmoże falę terroru niemieckiego, co pociągnie nowe setki tysięcy ofiar polskich. Zatem tym energiczniej wypowiedziałem się za wypełnieniem drugiego dezyderatu radzieckiego: wysłania wielkiej jednostki polskiej na front niemiecki w Rosji. Występowałem w broszurze z konkretnym projektem wysłania na ten front brygady pancernej generała Maczka, która była w pełni wyćwiczona, uzbrojona i wypoczęta, bowiem już od przeszło dwu lat przebywała z dala od wojny, w Szkocji (brygada ta, o chlubnej tradycji bojowej z września 1939 w Polsce i z 1940 roku we Francji, powiększona następnie do stanu dywizji pancernej, miała okryć się potem sławą podczas inwazji Europy Zachodniej, na polach bitew Normandii, Belgii i Holandii, docierając brawurowym marszem do Wilhelmshaven i Bremy). Również opowiadałem się za wysłaniem do Rosji co najmniej dywizjonu lotnictwa polskiego z Wielkiej Brytanii. Dowodziłem mianowicie: w oddziałach o najwyższym stopniu mechanizacji, tj. w lotnictwie i czołgach, straty ludzkie są stosunkowo najniższe w porównaniu do sukcesów propagandowych. Jako dowód przytaczałem udział polskich lotników w bitwie powietrznej o Wielką Brytanię w roku 1940: lotnictwo polskie wsławiło się wtedy na cały świat, strącając dwieście samolotów niemieckich a straty nasze nie przekroczyły kilkudziesięciu żyć ludzkich. Jeśli pod Stalingradem stracimy nawet połowę stanu naszej brygady czołgów, to straty w ludziach nie przekroczą kilku setek. Wobec milionów żyć ludzkich, jakie w tej wojnie traci naród polski, straty te będą małe, natomiast z punktu widzenia politycznego, ta krew wspólnie przelana przez żołnierza polskiego i rosyjskiego może mieć w przyszłości doniosłe znaczenie jako fundament, na którym będziemy mogli budować współpracę z Rosją, gdy tego zajdzie potrzeba, to znaczy, gdy Rosja wyjdzie z tej krwawej wojny zwycięska.

Generał słuchał mych wywodów z rosnącym zniecierpliwieniem, aż mi przerwał:

— Rosja przegra tę wojnę. Niemcy już doszli do Wołgi i Kaukazu. Tylko Anglia i Ameryka może pokonać Niemców. Tylko wojska anglosaskie i moja armia wyswobodzić mogą Polskę.

— Ten rozwój wypadków nie jest wykluczony — odpowiedziałem — ale nie jest absolutnie pewny. Musimy przewidzieć taki bieg wypadków, że Rosja wychodzi z tej wojny zwycięska, i że nie wojska anglosaskie, ale rosyjskie wyzwalają ziemie Polski. Wtedy naród polski nie będzie miał innego wyjścia, ale będzie musiał współpracować z Rosją. Musimy się i do tej ewentualności przygotować. Naród nie ma prawa stawiać całej swojej polityki na jedną tylko kartę. Dobry gracz nie postawi całego majątku na jednego tylko konia. Tak samo i naród polski nie powinien całego swego wysiłku, wszystkiej przelewanej w tej wojnie krwi stawiać tylko na zwycięstwo Anglosasów. Uważam, że warto choć tę jedną brygadę pancerną oraz jeden dywizjon lotniczy postawić na rosyjskiego konia. Przykład dali nam już Francuzi: choć ich lotnictwo jest kilkakrotnie słabsze od polskiego, to jednak wysłali już na front rosyjski jeden dywizjon. A kto może więcej w przyszłości potrzebować Rosji: my czy Francja?

Niestety argumenty moje nie przekonywały generała. Klęskę Rosji w tej wojnie uważał za pewną, a poza tym wykluczał z góry wszelkie możliwości porozumienia i współpracy ze zwycięską Rosją. Upór generała

*) W archiwach ambasadora Kota znalazłem raport naszego attaché wojskowego w Kujbyszewie z przebiegu konferencji z zastępcą szefa sowieckiego sztabu generalnego, odbytej — o ile pamiętam — w styczniu 1942 roku, w czasie której ten prosił dowództwo polskie o wysłanie na front pierwszej polskiej dywizji, która była już wyekwipowana i uzbrojona. Przedstawiciel polskiego dowództwa odmówił tej prośbie, motywując, że pragnie ono nie jedną dywizję, ale cała armię polską jednocześnie w przyszłości wysłać na front. Generał sowiecki odpowiedział, że cała armia polska nie prędko otrzyma uzbrojenie, ponieważ przystąpienie Japonii do wojny przewleka terminy dostawy sprzętu angielskiego, natomiast prośbę sztabu sowieckiego motywował następująco: „Nam nie jest potrzebna w tej chwili cała armia polska, nam wystarczy jedna dywizja, potrzeba nam bowiem dywizji polskiej nie z punktu widzenia militarnego, ale politycznego; pragniemy bowiem światu pokazać, że współpracujemy z Polską, jest to nam potrzebne jako odpowiedź na krucjatę antyrosyjską, jaka dziś urzadzają Niemcy wysyłający do walki z Rosją oddziały rumuńskie, węgierskie, słowackie, hiszpańskie, francuskie, włoskie i fińskie". Rosji wyraźnie bardzo na tej jednej dywizji polskiej zależało — i myśmy jej wtedy odmówili.

sprawiał na mnie wrażenie uporu człowieka, który raz powziąwszy decyzję, już jej potem nie zmienia. Może generał Anders wówczas już zdawał sobie sprawę, że wyprowadziwszy armię polską z Rosji spalił za sobą wszelkie mosty współpracy z Rosją i że nie pozostaje mu już nic innego, jak życzyć jej klęski militarnej?

Dochodziła godzina czwarta nad ranem i generał poczuł głód. Nie było go trudno zaspokoić, ponieważ przewidująca zarządczyni sanatorium przygotowała zimną kolację. W kącie pokoju sypialnego generała stał nakryty białym obrusem stół, a na nim oczekiwały apetycznie wyglądające przysmaki: ryba po żydowsku, sery, zimne mięsa i butelka czerwonego palestyńskiego wina. Apetyty nam służyły, popijaliśmy wino i rozmawialiśmy jeszcze z godzinę: o nieżyjącym generale Franciszku Kleebergu, który był — jak się dowiedziałem — serdecznym przyjacielem generała Andersa, a pod którego rozkazami służyłem w ostatnich tygodniach kampanii wrześniowej; o Brygadzie Karpackiej, w której dwa lata służyłem, a która weszła ostatnio w skład armii generała Andersa. — Generał Anders ubolewał, że dywizja karpacka ma najwyższy odsetek wypadków samochodowych, co ja z kolei uzasadniałem faktem, że jest to jedyna dywizja w armii, która posiada pełne wyposażenie samochodowego sprzętu. Tematów do rozmowy nie brakło. Podziwiałem wytrzymałość fizyczną generała, któremu wystarczało kilka godzin snu w samolocie. Zawdzięczał ją niewątpliwie wrodzonemu zdrowiu oraz wieloletniej zaprawie sportowej kawalerzysty. Dopiero około godziny piątej generał zdecydował położyć się spać, prosząc, by go zbudzić już o siódmej.

Gdy o wyznaczonym czasie zjawiłem się znów w pokoju generała, generał już się golił. Śniadanie zjadł z profesorem, kończąc wieczorną konferencję. Ja tymczasem zabawiałem adiutanta generała, rotmistrza Klimkowskiego oraz brytyjskiego pułkownika, który pełnił funkcje oficera łącznikowego przy generale. Oczywiście dyskutowaliśmy na tematy polityczne, którymi pasjonował się rotmistrz. Znałem go już ze słyszenia. Generał Anders darzył go dużym zaufaniem. W czasie przyjęcia na Kremlu Mołotow w obecności Stalina i Sikorskiego wzniósł toast w jego ręce, jako przedstawiciela młodego pokolenia oficerów polskich. Potem Klimkowski jeździł z generałem Andersem do Londynu, spotykał ministrów. To wszystko zawróciło mu w głowie. Teraz w rozmowie ze mną wygłaszał na temat współpracy z Rosją i Anglosasami poglądy bardzo naiwne.

Po angielsku nie mówił, prasy anglosaskiej nie czytał. Niemniej z wielką pewnością siebie wygłaszał poglądy na temat polityki międzynarodowej. Ponieważ był obdarzony pewną inteligencją i siłą perswazji, przeto na sztab generała Andersa i jego samego wywierał politycznie duży wpływ, niewątpliwie ujemny, bo hurrapatriotyczny, oderwany od rzeczywistości. Kilka miesięcy po naszym spotkaniu Anders mianował go dowódcą pułku zmotoryzowanego, co było wielkim wyróżnieniem, bo wielu pułkowników nie mogło się doczekać takiego etatu. Rotmistrz jednak miał większe ambicje: postanowił stworzyć nowy rząd w drodze wojskowego zamachu stanu, usuwając rząd Sikorskiego.

Podobno generał Anders wiedział o jego planach, ponoć z początku je popierał, ale widocznie nie dosyć energicznie, bo rotmistrz wystąpił i przeciw niemu. W rezultacie i Sikorski i Anders i dwójka przestraszyli się ambitnego rotmistrza. Prokurator wojskowy wytoczył mu sprawę o zdradę stanu na rzecz obcego mocarstwa i defraudacje i sąd wojskowy skazał go na kilka lat więzienia, które ten potem odsiadywał w więzieniu angielskim w Jerozolimie, więzieniu zresztą bardzo ciężkim. Osobiście mam wrażenie, że oskarżenie było tendencyjne, wyrok niesłuszny, cała jednak sprawa była charakterystyczna dla pewnych gier politycznych, toczących się w najbliższym otoczeniu generała Andersa. Z brytyjskim pułkownikiem próbowałem poruszyć sprawę wysłania samodzielnej polskiej brygady do Rosji. Pułkownik nie podzielał tej koncepcji. Przede wszystkim nie lubił Rosji i wolał, aby wszystkie wojska polskie walczyły po stronie angielskiej. Po wtóre, uwielbiał generała Andersa i uważał, że wszystkie siły polskie na obczyźnie powinny być podporządkowane jego rozkazom. Zapewne imponowało Brytyjczykom zacięcie kawaleryjskie generała, fantazja sportowa, doskonały wygląd zewnętrzny i dobre towarzyskie maniery, wyniesione z przedwojennych polowań i balików ziemiańskich, międzynarodowych konkursów hippicznych, czy dwuletnich studiów w paryskiej wyższej szkole wojennej. W rezultacie i brytyjski pułkownik uznał mój projekt wysłania brygady polskiej do Rosji za absurd.

Przeważająca większość opinii naszej emigracji oceniłaby go zresztą podobnie. Właśnie w tym czasie wybuchła w Londynie burza z powodu opublikowania przez mego brata na łamach „Wiadomości Polskich" artykułu uzasadniającego tezę, że porozumienie z Rosją jest dla nas żywotniejsze nawet od tego czy innego rozwiązania granicznego. Mafie sanacyjne i endeckie rozpoczęły przeciw niemu zażartą kampanię, której epizodem była interwencja osobista prezydenta Raczkiewicza u premiera Sikorskiego, żądająca wycofania z polskiego radia zapowiedzianej pogadanki mego brata na oderwany zresztą temat. Sikorski jeszcze raz ustąpił i przyjął dymisję mego brata ze stanowiska w prezydium rady ministrów. W tych warunkach nikt się nie kwapił do wydawania drukiem mej broszury prorosyjskiej.

Stosunki rządu londyńskiego z rządem radzieckim pogarszały się w coraz szybszym tempie. Kilka miesięcy potem doszło do ich oficjalnego zerwania.

Mieczysław Pruszyński

TADEUSZ PEIPER

Czy Kraków porzucić?*)

Lada dzień wkroczy do Krakowa wojsko niemieckie, a za nim gestapo. Zaczną się rewizje, represje. Będą nimi dotknięci nie tylko działacze polityczni, także uczeni i pisarze. Jest pora, aby usunąć niektóre książki, a szczególnie rękopisy.

Najbardziej niebezpieczne są papiery związane z cyklem powieściowym „Poprzez lata". Drugi tom tego cyklu, osnuty na tle poprzedniej wojny światowej, przepojony jest negatywizmem w stosunku do Niemiec i jasno ukazuje swą treść skryptem przepisanym na maszynie. Połowę wielkiej walizki zajmują notatki do dalszych, jeszcze nie napisanych tomów, w których niejeden rozdział ma mówić o Niemcach i Niemczech, i to nawet z okresu hitlerowskiego. To wszystko trzeba spalić. Trzeba spalić.

Palenie postanawiam zacząć od skryptu maszynowego, bo — jako łatwo czytelny — łatwiej da się przeniknąć śledczym oczom, niż notatki ręczne, pisane ołówkiem, pełne skrótów literowych i myślowych. Zbyt jednak słaby wobec uczuć autorskiego przywiązania do owoców pracy, nie umiem zdobyć się na całkowite ich spalenie i postanawiam usunąć ze skryptu tylko niebezpieczne części.

Trzeba je wybrać. Siadam przy biurku, czytam. Teraz, kiedy moje twory mam rzucić na kły unicestwiających płomieni, wydają mi się one bardziej wartościowe niż poprzednio, przynajmniej jako przedmiot przyszłych obróbek, rozwinięć, ulepszeń, udoskonaleń. O, jakżeż pragnąłbym uchronić to od zagłady! Ale potworna sytuacja żąda, nieubłaganie żąda, i jedno tylko mogę tym żądaniom przeciwstawić: nie dam im nic więcej ponad to, co bezwzględnie musi być dane. Czytając skrypt, staję więc ciągle przed pytaniem, co usunąć, a co zostawić. Rozważam, odważam. Postanawiam, cofam postanowienia, wracam do postanowień. Czuję serce.

Lecz nie wolno wahać się zbyt długo, nie wolno zastanawiać się zbyt długo, za dwa dni, za trzy, gestapo może być w Krakowie, trzeba się spieszyć, jedna godzina spóźnienia może być godziną, z której zwali się na moją głowę wrogi obuch. Odkładam na bok niebezpieczne kartki i z bólem stwierdzam rosnącą ich ilość.

A oto stronica, niebezpieczna tylko w dolnej ćwiartce. Czy oddać ją ogniowi całą? Całą? Nie, uratować co można! Odcinam niebezpieczną ćwiartkę, tnę nożycami żywe mięso powieści. Odtąd w podobnych wypadkach stosuję takie okrawania, ilekroć tylko się da, nawet jeśli niebezpieczna część znajduje się w środku stronicy i przez jej wycięcie reszta kartki rozpadnie się na dwie małe karteczki. Wprawdzie na wypadek rewizji mogę stanąć przed pytaniem, co na tych odciętych kawałkach było aż tak niepotrzebnego, że musiało poddać się niepraktykowanemu przez autorów sposobowi eliminowania i wprawdzie pytanie takie podejrzliwie wdrażać się będzie w usuniętą treść, ale może uda mi się stępić je udanymi troskami o kompozycję literacką. Zresztą — ratując to, co w każdym razie powinienem uratować, może najlepiej ratuję samego siebie.

Jeśli moja bolesna praca ma być wykonana na czas, muszę ją przyspieszyć. Oczy przebiegają po stronicach gorączkowo, szybko, coraz szybciej, w końcu pozwalają już sobie na przeskoki wszystkich miejsc, które na domysł można uznać za bezpieczne.

*) Zapiski z września 1939.

Usuniętą porcję powieści wrzucam w kolisty otwór kuchennego pieca i podpalam. Niestety: zapalają się tylko jakieś kanty i rogi, płoną niziutkim płomykiem i gasną. Niemal cały papier ocalał. Wrzuciłem go za wiele i niewłaściwie, bo bez uwzględnienia warunków sprzyjających spalaniu. Trzeba działać mniejszymi ilościami i trzeba kartki oddzielać od siebie, aby były przegrodzone warstwami powietrza. Poprawiam błąd, ale mimo to nie osiągam celu tak szybko, jakbym tego pragnął. Długo trwa spalanie papieru, kiedy jest on niebezpieczny; papier jest wtedy metalem, a ogień tylko ogniem.

Ktoś dzwoni. Pan K.:

— Można na kilka słów?

Odpowiadam ruchem ręki, wskazującym drogę przez przedpokój do pokoju, w ten sposób uniemożliwiam wejście do kuchni, gdzie znajduje się mój stos ofiarny.

— Pan wybaczy: dlaczego pan nie idzie z nami?

— Dokąd?

— Pan przecie wie: mężczyźni Krakowa, zdolni do służby wojskowej, wychodzą z miasta. Wszyscy są przerażeni tym, co mogłoby nastąpić, gdyby mężczyźni nie wyszli z miasta. Dzisiaj o 12-tej w południe zbiórka, potem wymarsz.

— Wymarsz dokąd?

— Na razie ważny jest sam wymarsz.

— Kierunek marszu też!

— Jest ogólne hasło: mężczyźni wychodzą. I mężczyźni masowo przygotowują się do wyjścia.

— Lecz dokąd?

— Za naszym wojskiem.

— Za naszym wojskiem! Brzmi to jak słowa miłości do wojska, ale czy rzeczywiście jest to miłość? Za naszym wojskiem, to przecie znaczy przeszkadzać mu, to znaczy zapełniać szosy, którymi ono będzie się posuwało, to znaczy powodować zatory, które będą hamowały jego ruchy! Za naszym wojskiem, to znaczy niemieckim lotnikom podkreślać drogi, którymi ono będzie się poruszało w tłumie cywilów wyprowadzonych z miast, to znaczy ukazywać te drogi lotnikom niemieckim tak dokładnie, jakby to były szerokie czarne taśmy, to znaczy wojsko i tłum cywilów wystawiać na ubój niemieckich bomb! Jestem przeciwny chodzeniu za wojskiem.

— Jest pan w ogóle przeciwny wyjściu mężczyzn?

— Na razie tak.

— To dziwne. Radio wzywało do wyjścia.

— Jakie radio?

— Krakowskie.

— W sobotę, dwa dni temu, krakowska stacja uległa zbombardowaniu i milczy.

— Nie, nie milczy; po zbombardowaniu zaczęła znowu działać.

— To chyba jakaś niemiecka radiostacja przywłaszczyła sobie falę krakowską.

— Widzę, że mogę odejść.

— Nie widzi pan źle.

Odchodzi.

Mimo wszystko trzeba sprawdzić, czy hasło wyjścia mężczyzn z Krakowa rzeczywiście rzucono. Najlepiej sprawdzę... w kawiarni. W kawiarni Bizanca. W tej przy ul. Dunajewskiego.

Idę szybkim krokiem, chcę jak najszybciej dowiedzieć się prawdy. Na rogu ul. Karmelickiej stoi oddziałek wojska. Dziesięciu czy dwunastu ludzi. Gdy ich mijam, słyszę:

— Panie Tadeuszu, dzień dobry!

Powitanie pochodzi od malarza K. P., który — w stalowym hełmie na głowie — stoi w oddziałku i uśmiecha się do mnie. Korzystam z tego spotkania i zaraz stawiam moje pytanie co do hasła wyjścia mężczyzn z Krakowa. Mój przyjaciel początkowo w ogóle nie może zrozumieć sprawy, muszę mu ją stopniowo wykładać, muszę opowiadać: o nieznajomym, który rzekomo widział na Śląsku Polaków przebranych w niemieckie uniformy i pchanych przeciw wojsku polskiemu; o wpływie, jaki ta wiadomość miała mieć na rzekome hasło, wzywające mężczyzn Krakowa do opuszczenia miasta dla uniknięcia bratobójstwa, na które byliby skazani w razie wkroczenia Niemców do Krakowa; o żądaniach posłuchu dla owego hasła; o podnoszeniu tego posłuchu do poziomu obowiązku patriotycznego; o rzekomej skuteczności tej propagandy; o zbiórce mężczyzn, która rzekomo już się odbywa.

— Nic pan o tym nie słyszał?

Rzucił barkami, a ten ruch oznaczał, że w ogóle nie może pojąć pojawienia się samej sprawy, jej trwania, jej narzucania się ludzkim głowom. Ruch bark znajduje uzupełnienie w słowach:

— To nasze kobiety miałyby pozostać w mieście same? To niemożliwe.

Na tym urywa się temat, bo ledwie malarz swe zdumienie wypowiedział, podbiega ku nam kilkunastoletni chłopak z kapeluszem wypełnionym papierosami.

— Trafiki dajom papirusy za darmo. Ile ino kto może chycić. Wzionem i mom. Niechta panowie bierom. — I podsuwa żołnierzom kapelusz z papierosami.

Wyciągają się ręce, wyciągam rękę także ja. W tej samej chwili rozlega się ostry głos porucznika stojącego na czele oddziału:

— Nie brać!!

Odpędza chłopca rozkazującym ruchem palca, błyskawicami rozgniewanych oczu. Nie rozumiem tej surowości. On wyczytał to w moich oczach i daje wyjaśnienie:

— Żołnierz nie pali papierosów niewiadomego pochodzenia.

W garderobie kawiarni Bizanca zastaję samego właściciela, krzykliwie dającego garderobianej jakieś zasadniczej ważności nauki. Gdyby wielka beczka piwa miała krótkie nogi i ruchliwe ramiona, wyglądałaby jak on w tej chwili. Bizanc jest jednym z najbogatszych ludzi w Krakowie; doszedł do tego bogactwa drogą, która zaczęła się jako miedza między cudzymi kieszeniami; był kawiarnianym płatniczym. Z pochodzenia Niemiec, sam urodził się już w Polsce, przeszedł przez szkołę polską, żył życiem polskim i nikt nie odróżniał go od Polaków; ludzie, którzy schodzili się w jego kawiarni, czuli się w niej jak u swojego człowieka. Gdy już okrzyczał garderobianą, powiadam mu, że dla otrzymania odpowiedzi na ważne pytanie, czy rzucono hasło wyjścia mężczyzn z Krakowa, wybrałem jego kawiarnię.

Przyjmuje to do wiadomości, mówiąc pyszałkowato:

— Bo gdzie się można dowiedzieć wszystkiego o wszystkim? — Wyrzuca swoje grube ramię, swój gruby palec i dumnie wskazuje na posadzkę swego lokalu: — Tu!!

Ale pytaniem moim nic interesuje się wcale. Podaje mi rękę, w której moja tonie jak w wiadrze.

W wielkiej sali frontowej znowu on. Tym razem obciąża grubą łapą stolik przy którym siedzi wraz z żoną profesor Adam Krzyżanowski. Mógłbym właśnie Krzyżanowskiemu zadać moje pytanie, ale wstrzymuje mnie myśl, że skoro w taki dzień, jak dzisiejszy, siedzi w pustej sali kawiarnianej i konwersuje z takim Bizancem, to może swoim samotnictwem odcięty jest od źródeł informacyj tak samo jak ja moim.

Nagle jego bródka wykonuje ruch podnoszący ją coraz bardziej do linii poziomej, a wzrok wybiega poza szyby okien. Za chwilę profesor podnosi się z kanapy, marszczy brwi, podchodzi do okna, przyzywa za sobą Bizanca i zdumionym tonem zapytuje:

— Jaki to jest mundur ten czarny?

Przerzucam spojrzenie w kierunku, w którym on patrzy z tak głębokim zdumieniem, i widzę niemieckiego żołnierza z SS jadącego na rowerze. Obraz jest w każdym razie zdumiewający. Jest czwarty września, Niemcy jeszcze nie zajęli Krakowa a tu w biały dzień, na ulicy żołnierz niemiecki w uniformie niemieckim! Jedzie przedłużeniem ulicy św. Tomasza w ulicę Dunajewskiego, jedzie centralną częścią miasta, jedzie przez arterie ruchu miejskiego sąsiadujące z Rynkiem, tym geometrycznym i funkcjonalnym środkiem miasta, i jedzie spokojnie! Nikt go nie zatrzymuje, nikt nie dziwi się, nikt nic nie podejrzewa.

Siedzę przy stoliku i wybiegam wzrokiem poza okna. Planty. Drzewa jeszcze przechowują w sobie lato. Każde ma własną słodycz. Krzewy ze szczególnym powodzeniem ukryły przed jesienią swą świeżość. Ich liście i listki są klejnotami zieleni. Ławki. Cóż, kilka desek na żelazie, ale w te deski i w te żelazne poręcze wplotły się wspomnienia. Tam ławka, na której niedawno w jedno ciche poobiedzie przysiadłem, aby zrobić kilka notatek do pisanej właśnie książki o Krzysztofie Kolumbie. A tam ścieżka, którą chodziłem, pochylając się nad kwiatami, kiedy w duszne tegoroczne lato nie mogłem wyjechać na letnisko. A tam zakątek jaśminów, których wonie akompaniowały rozkwitaniu mojej ostatniej miłości. A jeszcze dalej wspaniały kompleks parkowy, do którego nieraz z najdalszych wędrówek po mieście doprowadzałem moje godziny tułacze. W ten kawał mojego świata wdarł się czarny rowerzysta, potworny jeździec, zbrodniarz z SS. Przed chwilą przejechał tędy.

Lecz aby to porzucić, musi pojawić się powód ważniejszy. I ważniejszy od plotek.

Na razie takiego powodu nie ma.

Tadeusz Peiper

NAGRODA LITERACKA M. ŁODZI
MIECZYSŁAW JASTRUN
RZECZ LUDZKA
poezje
cena zł. 65·-
Do nabycia we wszystkich księgarniach
Spółdzielnia Wydawnicza „KSIĄŻKA"

Z poezji komunardów

EUGENIUSZ POTTIER

Komuna przeszła tędy

Edwardowi Vaillant, członkowi Komuny

Zażegł błyskawic żar Komunę,
Jest Paryż dumny z niej niemało;
Czuć świat dziś prochem, proch — piorunem,
Rzekłbyś, że wczoraj jeszcze grzmiało.
Jej klęska wciąż na odwet czeka,
Więc mnichy, sknery i przybłędy
Drżą, zabitego mając ćwieka:
Komuna przecież przeszła tędy!

Bruków ulicom brak jak długie,
Zdziesiątkowane bataliony;
Szły równo, ostro śmierci pługi,
Ryjąc głębokich bruzd miliony,
Z tą hekatombą niezmierzoną
Ściekała krew strumieniem wszędy,
Lecz spójrzcie: wschodzi siew — czerwono...
Komuna przecież przeszła tędy!

Znienawidziła Bonaparta
Na kolumnowej wysokości
I wojen kult, co — tam do czarta! —
Był wręcz obelgą dla ludzkości.
Niech więc grzmi Chauvin, niech ujada —
Kolumny z brązu groźne zręby
Już padły jak z kart domek pada...
Komuna przecież przeszła tędy!

Czy pomnisz Ludu, dziś Tuilerie
Osadził w nich kat — grudzień pana;
Święcił tam orgie i brewerie,
Z pałacu zrobił wnet lupanar.
Codziennie zmieniał tam kochanki,
Dla zbytku deptał wszelkie względy.
No — z dymem poszły mu firanki...
Komuna przecież przeszła tędy!

Europo, Zjednoczone Stany,
Dziś Zjazdy Pracy obradują,
Nauka pęd ma niewstrzymany
A postęp — wartko młoty kują,
Dla jutra — granic nigdzie nie ma,
Świat przyszłość tka ze złotej przędzy.
Jeden dla ludów plan i temat...
Komuna przecież przeszła tędy!

Już Kongres orzekł: „Moje — wszystko:
„Fabryki, zbiory, rzeki, place,
„Kolej, kopalnie, torfowiska,
„Narzędzia wielkiej ludzkiej pracy.
„Bo ustokrotni się produkcja,
„Gdy huty nasze wspólne będą,
„Leniów — przekreśli Rewolucja..."
Komuna przecież przeszła tędy!

Już piją mózgi światło wiedzy.
Duma rozpiera ludziom piersi,
Z wiosek i z miast, z ulicy, z miedzy
Uczeńsi stają się i śmielsi.
Kiedy w przysiółku zadymionym
Myślą o wielkim dniu z legendy,
To o sztandarze śnią czerwonym...
Komuna przecież przeszła tędy!

przełożył **Allan Kosko**

LUIZA MICHEL

Na porażkę rewolucji

Na popękanym zegarze dni płyną osnute żałobą.
Płyńcie, płyńcie i płyńcie, płyńcie doba za dobą,
Miłości i nienawiści — wszystko unosząc ze sobą.

Silni, odważni padli w walce,
Wszystko skończone towarzysze!
A podłe pełzną już padalce,
I niewolników skowyt słyszę.
Gdzieżeście bracia komunardy
Ze skrzącym Marsylianką wzrokiem,
Nieustraszonym szliście krokiem
Jak naszych ojców zastęp hardy.

Kochałam, bracia-bojownicy,
Wasz zapał i junackie ramię
I gromki głos kartaczownicy
I płomieniste nasze znamię.
Śród rozszalałej fali szumu
Jak pięknie z losem pójść w zawody,
Śmierć za jedyną mieć nagrodę!
Wybiła już godzina tłumu.

Potrzebne wam krwi żyznej soki,
Starcy bez ducha i bez sławy?
Więc przelewajcie jej potoki
I pijcie ten ocean krwawy!
A my w śmiertelne zstąpim truny
I do snu ułożymy głowy,
W piękny nasz sztandar purpurowy
Udrapowani jak w całuny.
Lecz widzę: duch nas zemsty wskrzesza
I wszędy, w każdej świata stronie.
Nieprzeliczona wraca rzesza,
Mocno trzymając się za dłonie:
Wielu z nas krwią serdeczną broczy
Z piersi przeszytej kulą wrażą,
Drudzy w całunach, z bladą twarzą —
A przodem śmierć z proporcem kroczy.

W więzieniu wersalskim, czerwiec 1871 r.

przełożył **Karol Drezdner**

PAUL VERLAINE

Zwyciężeni

W nocy swych więzień rzekli sobie zwyciężeni:
Skuto nam ręce ale my żyjemy jeszcze.
Gdy żelaza zginają nam barki ku ziemi,
Żywy skarb: w żyłach naszych krążąc krew szeleszcze.

W naszych głowach strażują bacznie nasze oczy,
Czujne szpiegi, za kością czołową mózg płonie,
Gdy trzeba będzie miażdżyć, mord z niego wyskoczy
I twarde będą szczęki nasze, szybkie dłonie.

Na ogrom swego błędu ślepi w pierwszej chwili,
Szaleńcy, co za późno pojmą jego wagę,
Nam tchórzliwej swej łaski zniewagę rzucili.
Tak! Dobrze! Łaska zemści nas za tę zniewagę.

Skuli nas! Lecz kajdany po to wróg nałożył,
By mogły bić, gdy spadną w mroku pod pilnikiem,
Strażników rozbrajanych, a tryumfatorzy
Święcąc zwycięstwo dadzą czas umknąć strażnikom.

I znów walka! I może zwycięstwo i sława,
Walka straszna, zwycięstwo miażdżące żelazem,
A że tym razem władać będzie siła prawa,
Walka będzie ostatnia, zaprawdę, tym razem!

Gdyż umarli wbrew starym marzeniom mistycznym,
Jeśli kul nie szczędzono, doszczętnie umarli.
Czas już nie jest upiorów galopem epicznym
Na widmowych rumakach, pośród nocy czarnej.

Klacz Rolanda i Roland to mityczne dzieje.
Sens ich rwie się i żąda wysiłku nad życie,
Co by nas zgubił: jeśli mieliście nadzieję
Na litość naszą, drogo za błąd zapłacicie.

Wy umrzecie z rąk naszych, wiedzcie, gdy zwycięstwa
Los nam przypadnie. Skamląc litości umrzecie.
Tego chce sprawiedliwość, tego żąda zemsta,
Tego konieczność jutra, której nie cofniecie.

I ziemia, o jałowym dawno, chudym łonie,
Długo, chciwie, radośnie pić waszą krew będzie
Której ciężki i smaczno-kwaśny opar wionie
W niebo i zaróżowi obłoku krawędzie.

Psy i wilki oczyszczą z ciała wasze kości,
Ptaki splądrują trzewia stadami głodnymi,
A my będziemy śmiać się z ogromnej radości,
Bo trup jest trupem, my was tego nauczymy!

(1872 r.) przełożył **Mieczysław Jastrun**

Współczesna poezja rosyjska

WALERY BRIUSOW

* * *

Kiedy spoglądam w nocy mrok grudniowy,
Słyszę nieledwie w gromach kanonady,
Jak ziemia drży do posad głębinowych
I las wyniosłych pni z łoskotem pada.
Wciąż zdaje mi się w zgiełku bitw złowieszczym,
Że stary świat już pali się i wali,
Że oto mury druzgotane trzeszczą
I lądy giną pod naciskiem fali.
Nie żal mi wcale Atlantydy nowej.
Niechaj pokryje otchłani przejrzystość
Krzywdy odwieczne i kłamstwa wiekowe,
Sny nadaremne i nierzeczywiste.
Z nieznanych głębin nowy świat niech wstanie
Życia naszego ni spraw nieświadomy.
Oto już widzę go w gwiazd migotaniu,
W mrok zasłuchany, w kanonady gromy.

1916 przełożył **Jerzy Pomianowski**

ALEKSANDER PROKOFIEW

Piosenka „Jabłoczko"

Strzępami niejasnymi
Nad ziemią dzień nawisnął.
W chlebakach nosiliśmy
Tę piosnkę, jak komiśniak.
Kiedy się szło na Narwę
Przez piach, przez mokre diuny,
Nam chwacki kaptenarmus
Śpiewany dał fasunek.
Skrzydłowy nasz — na próbę —
Zaczynał śpiew od świstu;
— Niech wiedzą, co to Kubań
Estonki przysadziste.
W sukiennej czapce krągłej,
— Niby dziewczyna kraśna —
Już na półwysep ciągnie
Cały wesoły kraj nasz.
Daleko biała wioska
I stary dom wśród wiśni.
Nosiliśmy tę piosnkę
W chlebakach, jak komiśniak.
Nocuje mgła na Sujdzie
W rozłogu przedwiosennym.
Wołam do brzóz: — Głosujcie
Zielonych rąk wzniesieniem,
Za tym, by słodsze pieśni
Rozbiegły się po kraju;
Niech pieśń, poczętą w Czeczni
W Abchazji dośpiewają.
A „Jabłoczko" — nie sprosta
Nowej żeglugi celom;
Ogryzek z niego został —
— Bo znało warg zbyt wiele.
O pieśni-wodzirejce
Dziś szumią tylko trawy.
— Ze łbów kudłatych zdejmcie
Papachy kędzierzawe,
Ja także się pokłonię,
Bo słusznie się należy
Towarzyszowi broni
Hołd piewcy i żołnierza.

przełożył **Jerzy Pomianowski**

LUDMIŁA TATIANICZEWA

Magnitogorsk

Znamy to miasto od kołyski;
Tu siwiał step, rdzewiały trawy,
Tu wiatr, zawodząc po kirgisku
Na złocie strzemion w biegu stawał.
Tu się widomie objawiło
Wszystko, co znamy z pierwszej ręki:
Wspólnoty nieugięta siła
I styczniowego mrozu błękit.
Powietrze tu lodowaciało
I rwało krtań, jak szklane drzazgi;
Ciepłem oddechu, własnym ciałem
Pokonaliśmy ziąb uralski.
To nasze dłonie osędziałe
Wydarły serce czarnej skale:
Kamień, gdzie żółć i krew stężały,
Aby się w ogniu stać metalem.
— Oto potęga tajemnicza,
Oto zwycięstwa groźny zwiastun.
— Duma Uralu tchnie z oblicza
Magnitogorska, mego miasta,
Które w pustkowiu, w mroźnym mroku,
W zbroi z granitu i cementu
Czuwa, powstałe dla wysokiej
Jeszcze nieznanej nam legendy.

przełożył **Jerzy Pomianowski**

ILIA ERENBURG

Ewakuacja Paryża

Umrzeć nawet — zdawało się łatwiej;
każdy kamień był miły i własny.
Wywozili działa, podpalili naftę,
padał czarny śnieg na czarne miasto.
A kobieta do piechura rzekła
(czarne łzy jej po twarzy ściekały):
„Czekaj, miły, trzeba się pożegnać..."
I źrenice jego osłupiały.
Ja widziałem to spojrzenie zgasłe
— było pusto i mrocznie jak w nocy —
W ślad za wojskiem opuszczała miasto
sztuka, ciemna, jak człowiecze losy.

1940 przełożył **Jerzy Pomianowski**

JAROSŁAW SMIELAKOW

* * *

Gdy mnie zmoże choroba,
lekarzy na pomoc nie wzywam;
wołam wtedy przyjaciół
(nie majaczę; w oczach mi jasno):
niech zaścielą mi step;
niechaj mgłami przesłonią mi szyby;
u wezgłowia
niech nocną postawią mi gwiazdę.
Szedłem zawsze na przełaj;
nie stroniłem od ludzi i zdarzeń.
— Gdy wśród walk sprawiedliwych dosięgnie mnie kula,

niech owiną mi skroń
górskiej drogi bandażem;
kołdrą liści jesiennych
niech mnie otulą.
Nie chcę ziół ni okładów;
dajcie szklankę jasnego powietrza.
Wiew pustyni palący, srebrny chłód wodospadu
— oto leki najlepsze.
Z oceanów i gór
ciągną wichry epoki.
Tylko spójrz, a zrozumiesz, że żyje się — wiecznie;
nie wśród gorzkich opłatków, lecz w cieniu obłoków;

nie na ganek szpitalny
lecz na drogi wyjdziemy stąd mleczne.

1945 przełożył **Jerzy Pomianowski**

JEWGIENIJ DOŁMATOWSKI

* * *

Wśród szarych kolumn wiatr w pustkowiu pędzi.
Z dala dochodzą jeszcze walki gromy.
Jakby z maleńkich fal kamiennych — wszędzie
zlepione tutaj dachówki na domach.

Miasto znużone po bitewnym żarze
skłoniło głowę siwą śpiąc jak gdyby
i nieruchome lśnią na trotuarze
kałuże jasne potłuczonej szyby.

Kraków uliczką ostro się tu wygiął.
Czołg, poczerniały w objęciach pożaru,
i napis na pancerzu:
„Tu zginął
mechanik-kierowca Sanżara".

W ulicach — dymu zwijają się loki
i szary motyl popiołu w krąg lata.
Osierociała czyta jednym okiem
polskie napisy rosyjska armata.

przełożył **K. A. Jaworski**

ANNA ACHMATOWA

* * *

Z prawa wzrok w puste pola leci
Z zorzą, tą samą od stuleci,
Z lewa rząd latarń-szubienic świeci...
Jeden, i drugi, i trzeci...

A nad tym gwarna kawek gromada —
I twarz księżyca śmiertelnie blada,
Całkiem zbytecznie z chmur się wykrada.

To — nie jest z pieśni tej, ani z onej,
To — gdy wiek złoty wróci, wskrzeszony,
To — gdy cię ujrzy wzrok mój stęskniony,
To — gdy już będzie bój ten skończony...

29 kwietnia 1944 r.

przełożył **Leonard Podhorski-Okołów**

TADEUSZ·DOBROWOLSKI

Wystawa pośmiertna Stanisława Kamockiego (1875–1944)

Otwarta w krakowskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych, wymieniona w tytule wystawa budzi sporo refleksyj na temat „Młodej Polski", sztuki uprawianej na przełomie XIX i XX wieku a trwającej jako nurt żywy mniej więcej do lat pierwszej wojny światowej. Przywodzi ona na myśl szereg faktów do tej pory nie zbadanych metodycznie i naukowo, a określonych raczej „legendą", tworzoną przez ludzi owych czasów, narastającą np. dzięki działalności stowarzyszenia „Sztuka" szczególnie na gruncie Krakowa. Wystawa obrazów Kamockiego, malarza tamtych czasów, stanowi fakt zbyt odosobniony i jednostkowy, żeby w oparciu o nią pokusić się o pełną interpretację legendy. Może tylko naświetlić niektóre jej strony i w tym celu warto ją wyzyskać.

Historyczne zrozumienie wystawionego zespołu obrazów wymaga przypomnienia pewnych zdarzeń mniej więcej sprzed pół wieku: między innymi faktu reorganizacji krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych przez Fałata w r. 1895, powołania na katedrę malarstwa szeregu młodych malarzy, oswojonych podobno ze sztuką francuską i impresjonizmem, utworzenia specjalnego kursu malarstwa krajobrazowego pod kierunkiem Jana Stanisławskiego (1897), z kolei związków „Sztuki" z wiedeńską „Secesją", z wiedeńskim czasopismem artystycznym „Ver sacrum" i całością ruchu, który nosił różne nazwy (np. Jugendstil w Niemczech), posiadał wielkie ambicje, marzył o stworzeniu „stylu" a kończył na nieco pustej, zdobniczej arabesce. Próba odróżnienia legendy od prawdy musi prowadzić do rewizji skutków osiągniętych przez wspomnianą reorganizację uczelni a także do zbadania, na czym ona polegała. Czy opierała się na jasno sformułowanym programie i zdefiniowaniu celów nauczania? Bo zbywanie tego problemu efektownym, lecz gołosłownym komunałem, że „otwarto okno na Europę", że nastąpiło odświeżenie zakrystialnej (w okresie Matejki) atmosfery, panującej w szkole, że zaczęła się era modernizmu, nie może zadowolić po skonfrontowaniu krakowskiej sztuki z tym, co działo się wówczas we Francji, we Francji impresjonistów, Cézanne'a i Van Gogha. Fałat znaczną część swej młodości spędził w Niemczech, odbył romantyczną podróż po Oceanie Indyjskim, ale o Paryż tylko zawadził i aczkolwiek uważał się za impresjonistę, impresjonizmu nie rozumiał (por. jego „Wspomnienia"). Inni z profesorów mieli za sobą tradycję rosyjskiego malarstwa pejzażowego (Ruszczyc), trening monachijsko-warszawski (Wyczółkowski), a jeśli do Paryża jeździli, to poza Pankiewiczem i Stanisławskim szukali tam przeważnie sztuki dekoracyjno-linearnej i to nie zawsze w najlepszym wydaniu. Nie trzeba bowiem zapominać o tym, że stosunki Ślewińskiego z Gauguinem były czymś wyjątkowym. Większym powodzeniem cieszyli się u malarzy polskich Jules Chéret, twórca nowoczesnego plakatu i M. Grasset, zajmujący się stylizowaniem motywów roślinnych i propagowaniem zdobnictwa.

O Stanisławskim, osobniku pykniczno-„gargantuicznym", żywiołowym i obdarzonym podobnoć wyjątkowo bystrą inteligencją wiadomo, że istotnie interesował się impresjonizmem, który wywarł niewątpliwy wpływ na jego malarstwo. Wiadomo, że w swym dziele typu wybitnie wrażeniowego, tworzonym z niezmierną szybkością (w trakcie jednego popołudnia odrzucał podobno za siebie i trzy zamalowane tekturki) uwzględniał pewne odkrycia sztuki francuskiej w zakresie koloru i faktury, a nawet próbował, co prawda wyjątkowo, dywizjonizmu. Chętniej posługiwał się bowiem szeroką i lapidarną plamą barwną w dążeniu do uogólnień. Ale rzecz dziwna, kontakty mistrza z Paryżem nie odbiły się właściwie w malarstwie jego uczniów. Genealogia tej dość osobliwej sztuki czeka jeszcze wyjaśnienia.

Jak trudno wyświetlić pewne sprawy związane z naszym malarstwem sprzed pięćdziesięciu laty, świadczy o tym np. próba zbadania metod uczenia, używanych przez Stanisławskiego, podobno znakomitego pedagoga. Jego uczeń Mitarski podkreśla atmosferę entuzjazmu, stworzoną przez profesora klasy krajobrazu, zwraca uwagę na właściwą mu bystrość, z jaką rozeznawał się w artystycznych dyspozycjach swych wychowanków, żeby je z kolei rozwijać w kierunku wytyczonym przez ich osobowość. Ale, jeśli chodzi o kwestię korekty, o sposób jej prowadzenia, udało się ustalić na razie w drodze wywiadów tylko tyle, że Stanisławski kładł nacisk na ton obrazu i ogólną sylwetę przedmiotów, że radził ograniczenie szczegółów na rzecz całości, że wreszcie nie znosił nadmiernej dowolności w przedstawianiu. Natomiast, jaki był jego stosunek (i czy był to stosunek uświadomiony) do zagadnienia budowy dzieła, do zestroju barwnego, do problemu przestrzeni, waloru itd., tego dokładnie nie wiemy, chyba, że zechcemy wyciągnąć wnioski z analizy jego własnego malarstwa. Jednakże do wyjaśnienia systemu pracy pedagogicznej to nie wystarczy, bo w tym przypadku duże znaczenie posiada przygotowanie teoretyczne i stopień uświadomienia plastycznego profesora.

STANISŁAW KAMOCKI — Martwa natura

Sądząc z rezultatów jego działalności pedagogicznej, tj. z prac jego sześćdziesięciu uczniów, których wykształcił w ciągu dziesięciu lat pracy (zmarł w r. 1906), teoretyczna podbudowa nauczania była chyba dość chwiejna. Za to informacje o wytworzonej przez Stanisławskiego atmosferze zapału, o klimacie swoistego entuzjazmu wydają się zgodne z rzeczywistością, ponieważ wytrzymują próbę kontroli przy pomocy materialnych faktów, jakimi są gotowe obrazy. Obrazy te wskazują na to, że krzywa rozwojowa jego uczniów przedstawiała się dość niezwykle: nie wznosiła się bowiem w górę, lecz opadała w dół. Jej punkt szczytowy przypada bowiem na początek ich kariery artystycznej, konkretnie na pierwsze lata naszego stulecia; być może nawet, że po zebraniu odpowiedniej ilości dat, można by obliczyć jako ich wypadkową czas największego rozkwitu tej sztuki. Taką datą idealną okazałyby się może lata około 1905. Potem zaczyna się powolny lub raptowny upadek. Krzywa już nie rozwoju, lecz działania artystycznego wygina się ku dołowi i to w przypadku wszystkich niemal „rasowych" uczniów Stanisławskiego. Nie można bowiem uważać za ucznia Stanisławskiego np. takiego Tadeusza Makowskiego, który w okresie szkolnym malował wprawdzie krajobrazy w duchu klasy pejzażowej, lecz swą sztukę dojrzałą kształtował w Paryżu, w oderwaniu od kraju — ale w zupełnej zgodzie z sobą samym.

Przykładem tego zjawiska jest także sztuka Kamockiego, najbardziej utalentowanego ucznia Stanisławskiego, obok którego trzeba jeszcze wymienić Szczyglińskiego i Filipkiewicza, malarzy również obdarzonych niepowszednimi zdolnościami. Przymiotniki „utalentowany", „uzdolniony" posiadają szczególne znaczenie dla tego niewątpliwie szczęśliwego okresu naszego malarstwa, jakim były lata przełomu stuleci. Bo istotnie trudno zaprzeczyć, że istniał wówczas jakiś biologiczny urodzaj talentów, zapoczątkowany zresztą już dawniej pojawieniem się na horyzoncie polskiej sztuki Jana Matejki, braci Gierymskich i Chełmońskiego. Z kolei Wyczółkowski, Fałat, Malczewski, Boznańska, Pankiewicz, Podkowiński, Wyspiański, Weiss, Pieńkowski, Mehoffer, Stanisławski, Ślewiński, Dębicki, Ruszczyc, Pautsch, niektórzy uczniowie Stanisławskiego itd. — to nazwiska i równocześnie desygnaty wyznaczające konkretne i pozytywne treści. Inna zaś sprawa, że te imponujące niekiedy ładunki energii twórczej nie zostały wyzyskane w sposób właściwy. Przyczyny tego zjawiska mają charakter złożony, wobec czego nie można ich wyjaśnić wyłącznie polityczną i gospodarczą sytuacją narodu. Prawdopodobnie w zakres badania trzeba też wciągnąć problem charakteru polskiego, duchowej struktury Polaków.

Wracając do sztuki Kamockiego, można ją uznać za symptomatyczną dla naszej sytuacji artystycznej w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku. Start tego malarza zaczyna się pięknie. Dwudziestokilkoletni wychowanek krakowskiej Akademii porzuca małe formaty obrazów swego mistrza i z powodzeniem próbuje opanowania dużego płótna. Bierze udział w wystawach „Sztuki", budzi zainteresowanie za granicą. Zyskuje opinię jednego z najzdolniejszych malarzy swego pokolenia. Maluje z wielką energią, olejną farbę kładzie na płótnie „pastozzo"; obraz oglądany z bliska składa się z grubych, odważnie rzucanych smug farby, która tworzy ciężką, materialną powierzchnię kojarzącą się z materią ziemi. Ziemię darzy artysta jakimś panteistycznym przywiązaniem. Pod tym względem można zestawić Kamockiego z Chełmońskim i Ruszczycem. Kamocki, człowiek żyjący tylko sztuką i naturą, a może lepiej — naturą i sztuką, czuł się najlepiej na odludnej wsi, w warunkach, które umożliwiały mu jak najbliższe obcowanie z żywiołem ziemi. Jego sztuka skłania do zastąpienia wyrazu przyroda wyrazem ziemia, dlatego że posiada ona cechy masywnej konkretności i ciemny, minorowy, niekiedy ciężki koloryt, co wywołuje specyficzne asocjacje. Nie można jej oceniać tylko z punktu widzenia formy, ponieważ jest to sztuka wyraźnie przedstawiająca i zarazem emocjonalna. Jej zadaniem nie jest budzenie wyłącznie estetycznych dreszczy, lecz pokazanie urody i charakteru pewnych motywów rzeczywistości. Takie słowa jak: wiosna, jesień, zboże, ziemniaki, drzewa, obłoki, kwiaty zyskują w tym malarstwie znaczenie istotne. Dlatego naprzód narzuca się uwadze widza wycinek przyrody wraz z jego swoistą barwą uczuciową (nazywało się to wówczas „nastrojem"), a dopiero później dostrzega się w obrazie pewne celowe harmonie kolorystyczne, które kryjąc w sobie także sens samoistny, przede wszystkim jednak są korelatem wybranej i odczutej rzeczywistości.

W swej wczesnej fazie malarstwo Kamockiego jest produktem krzyżowania się różnych wpływów oraz w znacznym stopniu przejawem jego osobowości. Jeśli chodzi o wpływy, o atmosferę, w jakiej się budziło, trzeba wziąć pod uwagę: tradycje naturalizmu wraz z jego podbudową teoretyczno-ideową, dokonaną przez Stanisława Witkiewicza, sztukę Chełmońskiego, Ruszczyca i osobisty wpływ Stanisławskiego, niezmiernie słabe i nieistotne dla tej wizji echa impresjonizmu, za to mocny współczynnik secesji, na pozór tak obcy „przyziemnej" twórczości artysty a przecież połączony z nią prawie organicznie. Wystawione w liczbie dziewięciu wczesne pejzaże ilustrują powstawanie jego osobistej maniery czy stylu. Dzieła te, wnioskując z kilku malowideł datowanych, są zamknięte latami 1902 („Jesień", nr 46) — 1908 („Kościół w Leńczach", nr 36). „Pochmurny dzień" ze zbożem i ziemniakami posiada datę 1903 (1909 ?), a dwa obrazy „Widok na Tyniec" i „Wiosna" pochodzą z roku 1906. Skromnie i dość gładko malowana „Jesień" z r. 1902 z motywem kałuży, pnia drzewnego i niebieskiego stoku górskiego w głębi nie wykazuje znamion secesji, która w postaci najbardziej przejrzystej i niemal programowej warunkuje trochę „kulisową" i symetryczną kompozycję „Widoku na Tyniec" z roku 1906. Ale secesyjność ta jest bardziej „malarska" od kaligrafii wielu jego współczesnych, bo polega nie na elementach graficznych, lecz na kładzeniu dużej i grubej smugi barwnej podług pewnych jakby kinetycznych rytmów. Ręka artysty zakreśla krzywizny i łuki, wyzyskując do tego celu naturalne własności przedmiotów, np. drzew lub kwiatów. Znamienny pod tym względem jest najlepszy może na wystawie pejzaż pt. „Kwiaty polne" (nr 23) przedstawiający rozkwieconą łąkę. Obraz ten wolno uważać za duże osiągnięcie artystyczne z powodu jego wielowarstwowej pełni. Kwiaty pozostają kwiatami, które można obdarzyć odpowiednimi nazwami, demonstrują one wiernie swą naturalną budowę: wysokie łodygi osypane kwieciem, a równocześnie tworzą wielobarwną koronkę o dekoracyjnym wydźwięku. Pomimo zawiłego motywu plany w tym obrazie tłumaczą się jasno a całość pomimo wielobarwności odznacza się jednolitym tonem podobnie jak i inne płótna tego okresu. Podłużny obraz „Kościół w Dębnie" (nr 37) wyróżnia się ciemnym tonem prawie czarnych zieleni a „Dworek w Bieczu" (nr 40) tonem brunatno-żółtawym zgodnie z jesienną porą, jaką przedstawia. Srebrzyste akordy określają znowu „Kościół w Woli Radziszowskiej" (nr 11).

Po pierwszej wojnie światowej artysta rozjaśnia swą paletę pod wpływem impresjonizmu, jednakże pierwiastek impresjonistyczny nie wychodzi jego sztuce na korzyść, ponieważ jej polifoniczność staje się zbyt powierzchowna i tania. Co więcej, jasne zielenie, typowe dla tej fazy, bywają surowe, niekiedy nawet jadowite. Śledzimy tutaj to samo zjawisko, jakie towarzyszy często innym tworom polskiego malarstwa, mianowicie niewłaściwe spożytkowanie zdobyczy impresjonizmu, które np. wizjonerskie i romantyczno-poetyckie malarstwo Jacka Malczewskiego skaziło mnóstwem denerwujących dysonansów, rozbijających wzajemną więź między fioletami, sinymi błękitami i żółciami. Jednym z powodów tego objawu musiał być brak głębszego wyszkolenia i doświadczenia plastycznego, którego nie był w możności zapewnić swoim uczniom nawet błyskotliwie inteligentny Stanisławski.

W swej fazie dojrzałej Kamocki kontynuuje zatem swoje malarstwo z lat młodszych (najlepsze swe płótna namalował w wieku około lat trzydziestu), ale w postaci spłyconej, oraz nawiązuje pewne kontakty z postimpresjonizmem, np. Cézannem, jak wskazuje na to dużych wymiarów „Martwa natura" (nr 30) z silną domieszką czarnej farby — a nawet z Matissem, jak tego dowodzi inna martwa natura zatytułowana „Z mojego pokoju" (nr 9), zestawiona z płaskich i czystych plam barwnych, z różów i zbyt farbkowatych błękitów. O jego wciąż aktywnym talencie świadczą niekiedy oryginalne układy elementów, świeżość płócien nasyconych słońcem, zniewalający stosunek do przyrody, umiejętność wybrania motywu i wyciśnięte na obrazach piętno osobowości, które determinuje twórczość Kamockiego jako twór własny i niepowtarzalny.

Z dotychczasowych uwag wyłania się jednoznaczna konkluzja odnosząca się nie tylko do zmarłego w czasie wojny artysty: talent na pewno duży, — szczery i pietystyczny stosunek do natury, dar jej prostego, lecz głębokiego przeżywania, nawet poczucie koloru, co prawda bez dyspozycji wynalazczych w tej mierze, scalające w harmonijną jedność barwy wczesnych obrazów, równocześnie zaś brak długiego oddechu (pomimo pracowitości) i niedostateczność fundamentalnego wyszkolenia, które by zapewniło artyście sumę wiedzy wystarczającą na cały okres życia, dokładniej — które by dało artyście mocne podstawy do ustawicznego rozszerzania tej wiedzy. Pod wyrazem „wiedza" rozumie się w tym przypadku nie elementarną znajomość rysunku, techniki itp., którą Kamocki posiadł w dostatecznym stopniu, lecz w ogóle pogłębienie własnej kultury umysłowej i plastycznej (trudno te pojęcia od siebie oddzielić) oraz właściwy gatunek samowiedzy artystycznej.

Tadeusz Dobrowolski

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Ankieta „Odrodzenia"

Karol Bohdanowicz: Jestem inżynierem górniczym, profesorem i dyrektorem Państwowego Instytutu Geologicznego.

Specjalność: surowce mineralne i ich złoża, jako jedna z podstaw uprzemysłowienia kraju i przemysłu światowego. Książki z tej dziedziny nie wydaję, ale przyjmuję udział w istniejących już od roku nowych czasopismach górniczo-hutniczych („Przemysł Górniczy", „Hutnik", „Nafta"), zamieszczając w nich krótkie artykuły z dziedziny surowców mineralnych i ich badań.

W miarę udostępniania nowej specjalnej literatury z okresu 1939—46 uzupełniam napisane w ciągu okupacji 30 studiów, dotyczących surowców podstawowych, głównych i pomocniczych.

Halina Maria Dąbrowolska: Niewiele mogłam spełnić przyrzeczeń, danych sobie i wydawcom co do prac swoich, bo od paru miesięcy ciężko choruję.

W dalszym ciągu opracowuję zakontraktowany w „Czytelniku" tom opowiadań „Zwierciadło cieni" z dni ucisku Niemców. Rekonstruuję powieść „Ukryci". Kończę sprzedaną biografię o Karolu Irzykowskim. Chciałabym wydać po raz drugi, powieść „Miłość i praca" wyczerpaną już przed wojną, oraz inne książki.

Piszę drobiazgi dla młodzieży oraz dziennikarskie robótki dla zarobku.

Zamierzenia na przyszłość to wykończenie sztuki, to drugi tom „Ukrytych", to wiele wymarzonych pomysłów, które — czy czas pozwoli rychło zrealizować?

Władysław Fabry: Od szeregu miesięcy choruję, od miesiąca przebywam w szpitalu OO. Bonifratrów, który zamieniam na szpital św. Łazarza, by się poddać operacji. W tych warunkach trudno snuć plany literackie.

Po wyzdrowieniu chciałbym przede wszystkim wydać książkę o Didurze pt. „Trzydzieści lat na największych scenach świata". Ponadto chciałbym wystawić w jednym z teatrów moje dwie komedie „Szukamy Brandta" i „Zgubił się sufler". Przed chorobą pracowałem nad nową komedią, której akcja rozgrywała się w obozie niemieckim i miałem już dwa akty gotowe w szkicach.

Gdy mi warunki materialne pozwolą, chciałbym napisać powieść o polskiej biurokracji w okresie międzywojennym (Prezydium Rady Ministrów).

Tadeusz Hołuj: Zarówno moja ostatnia książka „Próba ognia" jak i ogłaszane wiersze oraz popularna broszura o 1846 roku („Rewolucja i rabacja") są pracami wojennymi, przygotowywanymi lub napisanymi w całości w warunkach okupacyjnych. Z tego okresu nie uratował się natomiast dramat „Sebastian", skonfiskowany wespół z rękopisem „Próby ognia" przez gestapo.

Obecnie pracuję nad drugą częścią powieści o Gromadach Ludu Polskiego, którą mam zamiar ukończyć za dwa miesiące. W najbliższym czasie wyjdzie nakładem „Książki" zbiór moich wierszy z okresu konspiracji i pobytu w obozach koncentracyjnych. Kilka z tych wierszy drukowały czasopisma literackie. Zdaje mi się, że po młodzieńczych tomikach „Dziewczyno płyniemy naprzód" i „Płonące ścieżki" ten tomik („Przeciw otchłani") będzie już chyba ostatnim.

Plany moje pisarskie nie dadzą się niestety uzgodnić z czasem, jakim dysponuję. Po ukończeniu „Tułaczy" (drugiej części „Próby ognia") mam zamiar napisać powieść... o obozie koncentracyjnym Oświęcim, o walce więźniów politycznych za jego drutami. Tytuł... „Braterstwo". Prócz tego pragnąłbym napisać zaprojektowaną w obozie powieść, wielką powieść współczesną o swoim pokoleniu. Do ukochanych projektów, które zdaje się pozostaną tylko projektami, należy antologia poezji obozów koncentracyjnych i „żywoty rewolucjonistów".

Jan Huszcza: Podobno wkrótce ma się ukazać zbiór moich satyr i humoresek pt. „Kosa na kamień". Próbuję pisać powieść z życia przedwojennego miasteczka na wschodnim pograniczu, czy, jak się mówiło, na rubieży.

Przygotowałem tom wierszy.

Poza tym, niestety, ciągle nie mogę ujść dziennikarstwu.

Jarosław Janowski: Tak się złożyło, że moja pierwsza książka po wojnie nie będzie całkiem moja... No tak, przeżyłem iście pirandelliczną przygodę, kiedy wydawca zwrócił się do mnie z propozycją oszlifowania i uzupełnienia powieści zmarłego w ub. roku Z. Jurkowskiego („Wielki egzamin"). Ale równocześnie nachodziły mnie coraz natarczywiej postaci, należące do mojej zaginionej w czasie wojny sztuki „W masce Kamili". Musiałem rygorystycznie oddzielać świat fikcji zaborzonej, postaci, które dzięki zamówieniu znalazły się na moim warsztacie, od tych, które mają do mnie jakieś inne prawa. Przypomina się pytanie Maeterlincka, jak wyglądałoby codzienne pożycie pisarza ze stworzonymi przez niego figurami, gdyby tak po ludziku, zwyczajnie przyszły go odwiedzić. Otóż coś podobnego zaszło tutaj: raz puszczone w ruch postaci narzucają się, dopóki nie znajdą swego miejsca w ramach jakiejś formy... Podczas okupacji napisałem kilka rozdziałów powieści „Krokusy", która miała m. in. uwypuklić oddziaływanie krajobrazu na psychikę (akcja w Tatrach). Przetrzebieniu uległy dialogi, rozpoczęte w r. 1943, tylko dwa z nich, zapięte na ostatni guzik, czekają na przepisanie. Wykańczam studium krytyczno-literackie „Pożegnanie mitów", napisane jeszcze w okresie międzywojennym, a będące w pewnym sensie rozwinięciem wydanej wówczas „Rewizji na Parnasie". Ukazuję w nim sztukę w ciągłych przemianach, nie pozwalających na spokojne i wygodne ustalanie schematów krytyczno-programowych. Praca zarobkowa nie dopuszcza do 100% oddania się zawodowi. Więc pewien procent trzeba oddać pracy dziennikarsko-publicystycznej, fachowo-dziennikarsko-publicystycznej, wreszcie fachowo-dziennikarskiej.

Adolf Joszt: Obecnie nie wydaję żadnej książki. Jeśli chodzi o pracę pisarską, to obecnie gromadzę materiały do dwu książek: 1) „Mikrobiologia techniczna" i 2) „Chemiczna technologia rolnicza". Praca ta napotyka na bardzo poważne trudności z powodu braku wojennej i powojennej literatury zagranicznej. Dla wznowienia swej pracy badawczo-doświadczalnej zajmuję się organizacją pracowni w naszej nowoutworzonej uczelni.

Eugenia Kocwa: Wydaję u Gebethnera książkę pisaną w latach 1935—39. Jest to powieść o charakterze psychologicznym. Bohaterem jej jest człowiek, który szuka i walczy i w każdym punkcie swego życia gotów jest zacząć na nowo, o ile uzna, że jego stanowisko lub postępowanie w jakiejkolwiek sprawie było błędne. Niemniej jednak zachowuje ciągłość postawy zasadniczej wobec ludzi i zjawisk.

W książce tej położyłam wielki nacisk na dziedzinę ostatnio bardzo przez pisarzy zaniedbywaną, mianowicie na związek życia człowieka z życiem przyrody i na rolę piękna, jako jednego z podstawowych warunków szczęścia, dałam w niej również wyraz mojej niechęci do degradującej człowieka mechanicznej cywilizacji przemysłowej.

Powieść będzie nosiła tytuł: „Maria wyrusza w świat" — nie dlatego, ażeby był najbardziej zgodny z jej treścią, lecz dlatego, że jest bardziej atrakcyjny niż inne, które mi przychodziły na myśl.

Obecnie zajmuje mnie głównie działalność publicystyczna i krytyczna.

Co do moich zamiarów pisarskich na przyszłość, to wolę o tym nie pisać, gdyż ujawnienie planów odbiera mi niemal automatycznie ochotę do ich realizowania. Ze względu na wagę, jaką przywiązuję do precyzji słowa, pisanie jest dla mnie dużym trudem, dlatego też decyduję się podjąć go dopiero wtedy, gdy obsesja nagromadzonych myśli i zagadnień staje się czymś jeszcze bardziej męczącym niż pisanie.

*) Por. odpowiedzi w nr nr 68—74 „Odrodzenia".

Kazimierz Majewski: Mam przygotowane do druku następujące publikacje z zakresu okulistyki: 1) „Parę uwag o widzeniu stenopeicznym", 2) „Quelques considérations sur la vision sténopéique", 3) Przypadek rzęs niespotykanej długości, 4) „Un cas de cils d'une longueur excessive", 5) „Siła wzroku w świetle pełni księżyca", 6) „Sur l'acuité visuelle au clair de lune", 7) „Prawa i lewa ręka okulisty operatora", 8) „La main droite et la main gauche de l'oculiste opérateur".

Maria Morstin-Górska: Mam już dawno przygotowany do druku tom poezji „Most nad przepaścią". Zawiera on przeważnie wiersze pisane w ostatnich latach przed 1939 r. oraz niewielką liczbę utworów wojennych. Czeka na chętnego wydawcę, który zapewne niełatwo się znajdzie. Troska i niepokój o naszych najbliższych, stanowiące tło tych ciężkich lat okupacji niemieckiej, wpływały hamująco na moją twórczość poetycką. Zabrałam się za to po raz pierwszy do pisania prozą i mam na warsztacie zbiór opowiadań z tego okresu, który chcę wykończyć i wydać w książce pod tytułem „W cieniu śmierci".

Tymon Niesiołowski: Mam gotową pracę o Piotrze Michałowskim dla użytku szkół średnich.

Chciałem kiedyś zapoczątkować wraz z Janem Parandowskim serię monografij różnych autorów o wielkich ludziach; coś w rodzaju zbiorowego Plutarcha. Wówczas miała wyjść moja praca o Piotrze Michałowskim. Światło dzienne ujrzał tylko tom Boya o „Balzaku", Staffa o „Michale Aniele" i o „Reju" St. Wasylewskiego. Wojna przeszkodziła realizacji dalszych tomów.

Wskrzeszenie takiej biblioteki „Wielkich ludzi" wydaje mi się bardzo na czasie.

Obecnie mam także przygotowaną do druku „Dydaktykę rysunku" jako podręcznik do nauki rysunku i malarstwa.

W najbliższej przyszłości chcę ogłosić w jednym z pism literackich wspomnienia o Janu Kasprowiczu.

Zajęcia moje są obecnie tak odległe od zajęć literackich, że praca postępuje wolno i opieszale.

Seweryn Pollak: Dopiero w tym roku mogę wreszcie zdyskontować pracę długich sześciu lat wojny. Nie wszystkie, tylko część prac zginęła mi w czasie powstania warszawskiego. W takich wypadkach większą wagę przywiązuje się do rzeczy utraconych, ale nie zawsze jest to słuszne. Tym się w każdym razie pocieszam.

W krótkim już czasie ukaże się nakładem „Czytelnika" antologia „Dwieście lat poezji rosyjskiej", opracowana przez Mieczysława Jastruna i przeze mnie, z przedmową K. W. Zawodzińskiego. Znajdzie się w niej sporo moich przekładów zarówno z okresu przedwojennego, jak i nowszych, z lat wojny. Prócz tego „Czytelnik" niedługo już ma wydać mój przekład „Borysa Godunowa" Puszkina również z przedmową Zawodzińskiego, a „Książka" wydaje puszkinowskie „Sceny dramatyczne", czyli tak zwane przez rosyjskich puszkinologów cztery małe tragedie: „Mozart i Salieri", „Skąpy rycerz", „Uczta podczas dżumy" i „Gość kamienny". Przedmowę do „Scen dramatycznych" pisze Leon Gomolicki.

Jeśli chodzi o tak zwaną „twórczość oryginalną", to mam przygotowany do druku zbiór liryk z okresu wojennego pt. „List do przyjaciela"; sądzę, że ukaże się on jeszcze w tym roku.

Jak zwykle, piszę wiersze i tłumaczę wiersze. Dużo czasu zajmuje mi publicystyka. Usiłuję odtworzyć utracony poemat o żandarmie niemieckim pod tytułem „Śmierć Pajera", lecz idzie mi to opornie.

O planach trudno mówić — aktualne, wciąż nowe zagadnienia i prace zbyt często odsuwają plany w coraz dalszą przyszłość. Noszę się z zamiarem napisania książki, a może tylko broszury o teorii przekładu poetyckiego, sporo materiałów zebrałem już w czasie pracy nad antologią, niestety jest wiele źródeł, zwłaszcza angielskich i francuskich, dotychczas dla mnie niedostępnych. Prócz tego zamierzam przełożyć „Odwet" Błoka, poemat, gdzie część akcji dzieje się w Warszawie, — prawie u nas nieznany, a posiadający duże walory. Poza tym myślę o zrobieniu tomu wierszy wybranych Płoka i o tłumaczeniu „Śniegurroczki" („Śnieżki") Ostrowskiego.

Stanisław Sojecki: W najbliższych dniach ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Prasa" w Łodzi książeczka dla dzieci pt.: „Kłopoty Henia" z ilustracjami Kazimierza Grusa.

Kończę przygotowanie do druku tomiku satyr (częściowo drukowanych już w „Szpilkach"). Tytuł tomiku jeszcze nie ustalony.

Dalsze zamierzenia? Dość rozmalte, lecz zawcześnie dzisiaj o nich mówić.

Henryk Szipper: W niedługim czasie ma się ukazać nakładem „Czytelnika" moje studium popularno-naukowe pt. „A. Mickiewicz — poeta — działacz demokratyczny". Jest to obszerny rozdział z opracowywanego kolegialnie we Lwowie w r. 1940 podręcznika historii literatury polskiej. W ramach projektowanej przez „Czytelnika" „Biblioteki Klasyków Polskich" ma wyjść komentowane przeze mnie wydanie „Dziadów", będące przerobioną gruntownie reedycją tomików ogłoszonych w „Bibliotece Wielkiej". Państwowym Zakładom Wydawnictw Szkolnych oddałem do druku wybór prozy publicystycznej Mickiewicza.

Odnalazłem korekty gotowego przed wrześniem 1939 r. „Wyboru polskiej prozy oratorskiej", ułożonego wespół z J. Salonim i St. Świdwińskim, po odpowiedniej przeróbce będzie mógł on ujrzeć półki księgarskie. Jestem też na tropie odnalezienia „Dziejów postępowego ruchu nauczycielskiego w Galicji i na Śląsku", które napisałem w czasie okupacji, jak również opracowanego w tymże czasie wspólnie ze St. Świdwińskim wydawnictwa: „Tabele synchronistyczne do dziejów życia politycznego, społecznego i kulturalnego w Polsce i za granicą w latach 1863—1918".

Po wydaniu na użytek szkoły czytanek polskich „Ku lepszej przyszłości" (razem z T. Wojeńskim) pracuję nad wyborem publicystyki demokratycznej z okresu Wielkiej Emigracji. Pragnę w stosownej chwili kontynuować pięciotomową jubileuszową edycję pism wszystkich Asnyka, której dwa tomy ukazały się przed wojną, trzeci ocalał w korekcie, reszta na ogół w rękopisach.

Z prac oryginalnych myślę o dokończeniu rozpoczętej przed r. 1939 monografii o autorze sonetów „Nad głębiami", a później o kilku innych, o których przedwcześnie teraz pisać.

Anna Świrszczyńska: Oprócz kilku książeczek dla dzieci nie wydaję na razie nic. Noszę się z zamiarem wykończenia i wydania tomu wierszy, głównie jednak pracuję nad sztuką o obozie koncentracyjnym. Praca idzie mi dosyć opornie, bo — poza zajęciami zarobkowymi, które pochłaniają bardzo dużo czasu — napotykam przy pisaniu na wielkie trudności. Mimo to mam zamiar skończyć sztukę jesienią.

Adam Ważyk: W ostatnich miesiącach byłem pochłonięty pracą nad „Antologią współczesnej poezji francuskiej", która przygotowałem dla Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza". Uprzejmość i życzliwość wielu literatów ułatwiły mi tę pracę, ogromnie utrudnioną w naszych warunkach na skutek braku książek. Mam nadzieję, że ta antologia, dość obszerna, przyczyni się do rozproszenia fantastycznych i bardzo mglistych wyobrażeń, jakie panują u nas w związku ze współczesną poezją francuską. Przyda się przede wszystkim młodzieży uniwersyteckiej i literackiej. Ta przyjemna harówka, żeby ją wreszcie nazwać po imieniu, zmusiła mnie do przełożenia moich planów. Zdaje się, że będę mógł ogłosić niedługo kilka nowych utworów poetyckich. Nie dotrzymałem słowa, coś niecoś w tym zakresie pisze. W związku z tym opóźniłem się grubo ze złożeniem swoich wierszy w „Czytelniku". Więc i autorzy nie zawsze są w porządku wobec tej instytucji, na której powolność tak często się skarżą. Następny mój zamiar — to przygotowanie do druku zbioru opowiadań, będą tam rzeczy przedwojenne i nowe. I wreszcie, mam nadzieję, że pod koniec lata będę mógł zabrać się do pisania powieści z lat międzywojennych, która będzie dalszym ciągiem „Mitów rodzinnych".

KORESPONDENCJA

NISA — NIE NYSA
Do redaktora „Odrodzenia"

Prof. W. Taszycki w artykule „Nazwa rzeczna i miejscowa Nysa" w „Języku Polskim", maj—czerwiec 1945, broni stanowczo formy **Nysa**. Ponieważ jego wywody — jakkolwiek poważne — nie trafiły mi do przekonania, przeto wystąpiłem za Nisą z własnymi argumentami na posiedzeniu Komisji Językowej Polskiej Akademii Umiejętności 6 października 1945, z czego tu podaję streszczenie.

Formę **Nysa** stwierdza prof. Z. Stieber na Łużycach: w traktacie o ortografii mniej więcej w r. 1440, Jakub Parkoszowic niewątpliwie rozróżniając fonetycznie miękkie i twarde „n" podaje **niski** z niż, a **nyski** z Nisy: ta forma z **y** istnieje dziś w Nysa, w żywych gwarach śląsko-polskich, ujętych precyzyjnie przez L. Malinowskiego, a zwłaszcza prof. K. Nitscha.

A więc trzy pewne świadectwa przemawiają za **Nysą**: nowożytne łużyckie, Jakub Parkoszowic, a przede wszystkim żywe gwary śląsko-polskie. A przecież są jeszcze ważniejsze argumenty za **Nisą** a przeciw **Nysie**, nie tyle pisownia **i** w najdawniejszych formach łacińskich z X—XII w., ile fonetyka: łużycka, połabska, czeska, polska i niemiecka, które wskazują niewątpliwie na pierwotną formę **Nisa** i dowodzą, że forma **Nysa** jest późnym germanizmem (niem. **Neisse**), który dziś dla wielu Polaków brzmi przykro, chociaż w staropolskim istniało nagłosowe **ny-**, jak jeszcze dziś w nielicznych przykładach. Rozpatrzmy argumenty po kolei.

Pisownia. Nie można wychodzić, jak prof. Taszycki, z form, podanych dopiero w XV w. Trzeba sięgnąć do zapisek znacznie starszych, bo już z X w. i następnych. Tu występuje tylko **i**, nigdy **y** od X—XII w. Nisa Kłodzka nazywała się **Niza** (981—1096) i **Nisa** (1242); Nisa łużycka: **Niza**, Nizza (1241); okręg i miasto nazywały się: **Nizsa** (1170), **Niza** (1282). Dopiero od XIII w. mieszają się formy **z** i **z** formami **z y**, w XIV i XV w. mamy już w niemieckim Neisse i Neysse — z nowym dyftongiem niemieckim, w XVI w. **Neiss, Neyss** z bawarsko-austriackim zanikiem wygłosowego — **e**. Setki takich form występują w licznych tomach kodeksów Śląska, Czech, Łużyc, Miśni.

Wprawdzie pisownia łacińska przeważnie nie odróżnia słowiańskiego **i** od **y** oddając jedno i drugie do XII w. tylko jako **i**, a później przez **i : y**, ale właśnie w X—XII w. Nisa Kłodzka nazywała się **Niza** (981—1096) i **Nisa** (1242); Nisa łużycka: **Niza**, Nizza (1241); okręg i miasto nazywały się: **Nizsa** (1170), **Niza** (1282). Dopiero od XIII w. mieszają się formy **z** i **z** formami **z y**, w XIV i XV w. mamy już w niemieckim Neisse i Neysse — z nowym dyftongiem niemieckim, w XVI w. **Neiss, Neyss** z bawarsko-austriackim zanikiem wygłosowego — **e**. Setki takich form występują w licznych tomach kodeksów Śląska, Czech, Łużyc, Miśni.

Wprawdzie pisownia łacińska przeważnie nie odróżnia słowiańskiego **i** od **y** oddając jedno i drugie do XII w. tylko jako **i**, a później przez **i : y**, ale właśnie w X—XII w., a nawet później oddawano pod wpływem niemieckim (zwłaszcza południowo-niemieckim, bawarskim) słowiańskie **y** sporadycznie przez **u, ui, iu** w Niemczech, Czechach, Austrii, a przy **Nisie** nigdy i nigdzie tego nie ma. Tak więc już ortografia najdawniejsza łacińska zawsze z **i** przemawia w znacznym stopniu za **Nisą** przeciw **Nysie**.

Łużyckie i Połabskie. Prof. Stieber, notując w łużyckim **Nysa**, z pewnością się nie pomylił. Ale inni wytrawni badacze łużyccy, jak Pfahl czy Muka, przyjmują dwie formy: **Nisę** i **Nysę** i właśnie **Nisę** uważają za formę lepszą. To potwierdza fonetyka łużycka i połabska w nazwach geograficznych i nazwiskach w związku prawdopodobnym z **Nisą**, gdy widać tylko **ai : i : e** z pierwotnego **i**, a nigdy **oi** (niemieckie **eu**) z pierwotnego słowiańskiego **y**. Tak nowopołabskie Neizo (wieś niska), staropołabskie Niza, połabskie: Naiza (w dole leżąca rzeka).

Czeskie. Bieg górny **Nisy Łużyckiej** należy od XIII w. nieprzerwanie do Czech, a ze Śląskiem, z **Nisą Kłodzką** i miastem **Nisą** i z **Nisą Szalony** Czesi byli w nieprzerwanych stosunkach przez wieki. Formy czeskie na te **Nisy** mają z początku tylko **i**, potem **i : y**, ale nigdy nie wykazują dyftongu **aj** czy **ej**, który by się mógł rozwinąć tylko z pierwotnego **y**. W czeskim jest więc pierwotne **Nisa**, a forma **Nysa** jest — jak w łużyckim i polskim z niemieckiego **Neisse**.

Niemieckie. Z dawnego słowiańskiego **y** mielibyśmy w najdawniejszej epoce w języku niemieckim literackim a potem również i w dialektach na Śląsku, w północnych Czechach i na Łużycach albo **u** albo **ü** (pisane **ui, iu**), a dalej w XIV i XV w. dyftong **au** czy **eu**. Tego wszystkiego nie ma; jest **i**, potem **i : y** wreszcie **ei : ey**. Wyjątkowe **Neiss** (**Nuis** 1312) na Śląsku to **Neuss** w Nadrenii koło Kolonii albo od XVI w. bardzo rzadka pomyłka rysownika na mapie obok prawie wyłącznych form z **i : ei : ey**.

Najważniejsze są jednak **formy polskie**. Jakub Parkoszowic rozróżnia niewątpliwie **niski** (na dole) a **nyski** (z Nisy), ale jego **Nysa** jest już germanizmem z niemieckiego **Neisse** — tak jak w łużyckim i czeskim. To jest jedyny możliwy kierunek zapożyczeń: słowackie, łużyckie, czeskie, polskie **Nisa** daje niemieckie **Nissa**, które przechodzi w **Neisse**, a stąd wraca do słowiańskiego jako **Nysa**. Kierunek odwrotny jest fonetycznie niemożliwy. Zasadniczo polskie **i** nie ma i nie miało odpowiednika **ei** w niem., chyba tylko wtórnie, wyjątkowo np. pod wpływem czeskim, gdzie jest dyftongizacja **y** w **ei**, **aj**, a potem znowu monoftongizacja w **i**. Polskie **mila** pochodzi z dawnego niem. **mile** lub łac. **milia**, ale nie z niem. **Meile**, tak samo **lina** z niem. **Line** nie z **Leine**; **spichlerz** z niem. **Spicher** nie **Speicher**. Podobnie **chwila, lichwa**, itd.

Natomiast nowo-wysoko-niemieckie **ei** (z dawnego **i** czy **ei**) daje w polskim **y, é, e** (bardzo rzadko **i**): **dyszel, fryjer, knyp, rym, rycerz, ryż, ryński : reńskie, bursztyn, cecha** itd. Wyjątkowo jest **fischbin : fiszbejn, gmin : gmen**, ale śl.-pol. **gmyn, leice : lice**, ale śl.-pol. **lyce, mistrz : majster**; ciekawe jest tu śl.-pol. **y**. To przejście fonetyczne niem. **ei w i**, polskie **é, y** jest w zasadzie jasne, a przykłady po **n** są pewne: **nyga — Neige, Nydek — Neidek, Szynych — Szöneich** i **Nysa — Neisse**. Na ten proces zwracałem uwagę w pracy o gwarze niemieckiej Wilamowic, przyjmuje to Rozwadowski w fonetyce historycznej polskiej i stwierdza to przejście niem. **ei w y** w śląsko-polskim, prof. K. Nitsch.

W literaturze historycznej i naukowej Polski panuje już od półtora wieku forma **Nisa** (tak u prof. Romera, Semkowicza i wielu innych). Jest niewątpliwie w polskim tendencja do usunięcia w nagłosie **ny-** i zastąpienia tego przez **ni-** nawet tam gdzie było etymologiczne **ny-**. Niezależnie jednak nawet od tej tendencji należy bezwarunkowo usunąć **Nysę** jako przykry germanizm z niem. **Neisse** a wrócić do pierwotnej **Nisy**, która istnieje już od tysiąca lat w łużyckim, polskim i czeskim, a od półtora wieku — aż do artykułu prof. Taszyckiego — panuje bezsprzecznie w polskich pracach historycznych i geograficznych.

Adam Kleczkowski (Kraków)

O SZTUCE „STARA CEGIELNIA"
Do redaktora „Odrodzenia"

W toruńskim Teatrze Ziemi Pomorskiej ujrzała po raz pierwszy światło kinkietów sztuka Jarosława Iwaszkiewicza „Stara cegielnia", sceniczna przeróbka noweli. Widz wzrusza się i śmieje na przemian, wynosząc w sumie garść bardzo poważnych refleksji.

Wiadomo, że niekrępowanemu niczym autorowi wolno ukazywać w pełnym świetle tak bogactwo, jak i nędze ludzkiej duszy. J. Iwaszkiewicz osnuł sztukę swoją na tle okupacji. Rzeczywistość polska tego okresu nasuwa takie mnóstwo typów dodatnich, iż dziwić się i żałować należy, że autor wyłowił samą prawie mierność. W ciasnym kręgu widzenia naświetlił społeczeństwo polskie ujemnie, dając w przekroju obraz grupy społecznej mało wartościowej. W środowisku, do którego nas wprowadza, żaden z bohaterów nie wznosi się na wyżyny ducha. Ofiarny Antoni, stróż starej cegielni i podmiejski włóczęga Wacek, który w miarę narastania akcji ulega szlachetnemu przeobrażeniu i ginie bohatersko, zasłaniając ucieczkę Karola — nie przeważają szali, na której złożono prawie sama mierność. Partyzant Karol, „bandyta czy desantowiec", jak go nazywa Klara, niezorientowana w sytuacji, nie ma wyraźnego oblicza ideowego. Goni chimerę. Raniony upada na duchu, zwątpieniem zatruwając młodą duszę Jasia. Wolą autora także żadna z trzech kobiet nie zaprezentowała godniej polskiej kobiety, twardej, nieustępliwej bojowniczki w walce z okupantem. Biorąc pod uwagę, że autor świadomie przedstawił zwykłych, szarych ludzi w ich życiu codziennym, że pisał sztukę bez pretensji do ujawnienia przeżyć wielkich i podniosłych, z przykrością stwierdzić musimy, że w najbardziej ujemnym świetle przedstawił nauczyciela polskiego. Wyelegantowany, groteskowy typ skupia na swej postaci najwięcej cieniów. I to jest bolesne, zwłaszcza dla ogółu nauczycielstwa, które tak chlubnie zdało egzamin w okresie niewoli. Można zgodzić się z autorem, że i tacy byli, trzeba jednak wyrazić pretensję, że takiego właśnie nauczyciela wprowadził na deski sceniczne, a wprowadzając go nie przeciwstawił mu typu dodatniego.

Autor nie wyznaczył w swojej sztuce szkole i nauczycielowi polskiemu poważniejszej roli. Pan Wojciech jest tylko figurą, amantem potrzebnym dla samej akcji, jak z drugiej strony niepotrzebne wcale dla akcji jest to wszystko, co ujemnego o nim się mówi. Dobrze ubrany, przynoszący materiały narzeczonej, ględzący w szkole do znudzenia, przy tym jakiś niepewny — takiego wtajemniczać w sprawę ukrywającego się Karola — o, broń Boże! — jakże mało przypomina nauczyciela polskiego, tego, który z narażeniem życia w tajnym nauczaniu przygotowywał zastępy młodzieży, by dziś tłumnie zapełnić mogła szkoły średnie i wyższe.

W noweli przemyka się ten niewartościowy nauczyciel niepostrzeżony zbytnio, ale postawiony w świetle rampy wywołuje odruch niespokojnego zdziwienia, dla czego właśnie tej groteskowej figurze autor każe być nauczycielem?

Nie tutaj miejsce na wyliczanie zasług i ofiar, jakie nauczycielstwo polskie złożyło w strasznym czasie okupacji. Nie tu miejsce stwierdzać, że nauczyciel polski tego okresu to męczennik i bojownik polskiej sprawy. Można jednak, nie godząc się ze stanowiskiem autora, wyrazić zdziwienie, że w sztuce swojej taką tylko rolę wyznaczył nauczycielowi polskiemu.

Trzeba ciągle pamiętać, że rzecz dzieje się w czasie okupacji. Nas, którzyśmy bezpośrednio z tego okresu wyszli, sztuka rozczarowuje. Przyszłe pokolenia nie znajdą w sztukach tego rodzaju właściwego obrazu społeczeństwa, które umiało twardo każdego dnia stawiać czoło okupantowi.

W imieniu Słuchaczy Wyższego Kursu Nauczycielskiego w Toruniu: Janina Ankowska, Janina Czajkowska, Eligia Dawid, Janina Górska, W. Jankowski, Jan Juszek, Stanisława Łączyńska, Łuczak, Bolesława Maciejewska, H. Maksimczukowa, Maria Malinowska, Maria Marlińska, Eugenia Michalak, Prószyński, Aniela Siomińska, R. Szymańska, J. Tkaczykowa, E. Zawiślowski i 9 podpisów nieczytelnych.

Antologia o Kościuszce

Dr Stefan Papée. Tadeusz Kościuszko w literaturze polskiej. Antologia. 1768—1946. Kraków, Księgarnia St. Kamińskiego, 1946; str. 142 i 2 nl.

„Oby jubileuszowy rok 1946 przyniósł nareszcie wyczerpujące studium o Kościuszce w literaturze polskiej i obcej". Na razie przyniósł popularną antologię, opracowaną przez znanego dydaktyka, wydaną zaś w szacie o wiele uboższej niż np. (w tym samym wydawnictwie) podręcznik do nauki języka niemieckiego. Na najgorszym gazetowym papierze, zadrukowanym zamazaną czcionką. Ruchliwe wydawnictwo krakowskie w ten sposób dało swój wkład do uświetnienia 200-lecia urodzin Kościuszki i wzbogacenia pamiątek jubileuszowych.

Antologia zaczyna się Alojzego Felińskiego „Pochwałą Kościuszki", kończy się zaś fragmentem Szymona Askenazego „Świadek Polski": „Wszak on wojskowym ni politycznym nie był geniuszem. Po wygranej Racławic, przegrał Szczekociny i Maciejowice. Mylił się tylekroć na rzeczach i ludziach. A jednak o niego, bezsilnego, biednego starca, jeszcze spierali się Napoleon i Aleksander, najwięksi mocarze świata".

Jest Bogusławski, Książnin, Kołłątaj, Adam Czartoryski, Niemcewicz, Woronicz, Kantobery, Tymowski, Mickiewicz, Słowacki, Ryszard Wincenty Berwiński, Pol, Ujejski, Lenartowicz, Kraszewski, Anczyc, Żeromski, Wyspiański, Kononowicka, Kasprowicz, Włodz. Tetmajer, Reymont i jeszcze kilku pisarzy dawniejszych, ze współczesnych tylko L. H. Morstin i Kudliński. Zadziwiające jest, że brak Wandy Wasilewskiej, o której daleko poza kręgiem znawców układających antologię wiadomo, że napisała dramat „Bartosz Głowacki". Pominięcie tej pozycji uderza tym bardziej, że Papée zestawia z wielką starannością bibliografię, mając na oku śpieszenie z radą i pomocą pracownikom oświatowym i szkole, wszystkim którzy wezmą udział w organizowaniu imprez, uroczystości i obchodów kościuszkowskich. W swych zapiskach bibliograficznych bardzo cennych, umieszcza autor nawet Adama Skałkowskiego „Kościuszko w świetle nowszych badań", choć praca ta, znana próba pomniejszenia olbrzyma, chociażby nawet była istotna ze stanowiska naukowego, zupełnie nie nadaje się do rekomendowania na liście lektury i zgoła nie wiadomo, w jaki sposób np. w stosunku do młodzieży na pracy A. Skałkowskiego „wieczory ku czci Naczelnika zyskają".

Nici są w tym miejscu nazbyt białe. Ale nie tylko ścieg jest taki, lecz także całość uległa odpowiedniej deformacji. Jaka szkoda, że autor antologii, niezawodny w bibliograficznych poradach, szczodry w realiach i objaśnieniach, kompetentny dydaktyk, preparuje całość w jednostronnym duchu ckliwego, patriotycznego solidaryzmu. Na modłę anczycowskiego „Kościuszki pod Racławicami", dla „poczciwych szewców i rzeźników", którzy wraz z autorem i jego bohaterami na scenie załkają na widowni na wspomnienie sukmany i na dziarskie wezwanie „dalej ludu wiejski! chwytaj cepy i kosy — Jezus Maria! do broni, do broni!" — poczują dreszcz patriotyzmu.

Jak gdyby to była rzeczywistość!

A jednak owa rzeczywista rzeczywistość, żeby przypomnieć określenie Kazimierza Bartla, nawet w antologii Papéego wypływa na wierzch, jak oliwa na wodę, prawem przyrodzonej siły zwycięża ciężar gatunkowy prawdy. Wypowiada ją Kraszewski ustami Kościuszki w „Tułaczach":

„Tak było niegdyś — dziś już tak nie jest i jutro nie będzie... Cóż dziś Polska? to garść wybranych a nam trzeba mas, tysięcy, milionów, nam ludu potrzeba".

Czuje tę prawdę dobrze dziobaty chłop o ponurym wejrzeniu, któremu Reymont („Kościuszko wśród kosynierów") każe mówić tak:

„...ale bo to panowie przyzwolą na sprawiedliwość! Póki mają nóż na gardle, a sami zaradzić sobie nie potrafią, to skamlą: „Chłopie ratuj!" i niby temu złemu psu, nową budę obiecują za obronę. A niech się jeno na lepsze przemieni, to nam w nagrodę dołożą jeszcze poborów i pańszczyzny. Coś rzekłem, prawdę rzekłem".

Jeszcze zaś inny wyrywa się:

„Ja się ta panów nie bojam — po wojnie, jak prawo będzie za nami a kosy w garściach, to niechże z nami poprobują dawnego traktamentu".

Wierny obraz kościuszkowskich czasów jest więc zamącony w antologii Papéego. Dlatego pewnie piękna strofa z Benlowskiego nic brzmi z taką siłą, jaką jej nadał poeta:

„Czamarkę jego znano za Donem,
O szabli jego gadano w Dywanie,
Komendy jego posłyszanym tonem
Zaczęli gadać już Wielkopolanie.
On, jak kometa — grzywiasty szwadronem,
Był wszędzie... a gdzie on — było powstanie. —
Kłaniało mu się chłopstwo — żydy — zboże,
Dziwnie — serdeczna miłość tyle może".

Miłość świadoma społecznej krzywdy, nie zaś ta, która ją chce przemilczeć, kosztem historycznej prawdy potrzebnej dniom dzisiejszym.

Z postulatów wydawniczych, wysuniętych przez Stefana Papéego, na uznanie i realizację zasługuje opracowanie i wydanie publikacji o Kościuszce w obcej literaturze, u Byrona, Delavigne'a, Campbella, pisarzy ukraińskich, rosyjskich, węgierskich. Papée uwzględnia głos Juliusza Michelet'a, podając wyjątek z jego „Pologne et Russie" legende de Kosciuszko", w przekładzie Juliana Klaczki.

Józef Sieradzki

ZBIGNIEW SZAREK

Włókno

Koniec wojny postawił nas przed trudnościami okresu powojennego. Kto zrozumiał ich nieuchronność — łatwiej i szybciej niż inni umiał się do nich przyzwyczaić. Stosunkowo najprędzej nastąpiło zrozumienie ogólnej sytuacji, jeśli idzie o aprowizację. Ułatwia to walkę nie tylko o poprawę stanu wyżywienia, ale i o obniżkę cen na wolnym rynku. Zrozumiano już też sytuację naszego przemysłu węglowego. Ciągle jednak jeszcze pokutują fałszywe wyobrażenia i nieuzasadnione pretensje dotyczące przemysłu włókienniczego.

STRATY

Straty, jakie poniósł przemysł włókienniczy w Polsce — jeśli idzie o maszyny tylko — ocenia się na 698 milionów złotych przedwojennych. Ta cyfra przemawia dobitnie i przekonywa. W ośrodkach przemysłu włókienniczego na Dolnym Śląsku zapoznałem się z jej wymową i zrozumiałem wtedy sytuację naszego przemysłu włókienniczego. Chciałbym teraz przedstawić ją tym, którzy narzekają, nic nie rozumiejąc.

PIERWSZE OSIĄGNIĘCIA

698 milionów złotych wartości przedwojennej to jeszcze nie wszystko. To tylko maszyny. A gdzie zrujnowane budynki fabryczne, gdzie pasy transmisyjne, surowce. Gdzie fachowcy? Gdy zliczymy to, zdamy sobie sprawę ze stanu, w jakim przemysł włókienniczy został włączony do gospodarki państwowej. Właściwie powinno go było objąć osobne ministerstwo. Zarządzać tysiącem sto fabryk rozrzuconych po całej Polsce to nie lada zadanie. Tym bardziej, że oprócz chociażby prowizorycznego usunięcia zniszczeń i rozpoczęcia jakiej takiej produkcji, trzeba było ten przemysł organizować. Przestawić go z indywidualnej, koniunkturalnej gospodarki przedwojennych właścicieli na tory planowej gospodarki państwowej. Najlepszym dowodem ogromu tej pracy organizacyjnej jest fakt, że mimo uruchomienia produkcji i nawet przekroczenia norm, stadium organizowania trwa do dziś i potrwa jeszcze przez dłuższy okres czasu.

Początek w lutym 1945 był taki: Łódź wyzwolona bez zniszczeń, mimo dużej dewastacji fabryk włókienniczych, gotowa była do rozpoczęcia produkcji. Maszyny jednak stały, kominy nie dymiły. Nie było bawełny. Był za to front, oddalający się wprawdzie wciąż od miasta, ale absorbujący główne siły. A ludzie chcieli pracować i jeść. Łódź stała wówczas w obliczu długotrwałego bezrobocia. Za parę dni jednak sytuacja nagle się zmieniła. Fabryki ruszyły, a robotnicy otrzymali pierwsze zarobki. Tego cudu dokonała bawełna radziecka.

Ludziom uprzedzonym do naszego wschodniego sąsiada trudno ocenić bezstronnie pomoc ZSRR. Szepczą nawet o zaprzedaniu przemysłu włókienniczego Związkowi Radzieckiemu. Od poważnych osób słyszy się nieraz, że za bawełnę z ZSRR musieliśmy oddać wszystkie wyprodukowane z niej wyroby. Jest to kłamstwo wyssane z palca. Gdyby jednak nawet te plotki odpowiadały prawdzie, to i tak byłby zysk po naszej stronie, w postaci pracy i zarobku robotników w uruchomionych fabrykach. A jak było w istocie? Sytuacja zmuszała nas wprawdzie do zawarcia z ZSRR umowy nawet na niekorzystnych warunkach, zawarliśmy ją jednak na warunkach możliwych. Umowa przewidywała dostawę ponad 35 milionów metrów tkanin bawełnianych, przeszło milion metrów wełny, dwa i pół miliona sztuk wyrobów szytych, ponad milion par wyrobów dzianych i 4 miliony szpulek nici. Mieliśmy wypełnić umowę do stycznia bieżącego roku, na co przeznaczyliśmy **połowę** otrzymanego surowca, wywiązaliśmy się jednak z umowy dopiero przed kwietniem br., poświęcając na eksport do ZSRR **tylko** 25% naszej produkcji w pierwszym kwartale 1946 r. Wynika z tego, że na bawełnie radzieckiej zarobiliśmy, i to dobrze, tym bardziej, że za towary wyprodukowane otrzymaliśmy 688 milionów złotych. Teraz zawieramy nową umowę na lepszych warunkach niż poprzednio. Mamy już bowiem bawełnę i wełnę z UNRRA, wprawdzie znacznie gorszą niż radziecka, ale za to w dużej ilości. Brak surowca na razie nam nie grozi.

WYMOWA CYFR

Na jednej z konferencji prasowych, w czasie wycieczki dziennikarzy do ośrodków włókienniczych na Dolnym Śląsku, zasypano nas cyframi, jak to lubią czynić ludzie przemysłu. Ale z tych cyfr można wybrać kilka szczególnie przemawiających do każdego. Odnoszą się one przede wszystkim do produkcji.

W lutym 1945 r. było czynnych zaledwie 79 tysięcy wrzecion bawełnianych i wyprodukowano 300 tysięcy metrów tkanin. W listopadzie tegoż roku wirowało już 850 tysięcy wrzecion i wyprodukowano ponad 13 milionów metrów tkanin bawełnianych. A zniszczenie w przemyśle bawełnianym wynosiło 46% stanu przedwojennego. Z wełną było gorzej — zniszczenie prawie zupełne. Toteż produkcja była nieduża. W marcu 1945 roku wyprodukowano 189.893 metrów tkanin wartości 13.835.000 złotych, ale za to już w październiku ponad milion metrów, wartości 153.275.000 złotych. Procentowo zatem produkcja wzrosła prawie tysiąckrotnie według cen sztywnych. Jeśli zaś przeliczymy wartość wełnianej produkcji październikowej na ceny wolnorynkowe, otrzymamy sumę 450 milionów złotych. Tych osiągnięć nie można nie doceniać.

A cyfry ogólne? W roku 1945 wyprodukowaliśmy towarów bawełnianych, wełnianych, z włókien łykowych, sztucznych — wartości przeszło 4 miliardów złotych według cen sztywnych. W trzech pierwszych miesiącach br. produkcja nasza wyniosła już prawie 3 miliardy złotych. Biorąc więc z grubsza wyprodukowaliśmy w styczniu, lutym i marcu br. prawie tyle, co w okresie od lutego do grudnia ubr. A co dalej?

Produkcja nasza będzie oczywiście stale wzrastać. W drugim kwartale br. osiągnie wartość przeszło 3 miliardów złotych, a w całym roku 1946 prawie 13 miliardów. Znając plan trzechletni, możemy przewidzieć co nastąpi dalej. W roku 1947, który będzie pięknym rokiem dla przemysłu włókienniczego w Polsce, wybije się on bowiem na czoło innych przemysłów ilością zatrudnionych (260 tysięcy pracowników, a więc o 100.000 więcej niż dziś), wartość jego produkcji wyniesie 27 miliardów złotych. A w rok później o 10 miliardów więcej. Ale dopiero wówczas, ściśle w czwartym kwartale 1948 roku, przemysł włókienniczy osiągnie poziom produkcji ten sam co w roku 1939. Zniszczenia materiałowe oraz brak sił roboczych uniemożliwiają wcześniejszą odbudowę. Ale do roku 1948 nie jest daleko. A potem pójdziemy jeszcze dalej.

NASZA POZYCJA

Ale już nawet dzisiaj odgrywamy niemałą rolę w europejskim przemyśle włókienniczym. Zajmujemy w nim trzecie miejsce w Europie po Anglii i ZSRR. Możemy jednak łatwo zdystansować Anglię, jeśli przemysłu włókienniczego nie uzdrowi tam upaństwowienie. Dziś bowiem wygląda on dość smętnie, a opinie ekspertów nie pozostawiają pod tym względem wątpliwości.

I fabrykant i robotnik angielski obciążony jest dużym podatkiem dochodowym, rosnącym niewspółmiernie po przekroczeniu ustalonych norm. Praktycznie przedstawia się to w ten sposób, że robotnik pracuje tylko cztery dni w tygodniu. Zarobek piątego dnia do tego stopnia podwyższa mu podatek, że właściwie pochłania przepracowaną dniówkę. Robotnik woli więc odpoczywać, na czym cierpią produkcja i konsumenci. A fabrykant? Temu znów nie opłaca się przekraczanie produkcji rocznej i najczęściej kończy ją w trzech kwartałach. A na trzy pozostałe miesiące fabrykę zamyka, mimo że ma surowiec i fachowego robotnika. Nie mamy więc czego Anglii zazdrościć i rozumiemy, dlaczego Anglik chodzi niezbyt dobrze ubrany. Dostaje na cały rok 50 punktów na odzież i obuwie. 28 punktów musi dać za gotowe standartowe ubranie (dobre wyroby idą głównie na eksport). A kupowanie na wolnym rynku nie należy do dobrego tonu, zresztą takiego rynku prawie nie ma. Pozostaje więc Anglikowi tylko cierpliwe czekanie na „lepsze czasy".

CO ZYSKALIŚMY NA ZACHODZIE?

Rozpatrując nawet najbardziej pobieżnie sytuację przemysłu włókienniczego w Polsce nie możemy pominąć Ziem Odzyskanych i ich znaczenia dla naszego włókiennictwa. Sięgnijmy znowu do cyfr.

Na Dolnym Śląsku mamy 87 fabryk bawełnianych, w tym 61 czynnych. W nich 180 tys. wrzecion (91 tys. czynnych), 22 tys. krosien (tylko 4 tys. czynnych). Pracuje w nich 7.500 robotników, wśród nich tylko 44% Polaków. Mamy też 27 fabryk produkujących wyroby wełniane (w tym 25 czynnych) z 25 tys. wrzecion (10 tys. czynnych), tysiącem krosien (tylko 150 czynnych) i trzema tysiącami robotników, których połowę stanowią Niemcy. Najwięcej zyskaliśmy w przemyśle lniarskim. Jest tam 62 fabryk (42 czynne) o możliwościach produkcyjnych prawie trzy razy większych niż cały przemysł lniarski w centralnej Polsce. Na 10.300 zatrudnionych w nich robotników 45% to Polacy. Otrzymaliśmy też na Zachodzie 22 fabryki dziewiarsko-pończosznicze, kilka jedwabniczo-galanteryjnych, parę fabryk dywanów smyrneńskich i 16 zakładów konfekcyjnych.

Wszystkie te fabryki są znakomicie wyposażone technicznie, zapewniają dobre i higieniczne warunki pracy, ale na razie zatrudniają w większości Niemców, którzy muszą być wysiedleni. Wprawdzie dziś zatrzymuje się wybitnych fachowców, jednak ministerialne reklamacje nie skutkują wówczas, gdy Niemiec fachowiec ma na przykład porządne mieszkanie. O wysiedleniu decyduje miejscowy przedstawiciel władzy, najczęściej komendant milicji, a reklamacje pisemne nie mają znaczenia. Skarżą się na ten stan dyrektorzy fabryk i przedstawiciele Rad Zakładowych, z troską mówiący o możliwości zastoju w fatalnym okresie przejściowym. Oczywiście jest rada na trudności, ale tylko jedna. Natychmiast powinno znaleźć się na Dolnym Śląsku 20.000 fachowych robotników włókienniczych, nawet kosztem częściowego ogołocenia przemysłu włókienniczego w centralnej Polsce. Nie jest to zadanie niewykonalne. Nie jest nawet trudne, wymaga tylko trochę dobrej woli. Tym bardziej, że mieszkanie, wyżywienie i wynagrodzenie jest na Ziemiach Odzyskanych o wiele lepsze niż gdzie indziej.

GDZIE TO MOŻNA KUPIĆ?

Produkcja wzrasta, normy są przekraczane, ale co się dzieje z produkcją?

Trzeba przyjąć przede wszystkim, że jest jej nawet na nasze skromne potrzeby za mało i, jak wynika z poprzednich cyfr, dopiero w 1948 r. wystarczy wyrobów tekstylnych dla wszystkich. Dziś zbytem produkcji przemysłu włókienniczego zajmuje się Centrala Tekstylna. Od niej nabywało towar „Społem", które do niedawna miało prawo wyłącznego zakupu. Ostatnio dopuszczono i innych, nawet prywatnych hurtowników. Towary te winny być sprzedawane po cenach komercyjnych, poza tymi oczywiście, które są przeznaczane na przydziały po cenach sztywnych. Niestety praktyka wykazała, że ceny komercyjne, które powinny mniej więcej odpowiadać piętnastokrotnej wartości przedwojennej towaru, są często przekraczane. Dlatego też Centrala Tekstylna otwiera w maju własne punkty sprzedaży detalicznej po cenach komercyjnych.

Wiele towarów włókienniczych idzie na przydziały. I tak w listopadzie ubr. Ministerstwo Aprowizacji i Handlu rozdzieliło za pośrednictwem wojewódzkich i miejskich wydziałów 800.000 metrów materiałów tekstylnych i w tym samym miesiącu przydzieliło na tzw. zaopatrzenie centralne 124.000 metrów materiałów włókienniczych. Obecnie mamy już otrzymać na kartki żywnościowe kupony na ubrania.

A więc jednak jest coraz lepiej. Warto zaznaczyć, że różnica pomiędzy ceną sztywną a komercyjną osiągana w sprzedaży jest przeznaczona na aprowizację pracowników przemysłu włókienniczego. W marcu br. różnica ta wyniosła 390 milionów złotych, które Centralny Zarząd Przemysłu Włókienniczego przekazał do Ministerstwa Przemysłu, otrzymując 100 milionów złotych na polepszenie zaopatrzenia pracowników.

KAPROLAKTAM

To tajemnicze wyrażenie nie jest magicznym zaklęciem. Jest to nazwa surowca otrzymywanego z fenolu, będącego produktem destylacji węgla. Z kaprolaktamu otrzymuje się furon — nić pajęczej cienkości i niebywałej trwałości. Nić ta, o 400-procentowej rozciągliwości, jest po wyciągnięciu 12 razy mocniejsza od jedwabiu. Produkcja jej, na razie laboratoryjna, jest najnowszą zdobyczą naszego przemysłu włókienniczego.

Instytut badawczy włókien sztucznych w Jeleniej Górze produkuje obecnie dziennie jeden kilogram tej nici, a wkrótce będzie produkował laboratoryjnie 25 kg dziennie. Nikt w Polsce przed wojną, ani w czasie wojny nie znał sposobu jej produkcji, a nawet nie wiedział o jej istnieniu. Był to wynalazek inżynierów niemieckich, którzy pracowali nad nim kilkanaście lat. Gdy natrafiliśmy na ślad tej produkcji, rozpoczęliśmy badania, które uwieńczone zostały pomyślnym rezultatem.

Grupa polska pod przewodnictwem dyr. Boryńca zrekonstruowała patent niemiecki. Do tego samego rezultatu doszła osobno pracująca grupa fachowców niemieckich, którzy znali już produkcję kaprolaktamu.

Produkcja furonu na wielką skalę dokona przewrotu w przemyśle włókienniczym. Jedwab zostanie prawie usunięty z wielu dziedzin. Pończochy damskie, sieci rybackie, spadochrony, tkanina do opon samochodowych, nici do zaszywania ran wykonane z furonu, są niemal wieczne. Nić furonowa nie podlega bowiem zupełnie uszkodzeniu przez tarcie. W laboratorium tarto ją 75.000 razy bez rezultatu.

Produkcja furonu pokryłaby nie tylko zapotrzebowanie wewnętrzne, ale zajęłaby też poważną pozycję w naszym eksporcie. Miejmy nadzieję, że już wkrótce kobiety będą nosiły pończochy furonowe (podobne do dzisiejszych perlonowych), które będą ważyć tylko 30 gramów. Potrzebne surowce — jak węgiel, soda, kwasy — posiadamy. Trzeba więc tylko funduszów dla uruchomienia produkcji, które powinny znaleźć się jak najrychlej.

Zbigniew Szarek

MICHAŁ SZULKIN

Reakcyjna myśl naukowa na emigracji

Polska reakcja emigracyjna stworzyła podczas wojny w Palestynie własny ośrodek ideologiczny. Tu znalazła się elita sanacyjno-ozonowa i endecko-oenerowska ze Sławojem Składkowskim i J. Jędrzejewiczem na czele. Delegatura byłego „rządu londyńskiego" utrzymywała wiele szkół i gimnazjów oraz subsydiowała szereg wydawnictw pseudonaukowych.

Leży przede mną zeszyt drugi „Kwartalnika Historycznego na Wschodzie", wydany na hektografie w Jerozolimie przez Jana Adamusa, Waleriana Charkiewicza i Leona Koczego, nakładem „Sekcji Wydawniczej Armii Polskiej na Wschodzie". W przedmowie wydawcy z obłudą piszą, że „o tym, aby naród mógł dać wyraz swym uczuciom i objawić je uroczyście, nie mogło i nie może być mowy". Ten reakcyjny światopogląd i nietajona niechęć do Kraju, kroczącego nowymi torami przeobrażeń politycznych i gospodarczych, ujawnia się zarówno w doborze i tematyce referatów, jak i w ich oświetleniu we wspomnianym wydawnictwie.

Ks. Kamil Kantak w artykule „Dokoła soboru we Florencji i jego echa w Polsce" stwierdza, że „religia i polityka są to dwie rzeczy, których połączenie jest źle widziane w dzisiejszej opinii... Co więcej, cały szereg aktów z istoty swojej religijnych oddziaływa na życie publiczne i polityczne". Były współpracownik obszarniczego „Słowa" wileńskiego, Walerian Charkiewicz, w artykule: „Likwidacja unii kościelnej na Litwie i Białorusi" daje fałszywe, powodowane nienawiścią do ZSRR, oświetlenie unii kościelnej na Litwie i Białorusi, która była już na początku pogwałceniem wolności religijnej przez Jezuitów, i polityki watykańskiej w dawnej przedrozbiorowej Rzeczpospolitej.

Łukasz Kurdybacha w artykule „Rola ziemi czerwieńskiej w dziejach kultury polskiej" przyznaje, że „proces polonizacyjny miał do rozwiązania problem ruski... Całkowita niemal polonizacja szlachty i mieszczaństwa z jednej strony, z drugiej zaś przybywające do Polski prądy kultury humanistycznej — oto warunki umożliwiające rozwój życia umysłowego na ziemi Czerwieńskiej XVI w.... Kultury mieszczańskiego Lwowa w XVI w. nie można oddzielać od kultury szlachecko-magnackiej. Opiera się bowiem ona na tych samych przesłankach, w poczynaniach swoich bierze przykłady z kultury szlacheckiej, starając się jej dorównać".

Ten całkowity brak uwzględnienia bogatej kultury ruskiej w XVI w., posiadającej swego wybitnego drukarza Iwana Fiedorowa we Lwowie oraz szereg innych charakterystycznych dowodów istnienia innej kultury w tzw. „Grodach Czerwieńskich", jest dostatecznym powodem zakwestionowania wątpliwych wniosków autora.

Były docent Uniwersytetu Poznańskiego dr Leon Koczy w artykule „Lignica" usiłuje dać zarys dziejów państw wschodnio-europejskich do bitwy z Tatarami pod Lignicą w r. 1241. Warto przytoczyć w całości zakończenie wywodów „naukowych" dr Koczego: „Turcja jest w obozie narodów zachodnich i Zachód wyczekuje jej pomocy. Ojczyzna Dżyngis Chana jest w obozie narodów zachodnich. **Wschód jednak pozostał Wschodem i Zachód też** (podkreślenie moje — M. Sz.). Wschód tajemniczy i zapoznany, ponury i niepewny, ale zawsze groźny i napastliwy jak w przeddzień Lignicy. Zachód rozbity i rozdarty, bez myśli przewodniej i bez duchowej spójni. **Walna rozprawa Wschodu z Zachodem jest nieunikniona i tym groźniejsza, że barbarzyński Wschód wyposażony jest w zdobycze cywilizacji zachodniej** (bombę atomową? Podkreślenie moje — M. Sz.). Europę czekają znowu katalońskie pola (chyba katalaunickie! — przyp. red.). Lignica i znowu czeka ją walka z barbarzyńcami ze Wschodu. Są to jedni i ci sami barbarzyńcy... W walce tej okaże się z pewnością, które z narodów zostały wierne swemu posłannictwu i który naród upatrzyła sobie Opatrzność na ocalenie zachodniej, chrześcijańskiej cywilizacji".

Takie są wywody „naukowe" polskiej reakcyjnej myśli na emigracji, która w dalszym ciągu hołduje idei posłannictwa cywilizacji „zachodniej" i wodzi oślepłym wzrokiem po współczesnym świecie wydarzeń międzynarodowych.

Charakterystyczny jest brak zainteresowania historyków emigracyjnych takimi rocznicami jak rocznica Grunwaldu lub przeszłością Odzyskanych Ziem Zachodnich.

„Nasze kresy są zagrożone" — podnosi w przedmowie wspomnianego wydawnictwa dr Walerian Charkiewicz, znany obrońca interesów obszarniczych i znany ze swego skrajnego klerykalizmu. I temu właśnie celowi ma służyć wydawnictwo o pozorach naukowych.

Nauka polska w okresie drugiej niepodległości posiadała wielu wybitnych naukowców w różnych dziedzinach wiedzy, posiadała też, szczególnie na odcinku badań historycznych, wielu reakcyjnych przedstawicieli, którzy celowo zwężali zakres swych badań historycznych i dawali tendencyjne naświetlenie przeszłości. Do tych gorszych tradycji usiłuje nawiązać obecnie „Kwartalnik Historyczny na Wschodzie". Oczywiście nie wzbogaci to wiedzy historycznej, służyć raczej będzie jako dowód reakcyjności myśli emigracyjnej.

Michał Szulkin

O rzeczach przykrych i zabawnych

„Gdyby Stańczyk przeglądał nasze czasopisma literackie, to chyba zmieniłby swe sławne zdanie, że w Polsce najliczniejsi są lekarze. Jestem pewien, że obecnie robiłby i wygrywał grube zakłady dowodząc, iż w Polsce najwięcej jest mentorów. Co drugi, albo co trzeci publicysta chce dziś koniecznie kogoś uczyć, dokształcać, egzaminować, kwalifikować, wydawać patenty, a nawet odbierać katedry profesorom! Socjalnie upośledzona przed wojną klasa „belfrów" rozmnożyła się obficie. Mamy dzisiaj mnóstwo nauczycieli z przyzwyczajenia i z zamiłowania, ochotników i gorliwców, którzy się mineli z powołaniem, pracowników nadetatowych, pozakontyngentowych, niekontraktowych i Bóg wie, ilu jeszcze innych! To samo zjawisko, co za czasów zygmuntowskich, bo mentor i preceptor to pewna odmiana lekarza, któremu troska o zdrowie bliźnich sen spędza z powiek.

Jako widowisko jest to dosyć zabawne, budzi jednak pewne zastrzeżenia jako przejaw życia literackiego. Z powodu tej tendencji nasze dyskusje literackie oscylują pomiędzy niewybrednymi wymyślaniami a kazaniem teoretycznym. Dawniej zarzut „kłamstwa" lub „fałszerstwa" postawiony pisarzowi przez pisarza znajdował swój finał w sądach honorowych, państwowych lub koleżeńskich. Dzisiaj wymieniają sobie literaci takie komplementy najzwyczajniej w świecie. Za objaw upadku klasy pisarskiej uważam również utrwalający się zwyczaj zamiany dyskusji w kazanie.

„Dyskusja" na temat Leśmiana to przykład jaskrawy. Nie będę tu pisał o Sandauerze, bo niedługo ogłoszę szkic o Leśmianie, w którym zajmę się metodą Sandauera. Eksperyment jego uważam za chybiony. Jeśli tedy zabrałem już raz głos w tej sprawie i znowu do niej wracam, to nie po to, żeby bronić Sandauera. Idzie mi o metodę dyskusji literackiej, o jej ekonomię i celowość. Metodę Ważyka i Żółkiewskiego uważam za metodę unikania prawdziwej dyskusji. Jest to interesujący i pożyteczny margines dyskusyjny, lecz nie dyskusja. Tymczasem ze zdziwieniem widzę, że ten margines zaczyna urastać do rozmiarów traktatów zasadniczych. W nr 14 „Kuźnicy" Kazimierz Budzyk naśladuje manewr Żółkiewskiego, z tą jednak różnicą, że zamiast przeglądu badań metodologicznych daje przegląd badań stylistycznych. Nie nowe są także maniery dyskusyjne ob. Budzyka. Autor się wyraźnie spóźnił. Obecnie katechizuje taka moc magów i wielkich wtajemniczonych, że zblazowaliśmy się trochę: zarozumialstwo i nonszalancja nie robią już na nikim wrażenia. Jeden geniusz więcej, jeden geniusz mniej, to już mała różnica!

Powiada ob. Budzyk, że Sandauer pisze nonsensy, albo buduje zdania, które nie są ani prawdziwe ani fałszywe. Pomijam, że z tego artykułu nikt się nie dowie, jak trzeba badać i interpretować środki stylistyczne Leśmiana. Każdy daje to, na co go stać. Jeden próbuje analizować styl, a drugi streszcza teorię stylistyczną. Nie można jednak nie zauważyć, że krytyka ob. Budzyka jest nie tylko pozaliteracka ale w ogóle przedliteracka. Żeby zawyrokować, że zdania, z których się składa szkic o „Filozofii Leśmiana", nie są ani prawdziwe ani fałszywe — do tego nie trzeba się znać ani na literaturze ani na stylistyce. Taki sąd wyda także człowiek, który nie wie, co to jest poezja. Z tego jednak nie wynika, że logik jest ideałem badacza zjawisk literackich.

Nie zamierzam twierdzić, że łatwiej jest teoretycznie krytykować, niż pisać studia krytyczne. Ważyk ma rację, że łatwiej czy trudniej to pojęcie względne. Wysiłek badacza i jego wynik to różne rzeczy. Być może, iż ob. Budzyk więcej się zmęczył „naukowym" wyrażaniem swego lekceważenia dla krytyki literackiej, niż Sandauer pisząc „Filozofię Leśmiana". Odrzuciwszy wszakże kryterium „łatwiej-trudniej", trzeba przyznać, że kazanie czy satyra nie zastąpią samego badania. To właśnie jest owa, wspomniana przeze mnie w felietonie „dokształcające kursy dla literatów", nieprzyzwoita niewspółmierność szumu i hałasu, jaki się wokół siebie robi, a konkretnym dorobkiem, czego klasycznym przykładem była przez parę lat przed wydaniem zapowiadana i reklamowana biblia formalizmu prof. Kridla. Jak skromnie i cicho wobec tego wygląda działalność naukowa Ingardena, Kotarbińskiego, Z. Łempickiego lub Elzenberga.

W swoim artykule ob. Budzyk starannie omija zagadnienia konkretne Broni Kridla, ale ogólnikowo; nie zdradza się, czy uważa „Wstęp" Kridla za dzieło naukowe czy tylko krytyczne albo — czego bym był szczególnie ciekawy — czy sądy literackie Kridla zawarte w II tomie „Dziejów literatury pięknej w Polsce" (Kraków, 1936, Akademia Umiejętności) są empirycznie sprawdzalne. Koło twórczości Z. Łempickiego przechodzi również ostrożnie. Ostatecznie nie jestem nawet pewien, czy ob. Budzyk pozwala Kazimierzowi Wyce chodzić swobodnie po plantach krakowskich, czy też popiera wniosek nagły Ważyka o nadzwyczajny przydział tekstyliów dla członków redakcji „Twórczości" na — „kaftany bezpieczeństwa".

Muszę zatrzymać się chwilę przy pewnym nieporozumieniu, teoretycznie wcale zabawnym, praktycznie jednak dla adepta wszechwiedzy stylistycznej dość przykrym: oto nie odróżnia on ironii od tego, co się pisze serio. Ironiczny tytuł mego felietonu „Dokształcające kursy dla literatów" zrozumiał jako nawoływanie do kursów dokształcających! Nigdy nikogo nie pouczałem. Nie zamierzam też nikogo dokształcać ani egzaminować. Wprost przeciwnie, walczę z tą manią przy każdej sposobności.

Winę za to przykre nieporozumienie biorę w całości na siebie. W przyszłości obiecuję starannie zaznaczać na marginesie, które ustępy piszę jako publicysta, a które jako badacz literatury, które serio, a które ironicznie. Dobrze by było też, żeby poeci podawali dokładnie, kiedy piszą lirycznie, kiedy klasycznie, kiedy imaginistyczne, kiedy z tzw. natchnienia, a kiedy z nudów. Trzeba bowiem raz skończyć z tym stanem piśmiennictwa, sztuki i kultury, w którym badacz jest narażony na różne gaffy zasadnicze.

Michał Anioł wprawdzie nie objaśniał, kiedy malował jako architekt, a kiedy rzeźbił jako sonecista, ale z tego jak wiadomo wyszedł potem barok! Jeszcze bardziej skomplikowana pod względem metodologicznym jest sprawa Leonarda i dlatego pewnie tyle kłopotu mają historycy sztuki z Monną Lizą! Wyspiański poczynał sobie podobnie; nigdy nie uprzedził, czy pisze dramat jako witrażysta, czy maluje jako wagnerianin i potem musiał się trudzić Makowiecki nad rozwiązaniem zagadki „poety-malarza"

Po co zresztą sięgać tak daleko. W „Kuźnicy" także pisują publicystyczne artykuły profesorowie uniwersytetu i jakoś rozumiemy, w jakim charakterze to czynią. Podobnie z poetami-polonistami: pisuje Jastrun, pisuje Przyboś o Mickiewiczu nie zaznaczając, w jakim charakterze występują. Żółkiewski ogłosił uwagi o poezji Przybosia i także zaniedbał dodać, czy pisał jako przewodniczący komisji oświatowej KRN, czy jako marksista, czy jako metodolog, czy jako krytyk, czy jako redaktor „Kuźnicy", czy zwyczajnie jako — Żółkiewski! Więc dlaczego tytuł docenta tyle kłopotu ma sprawiać czytelnikom artykułów Wyki? Na zakończenie przypomnijmy, że podobne zmartwienia teoretyczne miał stary Weyssenhoff z działalnością artystyczną Wyspiańskiego. Zdawało mu się nawet, że bardzo dotkliwie ugodził Wyspiańskiego i zlikwidował modernizm porównując autora „Wyzwolenia" do właściciela dwu fabryk, z których żadna nie prosperowała należycie. Historia literatury zanotowała to jako zabawne nieporozumienie.

Wacław Kubacki

Z TEATRÓW KRAKOWSKICH

SPŁOWIAŁY I WYBLAKŁY

Teatr Miejski im. Słowackiego: „Portret generała", sztuka w trzech aktach Juliusza Wirskiego. Reżyseria: Karol Frycz. Dekoracje: Tadeusz Kantor.

Nie jest w środowisku literackim tajemnicą, że Juliusz Wirski umieścił swoje uczucia po lewej stronie barykady. Umyślnie używam takiego wczorajszego określenia, bowiem w twórczości Wirskiego zaznacza się na naczelnym miejscu wpływ Żeromskiego i jego epoki, romantyzm, idealizm, mistycyzm niemal, obramowane w okruchy nowoczesnych doktryn polityczno-społecznych, ale nie przeniknięte nimi i nie odbarwione z niefortunnych naleciałości. Jak mianowicie przebiega linia ideologiczna sztuki Wirskiego? Generał listopadowy, Juliusz Odrowąż, należał na emigracji do utopijnych socjalistów z „Gromady Grudziąż", którzy podówczas szli na czele polskiego postępu i niewątpliwie wyprzedzali swoją współczesność. Ale prawnuk jego, Andrzej Odrowąż, niewiele postąpił poza program i wyobrażenia pradziada. Ten ziemiański idealista, właściciel fabryki w Ameryce, zachowuje się jak typowy powicher, uwiedziony nieprzemyślaną, spłyconą żeromszczyzną. Raz sprowadza na robotników policję, innym razem ofiarowuje swą fabrykę państwu polskiemu, jest entuzjastą sanacji, boć jej rządowi przekazuje swą fabrykę i z jej polityką solidaryzuje się „piorąc bombami w republikański Madryt" (rzecz dzieje się w 1937 r.). Dopiero gdy spadł na ziemię zestrzelony — przejrzały oczy jego, odtąd pokieruje nim filantropia i nawrócony grzesznik powróci do kraju użerać się z rodziną o wykonanie generalskiego testamentu, który wprawdzie nie był formalnym testamentem, ale zlecał wyraźnie: oddać ziemię chłopom.

Jak niezgrabnie jego potomek wziął się do wypełnienia tej ostatniej woli pokazuje sztuka, w której sceny żywe, dobrze skomponowane i budzące uznanie dla roboty scenicznej autora, mieszają się z momentami nieporadności, o szwach i ściegach pękających za pierwszym szarpnięciem. Gdyby utwór potraktować jako ostrą satyrę na rzekome „socjalistyczne niedowarzenie", mógłby on zapisać na swe konto zysk pokaźny, choć bardzo doraźny. Ale wiemy, że autor najdalszy jest od satyry dwustronnej, że ideom Andrzeja i jego działalności (po społecznym nawróceniu się) przyklaskuje z całego serca i że porywczy inteligent jest jego p o r t e - p a r o l e. Lecz Andrzej postępuje w ten sposób, iż nikogo (poza niedorosłą panienką i zdziecinniałym starcem) nie pociąga za sobą; nie przekonywa też widza. Pozostaje sam i będzie musiał odejść — jeszcze jedno spóźnione echo „Przepióreczki", bez osobistego uroku i bodaj poetyckiej prawdy Przełęckiego.

Umieszczając akcję swej sztuki w 1937 r. i wprowadzając do niej motyw hiszpańskiej wojny domowej, nadać jej chciał Wirski charakter dokumentu socjologicznego z określonej chwili dziejowej. Nie jest to dokument wiarygodny. Tzw. zgnilizna moralna obszarniczego dworu sąsiaduje o miedzę z naiwnością z epoki „Emancypantek". Świat chłopski posiada ostro zarysowany podział klasowy na kułaków, średniaków i biedotę. Z podziału tego wszyscy aktorzy dramatu zdają sobie sprawę, mimo że okres przed reformą rolną zacierał i mącił jego kontury. Andrzej w swoich nieopanowanych odruchach wyprzedza nie tylko rok 1937; wymija również rok dokonanej reformy rolnej, która stwarza gospodarstwa indywidualne a nie spółdzielcze. Reakcja przeciętnego widza na scenę dyskusji z chłopami musi tedy — powiedzmy sobie szczerze — obracać się w kategoriach: rację mają gospodarze, Andrzej zaś chce założyć kołchoz. Niemal jednolity sprzeciw wsi nabiera w tym kontekście aktualnie politycznego wygłosu, który można było i powinno się było przewidzieć.

Spośród wielu sztamp teatralnych coraz trudniej znieść na scenie „starego sługę" i „dziewczę polskie". Najgorsze cechy Maciejunia (przepraszam, Karola), niedojdy i nudziarza, podkreślił w swej grze **Białkowski**, z westchnieniem witany, z ulgą żegnany, gdy odchodził do swej izdebki napić się winka. Sielankowej Krysi, kochanej przez rządcę a zakochanej z wzajemnością w Andrzeju, każe autor mówić i działać według żałosnych i nad miarę już zbanalizowanych wzorków. Wrodzony wdzięk **Szyszko-Bohusz** sprawiał, że przyjmowano życzliwie jej obecność na scenie; rzecz prosta, pogłębić szablonowego wątku nie była zdolna. Perypetie miłosne w „Portrecie generała" obracające się dokoła Krysi, to jeszcze jeden przykład mielizn, na jakich nieuchronnie utknąć muszą epigoni Żeromskiego.

Na uwagę zasługuje rola i gra **Rycharskiego.** O ile zrozumiałem myśl autora, Michał Zadra, zdun wiejski, ma być satyrą na demagogów chłopskich, dla których tylko osobista „władza" ma urok i którzy, by ją osiągnąć, są skorzy do socjalnych kompromisów i wejścia na drogi kręte. Najbardziej to samodzielna postać w „Portrecie", szkoda, że w dyskusji z Andrzejem demaskuje się tak nieprawdziwie łatwo i naiwnie.

Kaliszewski w roli Andrzeja i **Burnatowicz** jako przywódca pozostałych Odrowążów — zagrali poprawnie. Reżyseria scen zbiorowych dała poznać wytrawnego majstra. Dekoracja nie harmonizowała z tonem i treścią utworu, choć portret generała spełniał nieźle swą rolę.

GENIUSZ NIEOBOWIĄZUJĄCEJ DOBROCI

Teatr Kameralny TURu: „Świerszcz za kominem", sztuka w czterech aktach Karola Dickensa. Inscenizacja i reżyseria: Emil Chaberski. Dekoracje: Karol Gajewski. Kierownictwo muzyczne: Kazimierz Mayerhold.

Uparty żywot sceniczny „Świerszcza za kominem" stanowi najlepszy dowód, że „talizman sentymentalizmu" jest skuteczny i pomaga w każdej okazji. Tym bardziej w Polsce może zawsze liczyć na powodzenie ta urocza, staroświecka, lawendą pachnąca sztuka z **old merry England.** Dickens jako artysta był wielokrotnie twórczy, by wymienić choćby jego psychologiczne odkrycie kobiety-dziecka (w „Dawidzie Copperfieldzie"). W „Świerszczu" nie ma takich trwałych elementów artyzmu, ale i w tym peryferyjnym dla wielkości Dickensa utworze trzeba uznać czystość linii artystycznej i piękny wyraz bodaj tej charakterystycznej cechy indywidualności twórczej autora „Nocy wigilijnej", której na imię: dobroć. Żyjąc w czasach mocnego, tryumfującego mieszczaństwa wczesnej epoki wiktorlańskiej, był Dickens liberałem, gorącym filantropem i entuzjastą dobroci. Uznając w pełni zasady istniejącego porządku — walczył gorliwie i skutecznie o ulżenie doli dłużników, o poprawę losu bezdomnych sierót, o te czy inne paliatywy. Równocześnie dobroć jego ogarniała wszystkich: bogatych i biednych, szlachetnych i nikczemnych. Trzeba było dopiero osobistych wspomnień i urazów, by Uriah Heep pozostał do końca czarnym charakterem.

Inscenizując „Świerszcza" **Emil Chaberski** poszedł po linii lekkiej stylizacji i dał spektakl według tradycyjnych wzorów, ale miły, kulturalny (uroczy finał), mimo że aktorsko nierówny. Wartości rozłożyły się według płci: role męskie wykonano na ogół nieźle (zwłaszcza **Brodzikowski, Fuzakowski, Żarnecki),** role kobiece na ogół słabo. Na usprawiedliwienie pań trzeba jednak dodać, że obie główne role (Mary Piribingl i niewidomej Berty) mimo swej pozornej prostoty są bardzo trudne do wygrania, kameralne, ciche, w półtonach; trzeba tu dużego talentu, by nie popaść w monotonię czułości (Mary) lub tęsknego zawodzenia (Berta), na domiar obciążonego tak przykrym zazwyczaj na scenie pokazem **kalectwa.**

Na specjalne wyróżnienie zasługuje **Zbyszewska** w epizodycznej rólce służącej Tilly. Czy jej realistyczne ujęcie gry nie kłóciło się nieco z koncepcją przedstawienia, to inna sprawa. Ale i Dickens sam lubił w bajkę wpleść szczegół z realistycznego życia.

MGŁY I MGŁAWICE

Teatr Rapsodyczny: „Wielkanoc", fragmenty z K. H. Rostworowskiego, E. Zegadłowicza i St. Wyspiańskiego.

Teatr Rapsodyczny zebrał już w Krakowie i poza Krakowem tyle słów uznania dla swej działalności i dokonań artystycznych, że tym łatwiej, sądzę, przyjdzie mu wysłuchać również słów gorzkiej prawdy. Chodzi o „majestatyczne symfonie wiekuistych tęsknot i pragnień duszy", czyli, wyrażając się zrozumialej, o dymy i opary mistycyzmu, którym udziela on na swej scenie coraz więcej miejsca, ze szkodą dla właściwych zadań i sensu swego istnienia. Bądźmy szczerzy: niebezpieczeństwo groziło od dawna i już wybór nazwy, dla tego skądinąd tak trafnie i kulturalnie pomyślanego teatru, zalatywał o milę epigonizmem przebrzmiałych głębin, wiążących mistycyzm i mesjanizm romantyczny z mistycyzmem i pseudomistycyzmem młodopolskim. Dr Kotlarczyk zbyt często zezuje w stronę modernizmu, secesji, satanizmu, prometeizmu i w ogóle tego, co z Młodej Polski najbardziej zwietrzało i ulotniło się: ulega też wpływom ekspresjonizmu niemieckiego sprzed lat dwudziestu. To mu wolno. Ale pod warunkiem, że nie zechce swoich gustów narzucać innym. Bo cóż byśmy powiedzieli o dyrektorze teatru, który by chciał dzisiaj wskrzesić tak na swój czas płodny program artystyczny Tadeusza Pawlikowskiego?!

O ile mi wiadomo, Kuratorium Krakowskiego Okręgu Szkolnego uznało Teatr Rapsodyczny za teatr obowiązkowy, dla szkół średnich, za obowiązkową lekcję i niezbędną pomoc szkolną. Było to zupełnie słuszne postawienie sprawy i należało tylko przyklasnąć tej decyzji zmarłego kuratora Wyspiańskiego. Ale czymże — przeważnie — uszczęśliwia Teatr Rapsodyczny garnąca się doń młodzież? Misterium Nocy Wigilijnej, misterium Wielkanocne, „obcowania z Duchem" raz za razem emanują z jego sceny. Jakby mało było jeszcze u nas posłuchu dla szumu słów i patosu wielkich liter, okrywających pustkę, jakby mało było u nas skłonności do mętniactwa! Z powołanej do pożytecznych zadań placówki tworzy się w ten sposób jakaś pretensjonalna „świątynia sztuki", pełna niewyżytych i niepotrzebnych tęsknot. Dochodzi do tego, że nawet inscenizując bajki, eliminuje się z nich programowo znakomite, ale pełne konkretu i racjonalizmu bajki Krasickiego. Środek leczniczy jest prosty: zejść z koturnów i zacząć mówić ludzkim głosem.

O „Wielkanocy" krótko: z zestawionych fragmentów Rostworowskiego, Zegadłowicza i Wyspiańskiego paruje znowu wszystkimi porami mistycyzm i misteryjność, oderwanie od rzeczywistości, obijanie się od Adama-Odkupiciela do Chrystusa-Salwatora, i w ogóle **dies illa,** wyczekiwanie jakiegoś zbawiciela, który ocali z niewoli. W Teatrze Rapsodycznym, gdzie słowo mówione postawione jest nie tylko na pierwszym, ale niemal na wyłącznym planie, — wyraźniej i dotkliwiej niż na pełnej scenie razi też uszy niedołęstwo wersyfikacyjne Rostworowskiego, niejednokrotne ubóstwo wyrazu poetyckiego Zegadłowicza, blaszane nieraz, nie spiżowe, wersety Wyspiańskiego. Słowo w Teatrze Rapsodycznym uwypukla się tak, jak twarz aktora w filmie: a więc dbałość o dobór tekstów winna być w Teatrze Rapsodycznym szczególnie troskliwa. Poezja fałszywa, która w zwyczajnym teatrze przemknie się niezauważona, w recytacji zabrzmi donośnie, jak ów przysłowiowy zgrzyt żelaza po szkle.

W tych warunkach szkoda włożonego wysiłku i istotnie wielkiej pracy nad słowem. W tych warunkach trudno też postawić np. **Kotlarczyka** przed **Zulińskim** lub **Kwiatkowską** przed **Michałowską.** Trzeba zresztą przyznać, że aktorzy Teatru Rapsodycznego przyzwyczaili nas do wysokiego poziomu formalnego swoich recytacji. Piękny głos i niewątpliwy talent dramatyczny **Krystyny Ostaszewskiej** wróżą jej osiągnięcia dużej miary.

J. A. Szczepański

NA DZIEŃ 1 MAJA
ZNAJDZIE SIĘ NA PÓŁKACH WSZYSTKICH KSIĘGARŃ
JAKO SETNA KSIĄŻKA
»CZYTELNIKA«
MONOGRAFIA
IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO
*
JOACHIM
LELEWEL
CZŁOWIEK I PISARZ
*
KSIĄŻKA NIEZWYKŁA
O GORĄCYM PATRIOCIE
NIESTRUDZONYM BOJOWNIKU
PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA
ŻARLIWYM SZERMIERZU
POSTĘPU I SPRAWIEDLIWOŚCI SPOŁECZNEJ
UCZONYM
CO WEDLE SŁÓW MICKIEWICZA
STANĄŁ NA CZELE POLSKIEGO DZIEJOPISÓW KOŁA

Muzyczny ruch wydawniczy

W końcu grudnia 1945 r. odbyła się w Krakowie pod przewodnictwem dr Adolfa Chybińskiego, profesora muzykologii na Uniwersytecie poznańskim i w obecności dyrektora departamentu muzyki Mieczysława Drobnera pierwsza plenarna sesja Państwowej Muzycznej Rady Wydawniczej, powołanej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

W skład tej Rady wchodzi 34 najwybitniejszych muzyków ze wszystkich miast Polski. Ma ona spełniać funkcję organu opiniodawczego Ministerstwa w odniesieniu do wszystkich wydawnictw nutowych i książkowych z dziedziny muzyki. Podzielona jest na komisje (muzyki symfonicznej, kameralnej, fortepianowej, smyczkowej, kościelnej, organowej i chóralnej oraz komisję spraw teoretycznych), które zatwierdziły do wydania na rok 1946—1947 szereg kompozycyj, prac teoretycznych i pedagogicznych oraz wydań zbiorowych.

Przeglądając sprawozdania posiedzeń poszczególnych komisji, znajdujemy pozycje, które dowodzą, że Rada zdaje sobie sprawę z naszych najbardziej istotnych braków w dziedzinie muzyki i że program i plan jej działania wiąże z realnymi potrzebami naszego społeczeństwa i naszej kultury muzycznej. Wystarczy przypomnieć, że za czasów Drugiej Niepodległości tylko bardzo nieliczne, wyjątkowe utwory naszych kompozytorów spotykał ten szczęśliwy los, że szły pod prasę drukarską. Większość z nich czekała w manuskrypcie na lepsze czasy, a kompozycje Szymanowskiego drukowały się w firmach zagranicznych.

Dziś przeżywamy katastrofalne skutki tego stanu rzeczy. Wiele bowiem utworów naszych największych kompozytorów, istniejących tylko w jednym egzemplarzu rękopiśmiennym, padło ofiarą pożarów i bombardowań (np. wszystkie utwory Bolesława Woytowicza). Jedyna istniejąca placówka wydawnicza, Towarzystwo Wydawnicze Muzyki Polskiej, nastawione było raczej na publikację materiałów historycznych, było zresztą instytucją prywatną, nie państwową, a dotacje ministerialne były tak szczupłe, że nie było mowy o usunięciu nawet najniezbędniejszych braków.

Dopiero dziś, gdy te ważne sprawy oddane zostały Polskiemu Wydawnictwu Muzycznemu, jako instytucji państwowej, możemy powiedzieć, że weszły na normalne tory.

Stosownie do postanowień, które zapadły na pierwszej plenarnej sesji Państwowo-Muzycznej Rady Wydawniczej, główne dziedziny działalności PWM przedstawiają się następująco:

Pierwszym i najważniejszym zadaniem jest popieranie polskiej twórczości muzycznej, zarówno przez wydawanie utworów kompozytorów współczesnych, zakwalifikowanych do druku przez poszczególne komisje, jak i też utworów dawniejszych i najdawniejszych, dotychczas niewydanych. Na początek wydało PWM m. in. Kwartet Palestra, Koncert na orkiestrę smyczkową Kasserna, w najbliższym czasie ukażą się „Pieśni ludowe" Panufnika, a kaligrafowanie II Symfonii Palestra jest już w toku.

Szczególną opieką otoczony będzie dział polskiej muzyki ludowej (w przygotowaniu znajduje się „Śpiewnik krajoznawczy", zawierający około 200 najbardziej charakterystycznych melodii ludowych ze wszystkich stron Polski i „Śpiewniki regionalne" w opracowaniu prof. dr. A. Chybińskiego), oraz dział wydawnictw teoretycznych i prac z historii muzyki polskiej (dokończenie zbiorowej pracy muzykologów polskich „Dzieła Fryderyka Chopina" i St. Łobaczewskiej monografia o Karolu Szymanowskim, która ma się ukazać na dziesięciolecie śmierci znakomitego kompozytora w r. 1947).

Drugim działem, który zajmuje najwięcej miejsca w planach PWM na najbliższą przyszłość, jest dział muzycznej literatury pedagogicznej, o którym pisaliśmy już na łamach „Odrodzenia". Wymienić tu jeszcze należy parę bardzo ważnych pozycji, jak „Śpiewnik szkolny" Br. Rutkowskiego (prawie gotowy do druku), St. Wiechowicza „Dyrygent chóralny", podstawowy podręcznik dla pracy nad zespołami chóralnymi, oraz serię podręczników pn. „Biblioteka Metodyczna dla Szkół Muzycznych" pod redakcją J. Miketty; seria ta zawiera podstawy metodyki z zakresu wszystkich przedmiotów teoretycznych w nowym ustroju szkolnictwa muzycznego. Na uwagę zasługuje „Podręcznik harmonii" K. Sikorskiego.

Trzecim działem jest dział upowszechnienia muzyki tzn. wydawnictw przeznaczonych dla najszerszych warstw słuchaczy. Przewodzi tu myśl szlachetna, by zastąpić tani, bezwartościowy repertuar przez łatwą, ale dobrą, najlepszą muzykę zarówno w zespołach amatorskich i świetlicowych (zadanie to ma spełnić wydawnictwo „Polska Literatura Chóralna" pod redakcją St. Wiechowicza, którego 5 pierwszych zeszytów: „Pieśni ludowe" w łatwym układzie na 3 głosy w opracowaniu Szeligowskiego, Rudzińskiego, Wrońskiego i Wiechowicza znajduje się już na półkach księgarskich), jak i w zakresie muzyki kawiarnianej (fantazja ze „Strasznego dworu" w układzie na tzw. zespół salonowy znajduje się w druku). Wielkim wydarzeniem naszej literatury teoretycznej z dziedziny upowszechnienia muzyki będzie książka W. Rudzińskiego „Muzyka dla wszystkich", będąca czymś w rodzaju encyklopedycznego wykładu o muzyce, w formie przystępnej, zrozumiałej dla laika.

Bardzo ważnym osiągnięciem PWM jest zapoczątkowanie „Biblioteki Materiałów Pisanych", przeznaczonych dla zespołów orkiestralnych i kameralnych, które po katastrofalnych zniszczeniach wojennych znajdują się w bardzo ciężkiej sytuacji. Biblioteka ta obejmuje już około 170 pozycyj katalogowych, które jednak, niestety, zawsze jeszcze zbyt długo czekają na wykonanie, bo nasze instytucje koncertowe wolą powtarzać do znudzenia pozycje — nie zawsze wartościowe — repertuaru przedwojennego, niż sięgnąć po nowy utwór kompozytora polskiego.

W ostatnich miesiącach zorganizowany został przy PWM specjalny dział propagandy muzyki polskiej, powierzony Barbarze Podoskiej-Palestrowej. Dział ten ma przede wszystkim dwa cele: propagandę muzyki polskiej za granicą (projektowany w najbliższym czasie wielki koncert symfoniczny współczesnej muzyki polskiej w Londynie z programem złożonym z dzieł Szymanowskiego, Palestra, Perkowskiego i Szałowskiego, koncerty muzyki polskiej w Moskwie z udziałem E. Umińskiej i K. Wiłkomirskiego) oraz propagowanie muzyki w kraju.

Wciągnięcie jak najszerszych warstw społeczeństwa w orbitę zainteresowania muzyką jest tu rzeczywiście sprawą bardzo ważną, której musi się poświęcić dużo uwagi. Droga prowadzi nie tylko przez podciągnięcie odbiorcy, ale także i przez odpowiednią organizację życia koncertowego i propagandy, jaka się rozwija dokoła naszego życia muzycznego. Aby obmyśleć środki, które w przyszłości działałyby bardziej sprawnie i skutecznie na terenie tej propagandy, zwołała dyrekcja PWM w lutym konferencję prasową, na której przedstawiciele świata muzycznego, literackiego i dziennikarskiego zastanawiali się wspólnie nad możliwościami zaradzenia istniejącym jeszcze licznym brakom w tej dziedzinie. W porozumieniu z dyrekcją krakowskiej rozgłośni Polskiego Radia przystąpiło PWM do organizowania cyklu audycji pt. „Sylwetki kompozytorów polskich", z których pierwsza poświęcona Palestrowi odbyła się w dniu 11 marca.

Polskie Wydawnictwo Muzyczne, którego kierownictwo spoczywa w rękach T. Ochlewskiego, spełnia zatem swe zadania, rozumiejąc swe trudne i odpowiedzialne obowiązki. Dotychczasowe jego osiągnięcia wydawnicze, które omówimy jeszcze na łamach „Odrodzenia", dowodzą, że jest ono placówką, zajmującą w dokonywającej się reorganizacji naszego życia muzycznego niewątpliwie jedno z pierwszych miejsc.

stł

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

Pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej Spółdzielnia Wydawnicza »Czytelnik« ustanowiła

coroczną nagrodę »Odrodzenia« w wysokości

100.000 zł.

Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1 września 1939 r. (bez względu na wydawcę) lub nadesłany w maszynopisie na ręce jury.

Podajemy skład jury tegorocznej nagrody „Odrodzenia":

Kazimierz Czachowski, Maria Dąbrowska, Julian Krzyżanowski, Wacław Kubacki, Karol Kuryluk, Stanisław Łempicki, Kazimierz Wyka.

Wszelką korespondencję w tej sprawie prosimy kierować na adres redakcji »Odrodzenia«: Kraków, Basztowa 15, m. 8.

Kronika francuska

„Bitwa na torach kolejowych". Pięknym filmem francuskim poświęconym walce konspiracyjnej jest „Bataille du Rail" („Bitwa na torach kolejowych"), zrealizowana przez René Clément. Akcja rozgrywa się w Normandii, bezpośrednio po wylądowaniu wojsk anglosaskich. Kolejarze francuscy, posłuszni wskazówkom Ruchu Oporu, postanowili za wszelką cenę zdezorganizować transport niemiecki. Środki są najrozmaitsze: świadome „omyłki" w służbie ruchu, przerywanie drutów na liniach zelektryfikowanych, sabotaż, wykolejenia, współpraca z akcją „maquis". Niemcy usiłują reagować groźbami i rozstrzeliwaniem zakładników. Ale są bezsilni wobec bohaterstwa kolejarzy francuskich, którzy narażali się dobrowolnie na ryzyko śmierci w katastrofach. Film Clémenta wspaniale wykorzystał przysłowiową „fotogeniczność" torów i pociągów, znaną np. z dzieł Gance'a i Renoira. W taśmę włączono autentyczne zdjęcia wykolejenia pociągu, naładowanego tankami, 12 oddziałów „maquis" ukrytych w pobliżu dokonywało zdjęć i zdołało je zachować w podziemnych archiwach. Mamy nadzieję, że obraz ten ujrzymy w Polsce.

Śmierć kubisty. W Paryżu zmarł w 65 roku życia zdolny malarz, Le Fauconnier. Brał on niegdyś udział w ruchu kubistów, razem z Picassem i Gleizesem. Później nawrócił do realizmu. Był przyjacielem grupy literatów z Creteil, na której czele stali: Jules Romains (poświęcił niegdyś Fauconnierowi słowa pełne entuzjazmu) i Duhamel.

Jubileusz Unamuna. Przed 10 laty zmarł w Salamance jeden z najgłośniejszych współczesnych pisarzy hiszpańskich, Unamuno. Przed śmiercią powiedział: „Trzy rzeczy są przyczyną mojej agonii: śmierć żony, moja popularność i śmierć wolności".

Zwycięstwo Mauriaca. Wszedłszy niegdyś do Akademii Francuskiej, Mauriac stanął na czele tzw. „lewicy akademickiej" i postanowił wprowadzić najznakomitszych pisarzy. Już przed wojną, dzięki jego wysiłkom zostali wybrani Duhamel, Lacretelle, Maurois i Tharaud. Obecnie z „listy" Mauriaca „przeszli": Romains i Claudel. Czekają jeszcze na wybór: Maritain i Martin du Gard.

Gabriel Péri. Przed 4 laty został rozstrzelany przez gestapo pisarz francuski, Gabriel Péri, niezłomny działacz antyfaszystowski aż do śmierci, mimo tortur. Aragon poświęcił męczennikowi piękną „Balladę o Tym, który śpiewał na torturach" i ogłosił ją w miesięczniku „L'Honneur des Poètes". W swoim czasie poświęcił też wiersz Gabrielowi Péri, inny francuski poeta, Paul Eluard.

„Obozy śmierci". Jean Pelissier wydał w Paryżu w „Editions Mellotée" dobrze napisaną, zaopatrzoną w plany i fotografie książkę o stworzonych przez gestapo obozach śmierci.

„Katolicyzm Dostojewskiego". Pierre Dournes wydał książeczkę pt. „Jak czytać Dostojewskiego?" Zajmuje się w niej głównie sprawą religii w twórczości autora „Biesów". Twierdzi paradoksalnie, że do pewnego stopnia można mówić o „katolicyzmie" rosyjskiego pisarza.

Członek Ruchu Oporu kierownikiem radia. Jako przedstawiciela b. więźniów politycznych powołano do Konstytuanty francuskiej jednego z najdzielniejszych uczestników Ruchu Oporu, aresztowanego w marcu 1944 i wywiezionego do obozu koncentracyjnego — Claude Bourdeta. Bourdet został równocześnie dyrektorem radia francuskiego. Ojcem jego był znany także i u nas komediopisarz i b. dyrektor Komedii Francuskiej, Edward Bourdet.

Wieś francuska pod okupacją. Literatura poświęcona wojnie i okupacji święci we Francji tryumfy. Coraz w nowych wydaniach ukazuje się wyróżniona tegoroczną nagrodą Goncourtów książka „Moja wioska w godzinie niemieckiej", ukazująca życie wsi francuskiej w tragicznych latach okupacji. Autorem jest 25-letni pisarz, Jean Louis Bory.

Bomba przed domem pisarza. Przed domem, należącym do powieściopisarza francuskiego, Henryka Bordeaux, wybuchła niedawno bomba. Była to niewątpliwie manifestacja przeciw temu pisarzowi, który w r. 1938 zgodził się wygłosić cykl odczytów w Niemczech, na zaproszenie władz hitlerowskich.

Francuska pomoc dla Polski. Sławny fizyk francuski, prof. Joliot-Curie zaofiarował znaczną ilość książek i przyrządów dla polskich instytucyj naukowych. Nie jest to fakt odosobniony. Na ostatnim posiedzeniu Akademii Nauk, prof. Montel przyrzekł przyczynić się do odbudowy biblioteki Instytutu Matematycznego w Warszawie. A warto dodać, że również nauka francuska poniosła dotkliwe straty wskutek działań wojennych i 4-letniej okupacji niemieckiej.

„Pięciu zamordowanych poetów". Tak będzie się nazywała antologia pięciu zamordowanych przez gestapo poetów francuskich: Saint-Pol-Roux, Max Jacoba, Roberta Desnos, Benjamina Fondane i André Chennevière. Wyboru wierszy dokonał poeta: Robert Ganzo. Wydaje założona pod okupacją firma „Editions de Minuit".

Pisarz i żołnierz. Francja przyznała Legię Honorową krytykowi brytyjskiemu, Ant. Bertramowi, który jest obecnie przedstawicielem propagandy brytyjskiej kultury („British Council") w Paryżu, a podczas wojny brał udział w operacjach inwazyjnych 1944 roku.

Ravensbrück. Ukazała się wstrząsająca książka, napisana przez Simone Saint-Clair o Ravensbrücku, obozie dla kobiet, gdzie nie tylko zabijano i torturowano, ale także poniżano godność kobiety.

Dwa interesujące dokumenty. We Francji ogłoszono dwa interesujące dokumenty, dotyczące Romain Rollanda. Są to jego listy. Pierwszy, datowany z 19. IV. 1933 wystosował do wielkiego pisarza niemiecki konsul w Genewie. Brzmi on następująco: „Wielce Szanowny Panie Romain Rolland! Pan Prezydent Rzeszy, Hindenburg, polecił mi wręczyć Panu medal Sztuk i Nauk, przyznany Panu w r. 1932, z okazji setnej rocznicy śmierci Goethego. Naturalnie, chciałbym ten medal wręczyć Panu osobiście. Dlatego pozwalam sobie zapytać Pana, czy mógłbym skorzystać z misji, którą mi powierzono w połowie maja w kantonie Vaud, by Panu złożyć wizytę — lub też może Panu odpowiada inna data. Łączę wyrazy głębokiej czci. Konsul Niemiec".

Romain Rolland odpowiedział: „Właśnie otrzymałem list Pana z 19. IV., w którym Pan mnie zawiadamia, że Prezydent Rzeszy, von Hindenburg zaszczycił mnie przyznaniem medalu Goethego. W pełni oceniam ten zaszczyt, lecz przykro mi napisać, że w obecnych okolicznościach nie mogę go przyjąć. Nie potrzebuję Panu mówić, że odmowa ta nie kieruje się osobiście przeciw Panu Prezydentowi — ani też przeciw Pańskiemu krajowi, który od dzieciństwa zawsze podziwiałem, kochałem, otaczałem szacunkiem jako strumień sztuki i myśli — te wielkie Niemcy nie tylko Goethego i Beethovena, Kanta i Schopenhauera, ale także milionów dusz, które od stuleci szlachetnie cierpiały, tworzyły, budowały czyste wartości moralne Zachodu. Ale to, co się dziś dzieje w Niemczech, zniewolenie wolności, prześladowanie partyj politycznych nastrojonych opozycyjnie, brutalna i haniebna proskrypcja ludności żydowskiej — to wszystko budzi bunt w świecie i we mnie. Wie Pan dobrze, że uczucia te wyraziłem publicznie. Uważam, że taka polityka przekreśla Niemcy w opinii milionów ludzi całego świata; jest zbrodnią przeciw ludzkości. Nie mogę więc przyjąć zaszczytu od rządu, który politykę tę uczynił programem swych idei i czynów. Niech Pan zechce wierzyć, Panie Konsulu, wyrazom mego żalu i głębokiego mego poważania. Romain Rolland".

wn

Akty sprawiedliwości społecznej

Emil Paluch, dr med., kierownik Oddziału Higieny Pracy w Państwowej Szkole Higieny w Łodzi. Zwalczanie chorób zawodowych podlegających ubezpieczeniu i zgłoszeniu w ustawodawstwie polskim. Łódź, Państwowy Zakład Higieny 1946; str. 94 i 2 nl.

Nie podobna bez wzruszenia przeglądać kart tej książeczki pomyślanej jako podręcznik encyklopedyczno-informacyjny dla lekarzy. Syntetycznie ujęty skrót polskiego międzywojennego postępowego ustawodawstwa socjalnego, zmierzającego do wyrównania w tym wypadku przez nikogo niezawinionych krzywd, jakich doznają rzesze górników, hutników, robotników fabrycznych i innych pracujących zawodowo osób, ułatwia lekarzowi orientowanie się w świecie ustaw i rozporządzeń, określających jego społeczne obowiązki wobec ludzi pracy: fachowe, powagą nauki poparte informacje z patologii, symptomatologii i profilaktyki chorób zawodowych umożliwiają czytelnikowi zharmonizowanie obowiązków lekarza z zadaniami społecznika.

Długi rejestr terminów kryjących w nazwach wieloletnie, dośmiertne niekiedy cierpienie ludzi tracących zdrowie i możność zarobkowania w twardej, niewdzięcznej, a jednak społecznie ważkiej pracy, ujął ustawodawca w prawo, zapewniające ofiarom zawodu normalne zaopatrzenie inwalidzkie, nakładając równocześnie na lekarza powiatowego, inspektora pracy oraz ubezpieczalnie społeczne obowiązek zapobiegania chorobom i walkę z nimi. Walkę chorobom winien wypowiedzieć również i czynnik społeczny. Dziś, jakkolwiek wielu spośród zainteresowanych robotników słyszało o glistnicy, chorobie kesonowej, oczoplasie, tężcu, nosaciźnie, węgliku, tylko niektóre zakłady pracy uświadamiają załogę o wrogich człowiekowi siłach, powoli niszczących jego organizm. Nie każdy z pracowników wie, że np. objawy krzemicy pyłowej prawie nigdy nie występują przed upływem piętnastu lat pracy w podziemiach, a rozwój raka rentgenowskiego trwa przynajmniej dziewięć lat. I tu właśnie książeczka dotarłszy do rąk świetliczanina, oświatowca, działacza politycznego czy rady załogowej, lub znalazłszy się na półkach robotniczej biblioteki, spełni rolę dobrego informatora i właściwie oświetli sporne zagadnienia. W okresie zimowym każda świetlica winna poświęcić przynajmniej jeden wieczór na omówienie chorób zawodowych, czerpiąc materiał pogadankowy zwłaszcza z pierwszej części podręcznika, osoby zaś interesujące się problemem znajdą na końcu książki dość szeroko potraktowaną kilkojęzyczną bibliografię.

Niezły papier, wyraźny druk i celowe rozplanowanie graficzne uzupełniają całość, szkoda tylko, że jeszcze do dziś plączą się wśród kart zabytki ortograficzne sprzed dziesięciu lat w postaci niewłaściwego odtwarzania drukiem takich wyrazów jak cyjan, brąz i inne.

Kazimierz Olszewski

Życie muzyczne w Krakowie

W ostatnim okresie sprawozdawczym mamy znowu kilka poważnych pozycji do zanotowania. Pierwszą z nich był piątkowy koncert Filharmonii w dniu 12. IV, którym dyrygował gość z Poznania, dyrektor Państwowej Opery Poznańskiej, dr **Zygmunt Latoszewski.** Interesujący program tego koncertu zawierał dobrą muzykę, a więc IV. Symfonię Brahmsa oraz dwa utwory kompozytorów francuskich: Rabauda poemat symfoniczny „La procession nocturne" (wg. „Fausta" Lenaua) i Dukasa „Uczeń czarnoksiężnika". Był to zatem typ programu nie często u nas spotykany, programu bez udziału solisty. Program taki świadczy zawsze pochlebnie i o postawie jego inicjatorów i o kulturze publiczności, dla której jest ułożony. Jeżeli publiczność zapełni salę przy takim „nie atrakcyjnym", bo bez solisty programie choćby tylko tak, jak ostatniego piątku, wystawia sobie tym samym świadectwo, że na koncert przychodzi z istotnej, wewnętrznej potrzeby.

Podkreślić należy jeszcze i tę okoliczność, że po długim czasie podano nam znowu w Filharmonii muzykę francuską, na ogół bardzo słabo reprezentowaną w naszych programach symfonicznych, a będącą w Polsce przecież zawsze obiektem żywego zainteresowania. Jest to specjalną zasługą dr Latoszewskiego, wielkiego wielbiciela muzyki francuskiej i odczuwającego ją, jak mało który z naszych muzyków. Pamiętamy jego piękne wykonanie „Popołudnia Fauna" Debussy'ego i Ravela „Le tombeau de Couperin" w ostatnim sezonie. Tym razem najlepiej wypadła „La procession nocturne" Rabauda, utwór nawet nieszczególnie ciekawy, wybitnie nie nowoczesny, jak na swą epokę (w chwili, gdy Rabaud komponował swe opery i poematy symfoniczne, impresjonizm Debussy'ego zaznaczał swój wpływ już wyraźnie i to nie tylko we Francji, ale i poza Francją), ale posiadający walory specyficznie francuskie: świetne brzmienie, jasność i przejrzystość faktury.

Przekonywające było też ujęcie „Ucznia czarnoksiężnika" Dukasa, niestety orkiestra, której kompozytor stawia wysokie wymagania zwłaszcza przy bardzo szybkich tempach, miała sporo grzechów na sumieniu, tak, że w szczegółach nie wyszedł utwór ten dość precyzyjnie. Nie była natomiast przekonywająca koncepcja IV Symfonii Brahmsa, zwłaszcza w swej części pierwszej i drugiej. Nie było w niej właściwego tej kompozycji szerokiego oddechu, łączącego w jedną linię tematyczna tak charakterystyczne dla Brahmsa motywy, poprzerywane ustawicznymi pauzami, nie było tego skupionego lirycznu, jak też rozśpiewania, stanowiących największy urok muzyki brahmsowskiej (jak się dowiadujemy już po koncercie winę ponioslty tu pośrednio znowu pewne wewnętrzne braki w orkiestrze).

Z bardzo ciekawym programem wystąpił też Kwartet Polski z Poznania w składzie: **Zdzisław Jahnke** (I skrzypce), **Ludwik Kwaśnik** (II skrzypce), **Tadeusz Szulc** (altówka) i **Dezyderiusz Danczowski** (wiolonczela). Poza Kwartetem Schumanna, stanowiącym jeden z najbardziej żywych utworów jego muzyki kameralnej, przedstawiono dwie kompozycje współczesnych kompozytorów polskich, nieznane w Krakowie: Kwartety smyczkowe **Antoniego Szałowskiego** i **Tadeusza Jareckiego.**

Bardziej interesującą pozycją jest niewątpliwie Kwartet Szałowskiego (kompozytora żyjącego od szeregu lat stale w Paryżu, który w Polsce znany jest głównie dzięki swej Uwerturze koncertowej, wykonywanej kilkakrotnie w Krakowie w ostatnim sezonie; w latach wojennych Szałowski podobno wiele pracował i ma w swym dorobku szereg nowych dzieł. Jest bardzo trudno mówić o kompozycji muzycznej — zwłaszcza współczesnej — po jednorazowym słyszeniu. Sam wątek inwencji — jak to zresztą często bywa w utworach współczesnych, których główna troską zawsze jeszcze jest dążność do ustalenia nowego stosunku do materiału i odpowiedniego opanowania nowych środków wyrażania w muzyce — jest tu raczej nikły. Ale rzecz napisana jest ze świetną znajomością instrumentów i faktury, z dużym temperamentem, z bardzo subtelnym wyczuciem efektów dźwiękowych kwartetu (część pierwsza).

Mniej ciekawy jest Kwartet T. Jareckiego. Jest przede wszystkim za bardzo kompromisowy w swym stosunku do dźwięku i w traktowaniu samej tematyki (racjonalniej zresztą byłoby tu może mówić o „motywice"), która nie wychodzi ani z założeń zdecydowanie współczesnych, ani zdecydowanie tradycyjnych. Powstaje przez to nuta jakiegoś niezdecydowania, niepewności, zwłaszcza że i pod względem samej konstrukcji można by zrobić sporo zastrzeżeń (zbyt długie przeciąganie tego samego motywu przez poszczególne instrumenty czyli tzw. progresje, nie uzasadnione w ostatniej części echa góralszczyzny itp.). Jeżeli chodzi o stronę wykonawczą — to można mieć również dość istotne zastrzeżenia. Dźwiękowo zespół przedstawia się — mimo dość znacznego tzw. „zgrania się" — niejednolicie: najlepiej brzmią tu instrumenty niższych rejestrów, wiolonczela i altówka, gorzej skrzypce. Zwłaszcza pierwsze skrzypce nie mają danych, by pod względem samego brzmienia pokonać trudności Kwartetu Szałowskiego, gdzie jest tyle efektów subtelnych, wywodzących się w prostej linii od impresjonizmu francuskiego, a przeprowadzonych — jak większość efektów impresjonistycznych — nie w forte, ale właśnie w piano. Nie było tu ani odpowiedniego zróżnicowania dynamiki, stale utrzymanej w nasileniu, ani — tym mniej — barwy. Dawało się to zresztą odczuć nawet w Kwartecie Schumanna, gdzie fraza często była twarda, kanciasta, sucha.

Wreszcie jeszcze dwa wydarzenia, które zdają się kształtować rozwój naszego życia muzycznego we właściwym kierunku. Pierwszym jest powtórzenie „Stabat Mater" Szymanowskiego na poranku niedzielnym dla młodzieży szkół średnich. Wydaje mi się to nadzwyczaj szczęśliwe, byleby tylko nie pozostało zjawiskiem odosobnionym.

Właściwy rezultat pedagogiczny da się zaobserwować dopiero wtedy, gdy programy wszystkich koncertów szkolnych będą celowo układane. Hasłem takich koncertów powinno być: najlepsza muzyka w najlepszym wykonaniu. Szczególnie uwzględnić należy muzykę współczesną (oczywiście znowu tylko najlepszą). Jak długo młodzież otrzymywać będzie dawki muzyki nowoczesnej raz czy dwa razy do roku, słysząc poza tym wyłącznie muzykę klasyczną i romantyczną, efekt będzie chybiony. Będzie bowiem zawsze reagowała na dzieła współczesnych kompozytorów w sposób nieumiejętny. Winą tego będzie brak przygotowania. A właśnie o przygotowanie chodzi przede wszystkim. W tym kierunku przykład Szkoły Umuzykalnienia może działać jako wskaźnik. Musi się równomiernie pokazywać zarówno dawniejszą, jak i nowszą muzykę, o ile młodzież ma odnieść pożytek z tych pokazów.

Drugą inowacją naszego życia muzycznego jest zapoczątkowany z inicjatywy Polskiego Wydawnictwa Muzycznego cykl audycji radiowych pt. „Sylwetki współczesnych kompozytorów polskich". Dotychczas odbyły się dwie takie audycje: pierwsza poświęcona twórczości **Romana Palestra**, druga poświęcona utworom **Artura Malawskiego.** Nie potrzeba chyba rozwodzić się nad tym, jak wielkie mają one znaczenie dla popularyzacji nowej muzyki polskiej. Wprawdzie w obecnym stadium audycje te mają jeszcze bardzo poważne braki, jak krótki czas trwania (pół godziny razem z tzw. słowem wstępnym, co daje fragmentaryczność pokazów, konieczność podania większych kompozycji tylko w urywkach) i bardzo niewyrównany odbiór (miałam możność skontrolowania audycji Palestra, której odbiór w Krakowie był prawie katastrofalny), w każdym jednak razie i to jest już w obecnej chwili wiele. Inicjatywie Polskiego Wydawnictwa Muzycznego przyklasnąć należy jak najgoręcej.

Stefania Łobaczewska

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK.— Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.— Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 87 zł.
M — 13515 Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".